

Nowa przygoda: Gwinea

Fiedler Arkady



calibre 0.9.27

Arkady Fiedler

NOWA PRZYGODA:

GWINEA

WARSZAWA 1962

1

Piloci

Nagle zbudziłem się w mojej kabynie na rufie. Po chwili

zrozumiałem, dlaczego: śruba statku obok kabiny przestała się kręcić i

zaległa głucha cisza. Dotarliśmy do celu. Zaczęła się nowa przygoda:

Afryka.

Wyskoczyłem z koi i spojrzałem przez bulaj: na dworze ciemności.

Zegarek wskazywał piątą czterdzieści pięć. Afryka jeszcze ukrywała się

przed nami.

Jak co dzień rano ogoliłem się starannie i ubrałem bez pośpiechu.

Turkot spuszczonej kotwicy świadczył o tym, że nasz s/s Szczecin

zatrzymał się na redzie.

O szóstej niebo było mniej ciemne, granatowe, ale na nim wciąż

tyle gwiazd i tak nie po naszymu roziskrzonych, jak gdyby czyjeś oczy w

gorączce wypatrywały świtu.

Gdy z rufy przeszedłem na śródokręcie i dostałem się na mostek

kapitański, niebo na wschodzie zardzewiało bliską jutrzenką i zaczęło

tłumić największe gwiazdy, inne całkiem wypłaszać. Znikały szybko jak

tancerki po przedstawieniu.

A potem poranek tropikalny roztoczył swe uroki. Niezmiernie

szybko niebo zaczęło jaśnieć, seledyn przetapiać się w fiolet, fiolet

przelewać w róż. Ale dziwiła nie szybkość zmian na niebie, lecz

przejmująca cisza, wśród której zmiany się odbywały.

Toż staliśmy u progu lądu, wstrząsanego konwulsjami przebudzenia, o którym jeszcze niewiele lat temu mało kto śmiał marzyć. Od Dakaru do Basutolandu czarny człowiek hardo

podnosił czoło. Nie chciał już być niewolnikiem — pragnął sobą rządzić.

Mówił to z taką siłą i z taką dojrzałością umysłu, że w istocie żelaza zaczęły się kruszyć. Zakipiały na olbrzymich przestrzeniach liczne narody i potęgi świata nie mogły uśmierzyć ich buntu. To, co rodziło się na tym kontynencie, było jednym z największych przełomów w dziejach ludzkości.

Stając więc u progu wrzącego lądu, przybysz mimo woli, nawykami jakichś niedorzecznych skojarzeń uczuciowych, oczekiwał niepokoju także w przyrodzie. Nic podobnego. Nie było tego ranka nawet chmurki na niebie, idealnie czystym od krańca do krańca, morze zaś leżało jak lustro, w powietrzu ani drgnienia. Dokoła był pastel, łagodność i cisza. A gdy na widnokręgu przed nami wylaniał się z mroku długi, cienki pas bielejących domków, wyglądających z daleka jak niewinna dziecięca zabawka, któż by przypuszczał, że to Konakri, dumna stolica wolnych Gwinejczyków, którzy przed rokiem zadali cios

2

kolonializmowi, a dziś w ciężkiej pracy wykuwali byt młodziutkiej republiki?

Potem wyszło słońce zza morza. Zza morza, bo na wschód od nas

ciągnęła się olbrzymia zatoka. I słońce było niezwykle. Tak blade, że wcale nie raziło oczu. Nawet gdy się wzbijało, można było na nie spokojnie patrzeć. Jakiś zaspany, bezbarwny krążek na niebie. Wtedy uświadomiłem sobie, że to skutki niezmiernych warstw kurzu, zawieszonych w powietrzu a przypędzonych przez harmattan, wiatr od Sahary. Więc nawet słońce jak gdyby się uwzięło, żeby wyglądać łagodnie.

Przyznam, że w tym osobliwym kontraście między sielankową przyrodą a burzą, szarpiącą Afrykę, była jakaś urzekająca perwersja. Swit szybko przemieniał się w jasny dzień, słońce szło w górę, ale Konakri jak gdyby nadal drzemało. Z portu nikt do nas nie przy pływał. Daremnie wzywaliśmy pilota. I nasz oficer radiowy, i drugi oficer — uroczy unikat całej naszej floty handlowej, młoda niewiasta, równie miła jak energiczna — od chwili przybycia na redę obsypywali port znakami świetlnymi, ale port był głuchy. Słońce już się wybiło ponad warstwę kurzu i zaczęło przypiekać normalnie, po afrykańsku, a z portu nikt nie wychylał nosa.

Zaciekawiłem się, jakiego pilota oczekiwaliśmy.

— Czy to będzie biały pilot? — spytałem marynarzy, obecnych na mostku kapitańskim.

— Biały! — odrzekli. — Biały... oczywiście!...

Wiedzieli, jaka trudna i odpowiedzialna to była praca, wymagająca wielu lat otrzaskania się z morskim fachem. Wszędzie w koloniach czy w byłych koloniach pracowali dotychczas wyłącznie biali

piloci.

*Wreszcie — już prawie dwie godziny po wschodzie słońca —
dostrzegliśmy przez lornetki jakiś ruch w porcie. Motorówkę. Zmierzała
w naszą stronę i rzeczywiście przywoziła nam pilota i jego pomocnika.
Na statku powstało małe zamieszanie: jeden i drugi najczystszej wody
Afrykanie.*

*— Zmieniło się w tej Afryce! — rzekł do mnie z uśmiechem pierwszy
oficer.*

— Zdaje się, że tak!

*Późno przybyli czarni piloci — trochę jak cały ten kontynent — ale
ostatecznie przybyli i zupełnie sprawnie, bez wypadku, jeśli wprowadzać
statek do portu.*

Wkrótce jeden z nich wyszedł na skrzydło mostku, gdzie stałem.

Przywitaliśmy się podaniem ręki, przy czym powiedziałem normalnie:

— Bonjour — dzień dobry.

— Merci — dziękuję! — odpowiedział on ku mojemu zdumieniu.

Językiem francuskim władał doskonale.

*Gdy w chwilę później towarzysz jego tak samo podziękował za
moje „dzień dobry”, doznałem lekkiego niesmaku, poczytując to za
rodzaj służalczości, pozostałej z kolonialnych czasów. Dopiero gdy
znacznie później, na lądzie, poznałem ich zwyczaje, stwierdziłem, że
Gwinejczycy między sobą tak samo dziękowali i bynajmniej nie było to
objawem służalczości. Przeciwnie: całkiem naturalnie wyrażali swą*

wdzięczność komuś za to, że życzył im dobrego dnia. Miało to swój sens.

Była w tym logika.

Detronizacja

Któż by nie pamiętał licznych podobizn owych sumiastych postaci z XIX wieku, pionierów tropikalnych krajów, owych nieustraszonych odkrywców, myśliwych, przyrodników, misjonarzy, zdobywców — zasłużonych, władczych, męskich, wspaniałych bohaterów w hełmach korkowych? Owi Humboldci, Livingstone'y, Stanleye, Mungo Parki, Emin Pasze, a także i nasi Wodziccy lub Rogozińscy nigdy nie patrzyli na nas z drzeworytów czy dagerotypów inaczej niż pysznie spod kasku tropikalnego. Wiadomo było, że na ich życie czyhały nie tylko nieprzebyte puszcze i drapieżne bestie, nie tylko ludożercy i tysiące nieznanych chorób, ale ponad wszystkie dolegliwości groził im bezwzględny, największy wróg — zabójczy żar słońca. Wystarczało w Afryce — zapewniali doświadczeni podróżnicy — by biały człowiek stanął w południe na słońcu z obnażoną głową, a niezawodnie ginął w ciągu godziny.

Więc kask był nieodzownym rekwizytem tropików, bez kasku nie wyobrażano sobie życia między zwrotnikami, kask pokrywał zuchwałę głowy wszystkich bez wyjątku afrykańskich podróżników — kask, natchnienie naszej młodości i młodości naszych ojców, symbol prawdziwej męskości i niezgłębionej przygody. (Czyż, o moi synowie! nie wyglądałem imponująco na fotografii z Madagaskaru, gdy spod hełmu patrzyłem chmurnie i górnice w tajemniczą dal?)

*Liczne naukowe rozprawy, pisane przez uznane autorytety, nie
szczędziły farby drukarskiej, by udowodnić zabójczość tropikalnego
słońca, przypisując ją ultrafioletowym czy innym, nieznanym a jeszcze
szkodliwszym, promieniom. Na potwierdzenie przytaczały z codziennej
praktyki wiele wypadków porażenia i śmierci.*

*...Dziwadła baobaby rozrosły się w potwornego kształtu drzewa-
mamuty...*

innymi straszyla tam maska diabła z europejskimi wąsami...

*Wszystkie Gwinejki, nawet w podeszłym wieku, miały proste plecy i
kark trzymały wysoko...*

...Miał Piotruś młodą, żywą antylopą miną

*Maria Ludwika napisała przyjemną książkę o swej podróży po
ówczesnym Złotym Wybrzeżu*, i ona także nie mogła pominąć
sposobności, by dyskretnie, pośrednio, uwypuklić swą odwagę
stwierdzeniem, że „promienie słońca mają cechy tru-iące” i że trzeba
koniecznie nosić kask.*

*Brazylia po uzyskaniu w XIX wieku niezależności wypowiedziała
kaskowi tropikalnemu wojnę, ponieważ był to symbol
kolonialnych rządów. Mogła się go pozbyć bez uszczerbku gdyż
natychmiast zastąpiła go sombrerem słomkowym, skutecznie
broniącym głów jej mieszkańców od słońca. A słońce iak dotychczas,*

4

*tak i nadal, pozostało tu zabójczą potęgą. Najgroźniejsze wydawało się
jednak w Afryce, na łądzie rozżarzonych sawann i oślepiającego
światła. Kask, solidny korkowy kask uchodził za jedyny ratunek
człowieka. Jeszcze w sierpniu 1959 roku potwierdził to czarujący
prelegent, były •\| afrykański podróżnik, gdy przed zastuchaną salką w*

*Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki w Sopocie roztoczył
przejmujący obraz strasznej potęgi słońca i jedynej, dosłownie
iedynej przed nią obrony, zbawczego kasku. Szmer ulgi i
wdzięczności dla życiodajnego nakrycia rozległ, się wtedy wśród
wzruszonych słuchaczy.*

*Onego przedpołudnia, w miarę jak nasz s/s Szczecin podpływał do portu
w Konakri, upał wzmagał się coraz srozszy. Na morzu było jeszcze
znośnie, ale do portu wchodziliśmy jak do piekła. Zacząłem się biedzić
nie na żarty, czym ochronie swą biedną lepetynę, która bądź co bądź
przez tyle_ lat niezłe mi służyła. Kasku nie posiadałem, więc czy
wziąć beret? Śmieszne, to jakby piec wsadzić na głowę. Może białą
plócienną furażerkę z czerwonym pasem, jaką miałem ze: sobą. Ale czy
afrykańskie słońce nie przepali jej na wylot? W biedzie diabeł zjada
muchy, jeśli wierzyć niemieckiemu przysłowiu, więc było nie było,
wsadziłem na głowę białą furażerkę i heroicznie oczekiwałem tego, co
mi gotowały następne kwa-dranse.*

*~T^7a błędna jak tyle innych nazw geograficznych; właściwie
powinno być: Wybrzeże Złota. A. F.*

*Statek powoli podchodził do nabrzeża. Kręciło się tam wiele ludzi,
przeważnie Afrykanów, robotników portowych w krótkich spodenkach
i lekkich koszulinach. Na nasz statek czekało też kilku Europejczyków.
Wobec upału byli oczywiście lekko ubrani, koszule mieli odpięte. Stali
na wybrzeżu w pełnym słońcu, spokojni i cierpliwi.*

Naraz — cóż to, u licha! — wybałuszylem oczy, pełen zdumienia.

Szaleńcy? Samobójcy? Żaden z tych Europejczyków nie miał kasku, co więcej, nic nie miał na głowie. Obnażone europejskie czerepy wystawiali bezczelnie na pełne afrykańskie słońce. Słońce niedaleko zenitu.

Na chwilę wpadła mi zabawna myśl, że może to Afrykanie, doszedłszy do władzy, taką nałożyli tu karę na białych. Żart żartem, ale naprawdę widok przede mną mógł wydawać się czymś zgoła przerażającym, a ci biali — wariatami. Tymczasem oni zachowywali się całkiem normalnie, swobodnie ze sobą rozmawiali, nie było oznak obłędu, nie roztopiały im się mózgi. Po prostu nie bali się słońca. Czy słońce nie działało na nich, nie miało osławionych zabójczych promieni?

Nie, nie miało zabójczych promieni.

Kasku tropikalnego już się w Afryce nie nosiło. Wszyscy niemal Europejczycy chodzili tu w gorącym słońcu z obnażoną głową i, o dziwo, nikt nie ginął z porażenia. Tak chodzili od kilku lat w Gwinei, tak w Ghanie, a także w Gabonie, pod samym równikiem, dokąd kilka miesięcy później los mnie zapędził.

Kask znikł z Afryki jak mara przeszłości. Okazało się, że to nie słońce zabijało dawniej Europejczyków, lecz ich błędna wiara, zgubny strach przed zabójczością słońca.

5

Można by czasem popaść w gorzką zadumę nad kapryśnościami ludzkich strachów, ale na razie wypadło zadumać się nad innym zagadnieniem, nad bliższym, rodzinnym wypadkiem: oto wspaniałe zdjęcie

madagaskarskie dumnego podróżnika w kasku tropikalnym cicho usuwało się do lamusa, by tu w mroku spocząć skromniusieńko na szarym końcu szeregu wąsatych mężów w omszałych kaskach przebrzmiałej epoki.

Konakri

Gdy patrzyło się z morza na miasto, wyglądało ono jak bujna puszcza, wśród której tylko tu i ówdzie przeświecała biel domów — tyle tam było zieleni i taki przepych potężnych drzew.

Chociażby ktoś chciał nie wiem jak wychwalać system rządzenia

Brytyjczyków w koloniach, musiał przyznać jedno: miasta budowali tam szkaradne. Wystarczy powiedzieć, że były to miniatury Londynu albo londyńskiej City, powikłane, bez-planowe, ciasne, niewygodne.

Natomiast chociażby nie wiem jak potępiać Francuzów w koloniach, to jednak miasta stwarzali tam śliczne, małe Paryże. Śliczne było Hanoi, powabny Sajgon, Abidżan lub Dakar i tak samo czarujące Konakri.

Miasto niemłodziutkie, poczęte u schyłku XIX wieku, właściwy rozmach wzięło dopiero niedawno, po drugiej wojnie światowej. Leżąc na samym końcu — nieco zgrubiałym jak koniec pręcika w kwiecie — długiego półwyspu Kalum, miało ze wszystkich stron morze i orzeźwiający wiatr. Podziw ogarniał człowieka na widok jego mapy: była to szachownica krzyżujących się prostokątnie ulic; jedne, avenues, wiodły z zachodu na wschód, reszta, bulwary, z północy na południe. Środkowa avenue była, niby słup kręgowy, najszersza, główna, przecinała miasto na dwie połowy i kończyła się na zachodzie pałacem

*gubernatora: nic w tym mieście nie było przypadkowe, nie
przemyślane, kręte: urbanistyka godna najlepszych Haussmannów.
No, i te drzewa. Boskie, błogosławione mangowce, tysiące cienistych
mangowców! Wszystkie bez wyjątku bulwary — było ich w Konakri
przeszło 15 kilometrów — obsadzone z każdej strony ulicy gęstym
rzędem mangowców, a że drzewa te miały listowie bardzo obfite i
zwarte, stale panował pod nimi rozkoszny cień i chłód. Gdy po raz
pierwszy zapuściłem się w południe na miasto, przechadzka po avenues
i bulwarach stała się jakąś zabawną grą w ciepło i zimno, w przykre i
przyjemne: avenues, w przeciwieństwie do bulwarów, były łe jak
kolano i ziejące żarem słonecznym, za to bulwary — miłe chłodnie.
Ale mangowce bulwarów to nie wszystko. Dokoła całego dasta,
tuż nad wybrzeżem morskim, wiodła autostrada, gdzie mtastycznie
rozpanoszyły się palmy kokosowe, istne „missy” \opikalnej urody, a
obok nich inne znakomitości, drzewa \angipani, flamboyanty i
eukaliptusy. To one, widziane od lorza, wydawały się gęstą puszcza.
Jakby i tego było nie ość, na niektórych skrzyżowaniach ulic lub
placykach, uzna-ych przez urbanistów za ważniejsze, posadzono jakiś
ga-unek baobabów i teraz te dziwadła rozrosły się w potwornego
iształtu drzewa-mamuty. Były majestatyczne i krępe; nie-:tóre pnie tak
grube, że nie objęłoby ich dwudziestu ludzi, i ze wszystkich pni
6
wyrastały, niby olbrzymie ścięgna, sze-okie podpory, które zamieniały
się w korzenie. Kolosy te tarały się rywalizować ze słynnym na Oceanie*

Indyjskim) aobabem w Madzunga na Madagaskarze.

*Całą zachodnią część miasta, dokoła pałacu gubernatora, :abudowano
przewiewnymi gmachami, mieszczącymi centralne irzędy Gwinei. Tam
również tonęły w zielonych gajach nowoczesne bungalowy ze szkła i
plastyku,
zamieszkane
do
niedawna
przez
elitę
kolonialnej
administracji. Na brzegu tej izielnicy stanął kilka lat temu, jakby
ukoronowanie wszystkiego, luksusowy „Hotel de France”, chluba
francuskiej Afryki, z urzekającym widokiem na morze i na pobliskie
wyspy Los. Gdy owego pierwszego dnia krążyłem po mieście, we
wzniosłym nastroju podziwiając to i owo, przecież jedną rzecz musiałem
rzetelnie zganić — chodniki. Wszystkie jezdnie avenues, bulwarów i
placów były asfaltowane, świetnie wykończone, wymuskane, natomiast
prawie wszystkie chodniki zupełnie zaniedbane. Tu widać urwał się
rozmach
francuskich
urbanistów,
natchnienie
zawiodło*

ich.

Przechodzień grzązł na chodniku w surowej matce-ziemi, nieraz w piasku nurzał sandały po kostki, potykał się na wybojach i dziurach.

Jak bywało zazwyczaj w wojsku, tak i tu: dla jeźdźców — tym razem w samochodach — wszystko: soból i panna; dla piechurów —

12

nic, nawet nie zając i sarna. Dobrze, że przynajmniej zostawiono dla nich skrawek do chodzenia. Na pozór mała to rzecz, a jak dosadnie odzwierciedlająca jądro systemu. Francuzi mieli auta, tubylcy — les indigenes — tylko własne nogi. Francuzi nie potrzebowali chodników, więc po cóż z nimi się cackać i wydawać na nie pieniądze?

Najszersza, owa centralna avenue, miała około półtora kilometra długości i ongiś nazywała się Avenue Gubernatora Ballaya. Jeżeli wzdłuż ulicy spojrzeć ku zachodowi, widziało się na końcu biały, szlachetny w swej prostocie pałac gubernatora, a dawniej, tj. do 1958 roku, widziało się przed pałacem pomnik owego Ballaya. Pod koniec XIX wieku Bal-lay był pierwszym gubernatorem Gwinei. Za jego wieloletnich rządów Francuzi dokonali orężem ostatecznego podboju kolonii, to znaczy, że przez długie lata topili we krwi wszelki opór ludności. Jak głosił napis na cokole, pomnik wzniesli wielbiciel i przyjaciele gubernatora, ażeby utrwalić pamięć jego zasług i heroicznego okresu Gwinei. Ow heroizm ani rozlew krwi nie dostały się do rzeźby, przedstawiono natomiast Ballaya jako poczciwego tatusia. Dobroduszniak jedną ręką trzymał trójkolorowy sztandar, drugą

obejmował z ojcowską czułością małego Murzynka, Murzynek zaś wznosił ku białemu panu słodki wzrok pełen wdzięczności i szacunku.

Gwinejczycy w referendum z 28 września 1958 roku opowiedzieli się przeciw unii z Francją i tym samym odzyskali całkowitą niezależność, lecz pomnika nie znieśli. Dopiero gdy w następnych tygodniach prowokacje uchodzącej francuskiej administracji oburzyły ludność do żywego, mieszkańcy Ko-nakri wywarli swój gniew na Ballayu. Po prostu zwalili pomnik z piedestału, ale całkowicie go nie zniszczyli, nie roz-rąbali. Leżał przez wiele dni na ziemi, jakiś obezwładniony gubernator, i pomimo że powalony, wciąż uparcie obejmował Murzynka, jakby go i teraz nie chciał wypuścić spod swej władzy. Leżał

7

u stóp pałacu, do którego wprowadził się Sęku Turę, zwycięski wódz Gwinejczyków.

Nieco później usunięto pomnik z placu. Przyjechali robotni-

13

ey, ciężarówka, windowali LLL\$, SSL etnograficznego nad brzegiem mor-Muze-nby.

wiec gubernatora uimeścń, na dworze za^ y dcstelu.

! • • M,,rTOnVipm potulnie w mego morzu, i wciąż z Murzynkiem

p^ „7,,rA

A Z w rzeczywiści ^T^t^TJ^

Historyczny czek bez pokrycia.

eks-

ponaty szły zaraz do i rzeźb z drzewa, gwinejskich szczepów. diabła z

europęjskimi ^ władnę, dziś podupadające. bobonu przystawiono

pomnik

na to zębami. Woleliby, az

różne bozki i demony .ro tam maska

wszech- daWnego za-

tycn

w

Gwinei> zgrzytało

raczej rozbito na gubernator 4 diab.6w

znalazł spokoine miejsce, ^ _

leśnych i demonów afrykańskiej przeszłości.

Hotel de France

odchodził tego samego j mi obce, więc pierwszego milego rodaka mego,

V^

S5 dt^e^kT

tam podwiózł. przyleć, wydało mi się, że z nę-

Już gdy wchodziłem do sali przyj^, wj

de

kowicie na pomoc s ę czasu _

^ . % trudem wy. i pod wieczór mnie

14

dzy afrykańskiej przeskoczyłem cudownie o tysiące mil w zupełnie inny

*klimat, w jakiś hollywoodzki przybytek amerykańskich milionerów —
takie tu wszystko, całe urządzenie, było superluksusowe. Nawet ludzie
byli inni: Afrykanów żadnych prócz służby, poza tym sami biali, ale i
oni odmienni, nie tacy, jak owi zaaferowani Francuzi, spotykani na
ulicach Ko-nakri. Ci w hotelu mieli miny gęste, wzrok mocny, ruchy
pewne siebie.*

*Czarny boy w liberii, doskonale ułożony gentleman, wioził mnie windą
na trzecie piętro. Ach, winda! Płynęła w górę bez szelestu i dyskretnie
jak miły sen, nie było turkotu ani huku, ani łopotu jak w windach
kochanego miasta na dalekiej północy, nie było rodzimych wstrząsów i
zgrzytów co piętro ani ostrych zahamowań u celu — winda w „Hotel de
France” zwalniała biegu już przed metą, a potem cichuteńko i miękko
zamierała w bezruchu.*

*— Troisieme etage! — rzekł boy poważnie i otworzył mi
drzwi.*

Nie, nie mogłem wytrzymać. Robiąc wesołą minę, musiałem zapytać:

8

— Kiedyście reperowali tę windę po raz ostatni?

*Boy spojrzał na mnie zdumiony. Nie rozumiał, dlaczego zadaję tak
niemądre pytanie, skoro winda nigdy się nie psuła. Z lekka zgorszony,
nie myślał wdawać się w niewczesne żarty i nie odpowiadając, wskazał
grzecznie na drzwi:*

*— Troisieme etage — trzecie piętro! — powtórzył bardzo
oficjalnie.*

Dostałem pokój 312: чудо. Plastyk od góry do dołu, wielometrowe tafle okien, woda oczywiście ciepła i zimna, prysznic, klozet jak anielski brelok, nieskazitelna czystość, wszystko nad wyraz estetyczne, najlepsze, najdroższe. Także cena za pokój, ale nagle przerażenie zwalczyłem pociechą, że będę tu tylko jedną noc i ani chwili dłużej. Ten przybytek przepychu wznieśli Francuzi kilka lat temu, kiedy nie dostrzegali jeszcze chmur nad Afryką. Techniczny

15

•ozwój kolonii, zwłaszcza w górnictwie, rokował bardzo różną przyszłość. Wznieśli hotel sobie na chwałę, dla swej elity finansowej, dla paryskich tuzów przemysłu, bankierów, dyrektorów trustów, ażeby, przebudziwszy się fatalnego września 1⁹⁵⁸ roku, stwierdzić, że wszystko żałośnie wzięło w łeb. Hotel wciąż jeszcze pozostawał w ich prywatnym ręku i świetnie funkcjonował, chociaż zabrakło dawnej elity.

Rozwarłem gigant-okno, sięgające od samego sufitu do posadzki. Stąd otwierał się widok, jaki nawet ostatniego snoba mógłby olśnić, widok równie urzekający jak sam hotel. Prawie pod moją nogą morze szumiało przyplływem bijąc o głazy, w dali romantyczne wyspy Los opromieniało zachodzące słońce. A najbliżej hotelu, bo tuż nad brzegiem morza, puszyło się kilka wyniosłych drzew tak niezmiernie ładnych i tak nierealnych, jakby żywe wyszły z Disneyowej „Fantazji”. Rosło tam kilka palm kokosowych, jakiś kłębiasty mangowiec, a obok niego baobab, pękaty i bezlistny o tej porze.

Realne natomiast były ptaki. Stado kruków i dwa sępy. Po tych wszystkich cudaczeniach obcej mi zbytkowności powitałem je z ulgą jak bliskich przyjaciół. One przynajmniej były naturalne, nie sadziły się na luksusowe fupy.

Kruki wyglądały nad wyraz pociesznie. Tęgie jak nasze i czarne jak nasze, ale miały bielusiętkie szyje i piersi, jak gdyby troskliwa przyroda zawiesiła im dokoła szyi czystą serwetę. Przeciwnie niż nasze, samotne łazęgi europejskich kniei, afrykańskie kruki były natrętne i bardzo pospolite, zwłaszcza na wybrzeżu. Wszędzie po wsiach i miastach trzymały się jak najbliższej ludzi, wlażyły im niemal na pięty i żarły co popadło, wszelkie świństwa i odpadki z ludzkiej kuchni, dlatego też jako sanitarną policję szanowano je na równi z sępami. Ale gdy poznałem lepiej ich hultajskie dusze i nieobyczajne maniery, odkryłem, że obwiesie haniebnie kpily sobie z ludzkiej łatwowności i szacunku: gdy nikt nie widział, szydło wylazilo z miecha, a kurczątko ginęło z podwórza.

Stadko pięciu czy sześciu kruków niespokojnie baraszkowało w pobliżu, jak to zazwyczaj przed nocnym spoczynkiem.

16

<" •» , ::

9

TOJI ' _ . J '4UU4

k t KL t.

...Przyciągały prześliczne rzeźby z drzewa główek kobiecych, Fulbejek..

:

mml:

||
||

%-i

|i

|Uli

531111

Fulbejska szlachta, dumna i władcza, pełna uprzejmej godność^..

'(Rzeźba spod rozbitego pomnika francuskiego gubernatora Ballaya)

Wzlatywało w powietrze i zaraz siadało na drzewach, i znowu się

wzbijało, bardzo wybredne w wyszukiwaniu sobie noclegu. Krakąło

przy tym zupełnie jak nasze wrony, tylko bardziej wrzaskliwie, co mimo

woli przywodziło złowieszcze wspomnienie: rozdziobią nas kruki,

wrony. Widać, stado szczególnie upodobało sobie sąsiedztwo hotelu —

tak samo zresztą, jak krążące nad nami dwa sępy, wypatrujące tu

jakiegoś ścierwa — i jakże łatwo i tanio narzucało się skojarzenie tych

żarłocznych ptaków z hienami finansjery, które do niedawna

grasowały w ekskluzywnym hotelu.

— Spóźniłyście się! Minęło! — wybuchnąłem do ptaków śmiechem. —

Wywołujecie przedawnione asocjacje!

Jednej z następnych nocy około godziny dziesiątej znajomi zaprowadzili

mnie do baru na szóstym piętrze hotelu, gdzie nie tylko wytworknie, ale i

przyjemnie była siedzieć w chłodnym wietrzyku, wiejącym stale od

morza. Jak co noc pełno tu było gości, przeważnie mieszkańców hotelu,

kobiet niewiele, a wszyscy biali. Nie: przy jednym, jedynym stoliku w kącie odkryłem troje Gwinejczyków. Tkwili samotni i onieśmieleni, jak gdyby nieproszeni wdarli się do obcego salonu. Gdy siedliśmy w ultranowoczesnych fotelikach, lśniących me talem, rozejrzałem się zaciekawiony dokoła. Zgromadziła się istna międzynarodówka. Owszem, znajdowali się tu i Francuzi, zapewne dyrektorzy wielkich towarzystw handlowych, jeszcze czynnych w Gwinei. Ale przede wszystkim słyszało się inne języki: angielski, bodajże holenderski, najczęściej jednak niemiecki i różne słowiańskie. Powstanie niezależnej republiki, nagle odciętej gospodarczo od Francji, ściągnęło tu z różnych stron świata przedstawicieli wielu krajów, lecz tym razem na ogół demokratów antykolonialnych, pragnących pomóc młodemu państwu. Więc oto siedzieli oni, rozpierali się, niektórzy palili cygara na sposób Churchilla. Lecz im dłużej na nich patrzyłem, tym bardziej wprawiali

10

mnie w osłupienie. Gotów byłem pomyśleć, że to niesamowity sen, że patrzę na dziwacznych Rip Van Wincklów, którzy odżyli z poprzedniej, kolonialnej epoki i jak

2 — Nowa przygoda

17

gdyby cudem nagle tu się zjawili. Prawie wszyscy byli jacyś nadęci i ważni, biła od nich zarozumiała pewność siebie, mieli władcze spojrzenia, twarze pełne spokojnej wyższości.

Można było się uśmieć: przecież oni prawie wszyscy reprezentowali

uczciwe dążenia — nie chcieli doić Afryki, a mimo to zachowywali się dziwnie. Znalazłszy się w tym pałacu złotego bożka, przybrali — prawem bezwiednego dostosowania się — pozę nowoczesnych konkwistadorów. Czyżby, wszedłszy w to luksusowe gniazdo wron, musieli krakać jak i one? Oczywiście tak nie było, ale pozory łudziły. Wtedy przypomniały mi się kruki przed hotelem i z humorem pomyślałem sobie, że wypadaloby je przeprosić: może jednak wisusy nie bez kozery krakały tak drapieżnie, dostosowując się do butnych min ludzi?

Gwinejczycy

Konakri

liczyło

przypuszczalnie

blisko

sześćdziesiąt

tysięcy

mieszkańców. Ściągali tu przybysze ze wszystkich stron Gwinei i ze wszystkich gwinejskich narodów i szczepów, z wyjątkiem może najprymitywniejszych. Najwięcej spotykało się w stolicy ludzi ze szczepu Susu, zamieszkującego pas nadbrzeżny; postawnych, o cerze nie czarnej, lecz ciemno brązowej. Fulbeje z gór Futa Dżalon byli często ciemniejsi, lecz mieli chamickie rysy, przywędrowali bowiem ongiś z dalekich krain na wschodzie. Ruchliwi i przedsiębiorczy Mandingowie, z których wywodził się prezydent Sęku Turę, byli zazwyczaj czarni jak

heban i pochodzili ze wschodnich kresów Gwinei, gdzie rzeka Niger wpływała w sawanny przysudańskie. Ludzie spod Nzerekore, otoczonego nad granicą Liberii tropikalną puszcza, należeli do nielicznych w Gwinei wyznawców animizmu i niechętnie wytykali nosy ze swej kniei, chociaż uprawiali ważną dla eksportu roślinę, kawę — i mieli pieniądze.

Przeciętny mieszkaniec Konakri, niezależnie, z jakiego ludu

18

pochodził, spotykany setkami na ulicach miasta, był człowiekiem nad wyraz przyjemnym. Kogokolwiek grzecznie zaczepiałem prosząc o jakąś informację, zawsze otrzymywałem odeń skora, ba, entuzjastyczną odpowiedź, zagadnięty zaś przeważnie ofiarowywał się doprowadzić mnie, gdzie trzeba.

Nie czynił tego dla przypodobania się, bo mógł był przypuszczać, że jestem Francuzem, a Francuzów Gwinejczycy bardzo nie lubili. Chęć zdobycia napiwku zachodziła tylko w rzadkich wypadkach. Była to po prostu wrodzona afrykańska grzeczność, uczynność wynikała z pogodnego usposobienia. Gwinejczycy, których spotykałem, objawiali szczególną właściwość: chcieli być szczęśliwi i, zdaje mi się, umieli być szczęśliwi, dlatego łatwo wybuchali śmiechem, co często raziło Europejczyków, mniej niż oni zadowolonych z życia.

Inną, urzekającą cechą była ich bystrość umysłu, inteligencja.

11

Krótko przed wyjazdem z Polski rozmawiałem z odczytanym i światłym

znajomym, który, podobnie jak miliony innych Europejczyków i Amerykanów, stanowczo uważał, że Afryka-nie, mało rozwinięci umysłowo, nie są zdolni do sprawowania rządów w nowoczesnym państwie. Był to niezawodnie oddźwięk — bezwiedny, o ile chodzi o mego znajomego — potwornej krzywdy, wyrządzonej przez ludzi jednej rasy ludzom innej rasy. Biali bowiem nie tylko przez całe wieki dokonywali handlu afrykańskimi niewolnikami, sprowadzając nieprawdopodobną nędzę na ludzi i kontynent, nie tylko rozdrapali potem Afrykę między siebie, ale — chcąc usprawiedliwić swe zbrodnie — ponadto spotwarzali całą rasę tak systematycznie i tak perfidnie, że świat uwierzył w jej niższość i niezdolność do samodzielnego bytu. Chciałbym, ażeby mój znajomy był ze mną w Afryce i spotkał się, tak jak ja, z różnymi ludźmi. Diop Alsano, minister informacji, niewiele ponad trzydziestkę liczący, miał łatwość precyzyjnego wyrażania się, rzadko spotykaną wśród inteligencji w Europie. Już przy drugim, trzecim słowie swego rozmówcy podchwytywał całą jego myśl, natychmiast jak najcelniej replikował, czyniąc to wszystko z wyjątkowym wdziękiem osobistym. Był pełen zdrowego zapału i niejeden minister w naszych szerokościach mógłby mu pozazdrościć.

Jego prawa raka, Fowler, przy równie żywym umyśle, był znakomitym organizatorem i gdziekolwiek w brussie gwinej-skiej się pojawiałem, chociażby najdalej od centrów, władze tamtejsze w myśl naszej umowy były dokładnie powiadomione o moim przyjeździe i rzeczowo szły mi na rękę (tak samo w Gwinei, jak później w Ghanie). Trzeci Gwinejczyk, z którym miałem częste rozmowy w Konakri, Ray Otrą z Państwowego Instytutu Badań i Dokumentacji, błyskotliwy, przepracowany, nerwowy, jakże swojsko zalaatywał neurastenią niektórych intelektualistów w Europie. Na podobną błyskotliwość umysłu natrafiałem wszędzie w głębi kraju w różnych warstwach ludności, także u prostych wieśniaków, jeśli umieli po francusku i mogłem z nimi rozmawiać. Ich zdrowy rozum i zdolność kojarzenia szczególnie przebijały z licznych przysłów, świadczących o niepowседневnej spostrzegawczości.

Przeważna część Europejczyków, zasiedziały od dawna w Afryce, a może niemal wszyscy, prawdopodobnie nie podzielalaby mego zdania. Zrozumiałe dlaczego: trzeba było nie lada wysiłku i wręcz przekorności, żeby zwalczyć w sobie ogromną górę uprzedzeń, nagromadzonych w Europie od kilku wieków. A wielu białych, żeby mnie przekonać,

wskazywałoby na swych boyów, skończonych tumanów. Być może, że do tej służby garnęli się najdurniejsi, ale niewykluczone, że i najleniwsii, udający ciapy dla wygody. Afrykanów, których poznałem, zaliczyć do matolów lub ciap — byłoby absurdalne.

Już po krótkim pobycie w Gwinei przekonałem się, że młode państwo mocno stało na trzech filarach: na twórczej inteligencji kierowniczych kół, na silnej partii, zapewniającej postęp, karność i łączność wśród mozaiki etnicznej, oraz na żywym nieustannie zapale najszerszych mas.

Jeśli dodać do tego wydajną a uczciwą pomoc materialną krajów demokracji ludowej, należało stwierdzić, że młodziutka republika nie była jętką jednodniową, lecz miała „ręce i nogi”. Z zadowole-

12

niem przyjmie to na pewno mój odczytany i światły znajomy w Polsce, jak z mniej wyraźnymi uczuciami przyjąć to musiały niektóre zatrwożone koła Zachodu.

Gwinefki

Afrykanki, przeciwnie niż Afrykanie, cieszyły się zawsze u Europejczyków najlepszą opinią i miały od wieków dobrą prasę — za przeproszeniem, nie przymierzając trochę jak

o Polkach zawsze pochwalnie, a o Polakach najczęściej nietęgo wyrażali się obcy. Na Afrykanki we Francuskiej Afryce Zachodniej patrzono wyłącznie pod kątem zmysłowości, więc podobały się

Francuzom szalenie, gdy .były młode, ponętne

I do grzechu skore. Do miłego przedmiotu szarmanci podchodzili

*zarówno w czynie, jak i w literaturze z niefrasobliwą ochotą, ubraną w
lubieżną poetyczność niekoniecznie pierwszej klasy.*

*Przypomniały mi się zabawne perypetie niejakiego Louisa Jacolliota,
który w roku 1871 objeżdżał na statku wybrzeże Afryki Zachodniej i
potem wydał książkę o swych przeżyciach. Pewnego razu otrzymał od
nadbrzeżnego kacyka w podarku dwie czternastoletnie niewolnice.*

*Piękno ciała tych „posągów młodości” opisał podróżnik tak kusząco, że
nawet Anglikowi przyszlaby ostra ślinka, ale potem biedaczyna stracił
junacki wigor i nie wiedział, co począć z ponętными niewolnicami.*

*Francuz, a nie wiedział! Chciał je odesłać na ląd, ale to byłoby obrazą
dla kacyka, a śmiercią dla dziewczuszek. Na szczęście z kłopotu wybawił
go kucharz okrętowy, dziarski Mulat, który pozwolił je sobie
podarować i wiedział, co począć z nimi.*

*Kilka dni później inny kacyk wprowadził Jacolliota w podobne tarapaty,
przysyłając mu na statek jeszcze powabniejszą dziewczynę. Miała
trzydzieści lat, ale była już dojrzałą kobietką i była zupełnie naga na
znak, że obdarowany winien ją zaraz posiąść. Po porywającym opisie
jej urody nasz filut znowu*

20

21

*wymigał się i tak samo ofiarował młodkę kucharzowi, któremu wszakże
musiał dodać tęgi napiwek, by skłonić go do przyjęcia. Ale nieco dalej,
gdzieś na Wybrzeżu Kości Słoniowej, chwyt w czepku rodzony dostał się
w potrzask: zaproszony wraz z kapitanem statku do możnego króla na*

uczcie, musiał pozostać przez noc na łodzi i wybrać sobie na ten czas spośród żon władcy najodpowiedniejszą kobietę — z obowiązkiem skorzystania z jej usług. Jednak i tu także cnota zwyciężyła, a chytrus przekupił babkę wielkim cadeau, by nie poskarżyła się swemu panu.

Wkrótce ów król zawarł z Francją sojusz przyjaźni.

Książka Jacolliota zdobyła olbrzymie powodzenie we Francji i zapłodniła tysiące młodych ludzi chęcią wyruszenia do „Rzek Południa” po przygodę i majątek. A denerwujące czytelników safandulstwo wybornego figlarza wydaje się dziś, z perspektywy kilkudziesięciu lat, arcydowcipnym chwytem propagandowym.

Na ogół więc wszystkie podróżnicze opisy o tych stronach oddawały szczerą cześć powabom Afrykanek. Nawet jeszcze w 1959 roku

Fernand Gigon w politycznej raczej książce o Gwinei musiał sobie ulżyć napomknieniem o „wąskich biodrach i jędrnych piersiach” Gwinejek, a

13

ich „królewską postawę” — wynik noszenia na głowach ciężarów — sławił każdy, kto czuł się powołany.

W istocie, młodziutkie Afrykanki były niezwykle kształtne, cymes na smak europejski, ale — okrutnie szybko to przemijało: po pierwszym dziecku, przeważnie na długo przed dwudziestym rokiem życia, młoda matka obnosiła swe wydłużone, wiszące piersi z dumą, bo w oczach jej ziomków to właśnie było szczytem czcigodności, a więc i urody.

Królewska postawa — owszem: wszystkie Gwinejki, nawet w podeszłym wieku, miały proste plecy i kark trzymały wysoko. Ale z przykrością

odkryłem — czego nie. było w hymnach wielbicieli ciała — że niezwykle wiele Afrykanek miało brzyd-kawe nogi, zapewne nieszczęsną pozostałość po krzywicy, bardzo tu rozpowszechnionej.

22

Na ulicach Konakri widziało się także wiele Francuzek, pracujących w biurach tutejszych przedsiębiorstw. Prawie wszystkie były ładne, promienne, ze smakiem ubrane, klasycznie zgrabne, chociaż nie wszystkie młode. Wyglądały, jak gdyby sadziły się na to, by wdziękiem zaćmić wszystkie inne kobiety — i zaćmiewały, tym bardziej że Afrykanki jakby sadziły się, na przekór Francuzkom, by mieć chód niedbały, stawiać nogi szeroko i przeważnie brzydtko kołysać się krocząc.

Dziś łatwe zalecanki białego człowieka do Gwinejki należały do przeszłości. Gwinejka przestała być lekka i zamknęła się przed białym.

Już na niego nie patrzyła, a jeśli spojrziała przypadkiem, to jak na martwy przedmiot, bez zalotnego uśmiechu. Jak wszystkie nowe państwa o postępowych dążeniach wskrzeszone z byłych kolonii

Gwinea weszła w okres niebywalej surowości obyczajowej. Epokowe przemiany ogarnęły także Afrykankę. Do niedawna płocze kobieciątko, dziś roz-namiętniło się do spraw społecznych i postanowiło budować wspólnie z innymi nowe życie. Gdyby Louis Jacolliot odżył, nie wierzyłby, osłupiał, własnym oczom.

René Leclerc, podchodzący pod trzydziestkę, kawaler z czarnym wąsikiem i bujnym temperamentem, przeżywał jak inni tutejsi Francuzi

swój katzenjammer, choć nie tak ostro, mając widoki pozostania dłużej w Gwinei na niezłym stanowisku. Mimo to psioczył, ile wlaźło, na nowe stosunki.

Gdy pewnego popołudnia spotkaliśmy się, jak już kilka razy, w „Avenue Bar” przy głównej avenue, a on, pół żartem, pół serio, zaczął znowu swoje

zwykle

jeremiady,

przerwałem

mu

rozbawiony

i

zapropnowałem lepszą rozrywkę: przyglądanie się Gwinejkom.

Siedzieliśmy na tarasie, wychodzącym na ulicę jak w kawiarniach we

Francji, więc dogodnie było lustrować przechodniów.

Leclerc miał słabość do Gwinejek: lubił opowiadać o swej czarującej

przyjaciółce, która ongiś zawojowała jego serce, ale rok temu puściła go

w trąbę, gdy stała się zagorzałą patriotką. Od tego czasu marzył o

znalezieniu następczyni, jednak da-

23

remnie: złe czasy nastały dla Francuzów także i w tej dziedzinie.

Ja natomiast, ujeżdżając swego konika przy szklance aperi-tifu,

udowadniałem Leclercowi na podstawie przechodzących przykładów, o

ile poętniejsze były Francuzki niż Gwinejki. Krzywił się śmiesznie i

upierał, że to nieprawda, że nie ma to jak Gwinejki, ale w tym uciesznym sporze bilem go na łeb: co która obok nas przechodziła, a była Francuzką — palce lizać, gdy Gwinejką — taka sobie nijaka, a czasem aż litość brała. Miałem tego dnia wyjątkowe szczęście i tylko uparta pała jak on mógł obstawać przy swoim. Utarczki nasze odbywały się na wesoło i Leclerc też wesoło się zacietrzewiał.

— Zakład o dwie pastisses — krzyknął niby zrozpaczony — że następna Francuzka będzie brzydka jak noc, a Gwinejką cacko!

— Zgoda, nieszczęsny! — zachichotałem. — Z góry przegrał pan: niech pan stawia pastissy!

Ulica o tej porze dnia była dość pusta, ale wkrótce ujrzeliśmy w oddali dwie zbliżające się niewiasty, białą i czarną. Były młode i szły razem.

Gdy podchodziły, nie dowierzałem oczom: biała była krótkonoga, przysadzista i niezbyt, Gwinejką — kształtna i pięknie stawiająca zgrabne nogi. Nosila barwny strój, będący jak gdyby narodowym strojem Gwinejek, mianowicie długą, wąską na dole spódnicę i krótki kaftanik, szerokofaldzisty w biodrach, a bardzo obcisły w stanie, co świetnie uwydatniało jej wysmukłość. Do tego miała śliczną twarzyczkę o regularnych, szlachetnych rysach. Uderzająca uroda Afrykanki.

Leclerc znał je i serdecznie z daleka powitał.

— Moja kuzynka — wyjaśnił mi po cichu, gdy przechodziły.

— A ta Gwinejką?

— Moja klęska! — zazgrzytał zębami. — Próbowałem, namawiałem,

przegrałem. Społeczniczka, sacre nom d'une chienne! Uczy się

pielęgniarstwa i zadziera nosa, taka mdtinne!

Długo odprowadzał ślicznotę melancholijnym, głodnym wzrokiem.

i

Uradowany, że widziałem tak ładną Gwinejkę, parsknąłem:

— Trudno, przegrałem zakład!

— My przegraliśmy więcej! — warknął odpalony amant.

Drożyzna

Przed moim wyjazdem z Polski młoda śliczna kasjerka w naszym

Ministerstwie Kultury i Sztuki, wręczając mi dewizy, funty angielskie,

rzekła upominającym głosem:

— Po powrocie do kraju proszę mi przynieść paszport.

— ?! — zrobiłem niewyraźną minę.

— Musimy stwierdzić, czy pan zużył dewizy we właściwy sposób.

— Jak... jak to rozumieć: we właściwy sposób? — stropiłem się nie na

żarty.

— Musimy stwierdzić, czy pan nie wydał więcej, aniżeli przeciętnie po

jednym funcie i jedenaście szylingów dziennie i tym samym nie skrócił

swego pobytu.

— Rozumiem, tak jest — powiedziałem, pożegnałem się i wyjechałem.

f o jednym funcie i jedenaście szylingów dziennie — to huk forsy

wydawało się w Polsce: prawie trzysta pięćdziesiąt złotych po kursie

PKO, ho, ho!

W Konakri, jak wiadomo, zawieziono mnie na pierwszą noc do „Hotel

de France". Zziajany i cały w potach, zaraz skorzystałem z ciepłego

prysznicu, po czym, odświeżony, czując się błogo jak giser Iwan

Kozyrew w wierszu Majakowskiego, gdy wychodził z wanny — bacznie

rozejrzałem się po pokoju. Uwagę moją zwróciła karta, wisząca na

15

drzwiach: cena pokoju za noc — dwa tysiące osiemset franków

afrykańskich.

Przeliczyłem na moje dewizy: było to przeszło cztery funty. Co prawda

miałem jeszcze dewizy z innego źródła, ale wobec tak podniebnej ceny

jakakolwiek ludzka rachuba szła w diabły. Schwyciłem się za głowę i z

przerażeniem pomyślałem o młodej

24

25

ślicznej kasjerce. Śniła mi się potem przez całą noc na luksusowym łóżu

Madejowym — ale jak się śniła, brrr!

Następnego dnia rano śniadanie zjadłem na słynnym okrągłym tarasie

z pięknym widokiem na palmy, kruki i wyspy Los. Skromne śniadanie:

dwa jajka gotowane, chleb, trochę masła i jedna kawa, ale cena sowita:

sześćset franków, czyli jeden funt. Do tego obowiązujący napiwek. Do

diabła, piękne (ale drogie) widoki!

O dziesiątej przed południem przyjął mnie minister informacji Gwinei,

uroczy Diop Alsano, który, dowiedziawszy się

o moich mękach budżetowych w „Hotel de France”, hojnie przyrzekł

ulożać mnie jeszcze tego dnia w rządowym hotelu za darmo. Kamień

spadł mi z serca i gotów byłem go uściskać, ale nic z tego nie wyszło:

Diop Alsano pewnie zapomniał. Goniąc resztkami nerwów, tego dnia o godzinie Filonowej, kiedy słońce już zaszło, a psy się uśpiły, jak zbawienia dopadłem trzeciorzędного hotelu „Le Paradis”, który w istocie wydał mi się rajem: pokój kosztował tylko osiemset franków czyli jednego funta

1 trzy i pół szylinga. Odsapnąłem.

Pokój był straszny, odpychająca kle ta, brudnokremowe ściany, plugawo poklajstrowane białymi plamami gipsu, obraz niechlujstwa i nędzy. A jednak w przeliczeniu na funty kosztował więcej niż wytworny, czyściutki pokój z luksusową łazienką, wodą ciepłą i zimną oraz widokiem na Bałtyk w „Grand Hotelu” w Sopocie. Jeśli porównać jedno z drugim, to niebo i ziemia, gorzej: niebo i czyściec. Ale, powtarzam, odsapnąłem.

Nie umiem wytłumaczyć tej niebywalej drożyzny. Francja i jej kolonie nalegały przed drugą wojną światową do krajów o najtańszym utrzymaniu, po wojnie stały się najdroższe na świecie. Czy winne temu jakieś fatalne posunięcia budżetowe czy kosztowne awantury powojenne w koloniach, dość, że Francja produkowała dziś wszystko niepomiernie drożej niż reszta świata. A jeszcze drożej było w Gwinei, kraju od przeszło roku radykalnie odciętych od dotychczasowych źródeł dostaw.

Zawrotne ceny: strzyżenie włosów dziewięć szylingów, wypranie koszuli cztery szylingi (a koszulę zmieniać trzeba było

co najmniej raz na dzień), średni, normalny obiad i także kolacja po piętnaście

szylingów.

Drapieżny

szubrawiec

taksówkarz

za

jednokilometrową jazdę w mieście umiał ściągnąć ze mnie dwadzieścia cztery szylingi po zaciętym targowaniu się, gdyż pierwotnie chciał dwa funty. Gdy w miejscowości Kundara, oddalonej od Gwinei o sześćset kilometrów, zepsuł się nasz samochód, ludzie żądali dwustu dolarów za

16

odwiezienie kamionetką do Konakri i musiałbym to zapłacić, gdyby uczynne władze nie odstąpiły mi własnych środków transportu.

Skromne utrzymanie i hotel w Gwinei kosztowały trzy funty dziennie, drugie tyle wynosiły inne wydatki, ale zachodziły poza tym nadzwyczajne a nieodzowne kaszty, jak przeloty do Nzerekore i z powrotem (trzydzieści pięć funtów) lub lot z Gwinei do Ghany — czterdzieści pięć funtów.

W okresie, kiedy tam przebywałem, Gwinea była chyba najdroższym zakątkiem pod słońcem, a w każdym razie okazała się najdroższym ze zwiedzanych przeze mnie krajów.

Po powrocie do Polski z czystym chyba sumieniem i z podniesionym

*czołem zdam sprawę komu trzeba, wydawcy, ministrowi, premierowi,
społeczeństwu, ale drżącym krokiem, z niepokojem w sercu, zbliżyć się
będę do groźnego arbitra: do młodej ślicznej kasjerki.*

Zwycięstwo

*Następne dni i tygodnie nie poskąpiły mi przedziwnych i tęgich
przygód, lecz ażeby je lepiej zrozumieć — chociażby aresztowanie mnie
lub znalezienie się nieco później w tak niezwykłym położeniu, że na
chwilę wyglądało prawie jak gdyby o krok od poważnego
niebezpieczeństwa — żeby to zrozumieć, wypada pokrótce, w
najprostszym zarysie, nakreślić tło politycznych wypadków w Gwinei.
Gdy w XIX wieku Francja tworzyła imperium kolonialne, od samego
początku starała się — w przeciwieństwie do Wielkiej Brytanii — kolonie
swe zasymilować, zespolić z metropolią do*

27

*tego stopnia, by jak najszybciej stały się przedłużeniem Francji, a ich
mieszkańcy — kolorowymi Francuzami jakiejś tam kategorii. „Nasi
przodkowie, Gallowie...” kazano uczyć się małym Malgaszom i
Murzyniątkom z francuskiego elementarza, dopóki sami Francuzi nie
wysztydzili takiej bzdury.*

*Żeby potocznie rzecz nazwać: Francja chciała posiadać swe kolonie o
wiele mocniej niż inne potęgi kolonialne i dlatego też, gdy wybiła
godzina historyczna, nie chciała jej zrozumieć ani ustąpić z niczego.*

*Tymczasem wojna światowa — czytaj: bankructwo Francji w Europie i
wzrost autorytetu Związku Radzieckiego — rozogniła dążenia wolności*

ludów afrykańskich. Po wojnie Francja, gotująca się do kampanii w Indochinach, z początku nie zwalczała tych dążeń, w dowód czego na przykład zgodziła się na zjazd w Bamako nad Nigrem w 1946 roku. Był to zjazd afrykańskich patriotów ze wszystkich francuskich posiadłości w Afryce. Potem jednak Francja wszczęła krwawe represje wojskowe i na kontynencie afrykańskim, i na Madagaskarze.

Dopiero klęska w Indochinach, uwikłanie się w wojnę algierską oraz oburzająca Francuzów „ustępliwość” Wielkiej Brytanii wobec Ghany i Nigerii zmusiły Francję do ustępstw. W ramach tak zwanego loi-cadre przyznawała poszczególnym częściom francuskiej Afryki pewną autonomię, a między innymi prawo do tworzenia partii nawet o tendencjach antyimperialistycznych, przekonana, że łatwo będzie mogła nadal trzymać Afrykanów w ryzach, przekupując ich przywódców na różne sposoby, łapówką czy zaszczytami. Na ogół ta metoda odnosiła skutek, jak o tym świadczył przykład premiera Houphouet-Boigny na Wybrzeżu Kości Słoniowej, który z gorliwego

17

bojownika afrykańskiej niezawisłości stał się dziś marionetką francuskich interesów.

Inaczej potoczyły się wypadki w Gwinei. Była to kolonia uboższa niż inne i bardziej cierpiąca pod uciskiem despotycznej administracji.

Tworząca się tutaj Partia Demokratyczna Gwinei wyszła głównie ze związków zawodowych, była więc bardziej lewicowa i wojownicza. Na jej czele stanął człowiek o nieprze-

ciętym umyśle i wyjątkowych zdolnościach, przy tym świetny organizator, Sęku Turę. Czerpiąc naukę z doświadczeń demokracji ludowych, Sęku Turę przyswajał sobie i swym towarzyszom metody organizacyjne tych demokracji. Wkrótce jego partia ogarnęła całą Gwineę gęstą siecią. Nie było ważniejszej wsi bez komórki partyjnej. Administracja kolonii musiała się liczyć z partią, musiała pogodzić się z faktem wyboru Sęku Turego na burmistrza Konakri, a po walnym zwycięstwie partii w wyborach wiejskich na początku 1956 roku całkowicie zdemokratyzować szefostwa kantonów, dotychczasowe narzędzie gnębienia ludu.

Gdy w roku 1958 de Gaulle odbywał po Afryce swą słynną propagandową podróż, by przekonać kolonie do Wspólnoty Francuskiej, i zawitał także do Konakri, Sęku Turę wypalił ognistą i równie słynną przemowę, obwiniając Francję o nieszczerą grę i chęć przemylenia kolonializmu pod inną nazwą. Sprowokowany tym de Gaulle publicznie oświadczył, że Gwi-nejczycy mogą wypowiedzieć się w referendum za zupełną niezależnością Gwinei, jeśli sobie tego życzą, i Francja to uzna, ale cała ciężka odpowiedzialność za ryzykowny krok spadnie na wyborców. Inne kolonie dały się zastraszyć i wybrały Wspólnotę. Gwinea, ku zdumieniu de Gaulle'a, wybrała niezależność niemal jednogłośnie, bo dziewięćdziesięcioma pięcioma procentami głosów. Partia Demokratyczna Gwinei była zahartowana, co francuscy mężowie stanu dotychczas lekceważyli, więc nie dała się zastraszyć ani

przekupić.

Referendum odbyło się we wrześniu 1958 roku.

Rozgniewane władze kolonialne za karę ogołociły Gwineę w ciągu trzech tygodni z całego aparatu urzędniczego, wojska, policji, spodziewając się, że kraj padnie pastwą anarchii i wszystko się zawali.

Znowu nie liczyły się ze sprawnością partii i z zapalem społeczeństwa.

Po chwili nieznacznego rozstroju życie kraju weszło na normalne tory, spodziewane watahy Ful-bejów nie wypadły z gór, nie przyszły grabić stolicy — a groźby i złowieszcze przepowiednie spaliły na panewce.

Zwycięstwo młodej republiki, rzecz prosta, nie sprowadziło

29

sielankowego pokoju. Francuska Afryka wciąż pozostawała w stanie wrzenia. W krajach sąsiadujących z Gwineą działały siły, ciężące do zupełnego oderwania się od Francji. I przeciwnie, były tam inne siły, podsycane przez niedawnych administratorów kolonialnych, groźne dla niezawisłości Gwinei. Nie można było odkładać broni ani zasypiać na zdobytych szczytach. Gwinejczycy musieli być czujni, a jeśli ich czujność przybierała czasem pokracczną postać, kto sprawiedliwy mógłby im wziąć to za złe po roku zaledwie własnych rządów?

Ząbkowanie

18

Pewnego popołudnia zatelefonowałem z mego hotelu do milego Francuza, Guirarda, agenta Polskiej Żeglugi Morskiej w Konakri, i zaprosiłem go na aperitif. Guirard wkrótce przyjechał swym autem, ale,

że to była dopiero czwarta godzina i piękna pogoda, zaproponował przejażdżkę poza miasto. Świetny pomysł.

Jak wspomniałem, Konakri zbudowano na samym końcu półwyspu Kalum. Miejsca już więcej tutaj nie było, więc dalsza rozbudowa miasta potoczyła się cienkim pasem nad jedyłą autostradą, idącą z miasta w głąb kraju. Tą drogą wyjechaliśmy.

Warsztaty, sklepy, domy mieszkalne i chaty ciągnęły się jeszcze przez kilka kilometrów, im dalsze, tym skromniejsze i rzadsze, ale nawet gdy ich prawie wcale już nie było, jedna rzecz pozostawała bez zmiany: wysokie lampy jarzeniowe, wznoszące się co pięćdziesiąt metrów nad drogą. Powitałem je radośnie jak dobre znajome. Dwa czy trzy lata temu Poznań po którychś międzynarodowych targach dostał zupełnie takie same lampy. Wydawały się one wówczas poznańczykom, dumnym z tego nabytku, ostatnim krzykiem techniki i postępu. Tutaj już dawno przyświecały przedmiejskiej ludności Konakri i zwierzątkom w rozpoczynającej się brussie czarnego lądu — więc ucieszyłem się na wspomnienie Poznania i jego zdobyczy.

30

Peugeot Guirarda łatwo wyciągnąłby stowudziestkę na takim asfalcie, ale ponieważ był to spacer, człapaliśmy tylko osiemdziesiątką. Mimo to czułem — jak to się pięknie mówi — że mi skrzydła rosły u ramion, było to bowiem pierwsze zetknięcie się z właściwą Afryką.

Konakri już po kilku dniach pobytu wychodziło gardłem komuś, kto nie miał swego auta, a kurzu nie lubił i coraz mniej miał czasu, by

cierpliwie znosić próżne przyrzeczenia władz — toteż teraz z rozkoszą

wchłaniałem

afrykański

krajobraz,

gdy

minąwszy

lotnisko

wjechaliśmy w typową sawannę. Był to rozległy step, pokryty wysoką i

suchą o tej porze trawą, ale upstrzony tu i tam tyłoma drzewami, że z

daleka zlewały się jak gdyby w jeden piękny park. Przeważały

mangowce i palmy oleiste, mangowce — soczyste kule jak gdyby

zielonych Sancho Pansów, palmy — jak szczupłe, wydłużone postacie

błędnych rycerzy.

W popołudniowym słońcu, zawsze pochlebnym dla urody kobiet i

krajobrazów, wszystko wyglądało różowo i przymilnie. A że

wyrwaliśmy się z dusznych nastrojów Konakri i pędziliśmy jak upojone

ptaki w ogromną Afrykę, ląd o niewypłowialej wciąż jeszcze

tajemniczości — było nam dobrze. Rozpierało nas podniecające uczucie

swobody.

Było nam dobrze aż do Koyi.

W Koyi, maleńkiej miścinie niczym się nie odznaczającej, Guirard

zatrzymał auto na placu pośrodku miasteczka i wyskoczył, by kupić

papierosów. Ja również wyszedłem, a że nie miałem nic do czynienia,

zjąłem z ramienia rolleiflexa i chciałem coś sfotografować. Niestety,

*gdziekolwiek kierowałem aparat, nic ciekawego nie było ani domów,
ani ludzi, więc zamknąłem lustrzankę i chciałem ją schować.*

*Nagle ujrzałem wzburzonego Gwinejeżyka, który wypadł z jakiegoś
domu przy placu i energicznym krokiem zmierzał ku mnie. Ostre*

19

*spojrzenie, jakim mnie przeszywał, nie wróżyło nic dobrego. I
rzeczywiście, gdy podszedł, wskazał na aparat, żądając ostro:*

— Pokażcie zezwolenie na fotografowanie!

51

— Excusez-moi! — uśmiechnąłem się zdziwiony. — Kim pan jest?

Gwinejczyk był w cywilnym ubraniu.

— Policja! — odrzekł krótko.

*— Nie mam żadnego zezwolenia — wyjaśniłem jak naj-grzeczniej. — Nic
o tym nie wiedziałem...*

— Nie wolno bez tego fotografować! Wydajcie mi film! — rozkazał.

*— Ależ ja wcale nie fotografowałem — broniłem się. — Proszę patrzeć:
wciąż numer pierwszy zdjęcia.*

*Przekonał się, że w odnośnym okienku aparatu widniał numer
pierwszy, i zażądał:*

— Dokumenty osobiste!

*— Nie mam: cztery dni temu przyjechałem statkiem i paszport jest
jeszcze w „Surete”.*

*— Proszę za mną! — zawarczał, a na Guirarda, który właśnie się zbliżał,
energicznie kiwnął palcem: — Wy też!*

Odwrócił się i szedł, my posłusznie za nim.

Z szubienicznym humorem pomyślałem sobie, że role się zmieniły, a czarny człowiek za wielowiekową poniewierkę brał teraz skromny odwet na białym. Opowiadano mi, że niedawno policja nieźle poturbowała w Gwinei pewnego Francuza, gdy nie chciał natychmiast pokazać dowodu osobistego, a przed czterema miesiącami czeskiego filmowca, wędrującego w głębi kraju ze wszystkimi papierami w porządku, władze jakiegoś gorliwego miasteczka nawet wsadziły do buchty na trzy dni, zanim sprawa się wyjaśniła. Co prawda tu, o pięćdziesiąt kilometrów od stolicy, nie groziły mi takie tarapaty, ale — postanowiłem mieć się na baczności.

Gdy wchodziliśmy do komisariatu, zbiegło się już kilkudziesięciu mieszkańców Koyi; zbitą masą zapelnili drzwi i wszystkie okna budynku, by widzieć teatr z białymi.

Gwinejczyk, który nas zaczepił, był komisarzem. Niezwłocznie siadł za biurkiem i spisywał protokół. Potrzebował nie tylko nazwisko i imię moje, ale i mych rodziców, i żony, i dzieci, i kiedy się rodziłem, a kiedy żeniłem, a żona skąd

32

Szable, dobyte do polowy z pysznych pochtil

tJliifn

r

pochodziła, itp. Chętnie i grzecznie odpowiadałem na to i na wszystko inne. Gdy dowiedział się, że jestem Polakiem, spojrzał na mnie

niedowierzająco, ale wszelkie wątpliwości minęły, gdy wymieniłem nazwę statku, na jakim tu przybyłem: Szczecin. Francuz nie umiałby trudnego słowa wymówić tak poprawnie. A gdy mu jeszcze

wytłumaczyłem, że zamierzałem napisać o Gwinei miłą książkę, bo

20

jestem literatem, spuścił nieco z tonu i pozwolił nam odjechać ku rozczarowaniu gawiedzi.

Byłem przez cały czas uprzedzająco grzeczny i baczyłem, żeby niczym nie zadrażnić jego ambicji. To, przypuszczam, niemało rozstrzygnęło na naszą korzyść.

Gdy już wsiedliśmy do samochodu i Guirard wykręcał dokoła placu, wyskoczył za nami umundurowany policjant, energicznie nas zatrzymał i kazał nam wrócić do komisariatu. Trąciło to szykaną, ale i tę próbę zdaliśmy celująco, bez wahania spełniając rozkaz. W miejską gawieź, która już rozchodziła się do domów srodze zawiedziona w najmiłszych nadziejach, wstąpił nowy duch i cała czereda z wzniosłym triumfem po-skoczyła znowu do komisariatu, przekonana, że ujrzy egzekucję białych przestępców.

W komisariacie zasiedliśmy tak samo jak przedtem i komisarz przesłuchiwał teraz Guirarda, spisując podobny co ze mną protokół.

Gdy skończył, zażądał jeszcze ode mnie numeru rolleiflexa, po czym ostatecznie pozwolił nam odejść.

*Na pożegnanie podaliśmy sobie dłonie, ale wypowiedziawszy obrzędowe *au revoir* — „do widzenia” zaśmiałem się z tego:*

— *Nie, tu już nie przyjedziemy — chyba że z pięknym zezwoleniem na fotografowanie!*

— *C'est ça, bardzo proszę! — potwierdził komisarz urzędowym głosem.*

Guirard zaraz za Koyą rozpędził się z szybkością stu kilometrów, jak gdyby w obawie pościgu, i przez dobry kwadrans milczeliśmy przygnębieni. Potem, spojrzawszy na siebie, buchnęliśmy równocześnie śmiechem.

— *Choroba ząbkowania — stwierdziłem — i znakomicie ją*

~ Nowa przygoda

50

r°zUmiem. To zapewne konieczność dziejowa, tak samo jak t°> że musimy zaraz wypić ten aperitif!

Wypiliśmy go po drodze na werandzie w barze lotniska i byliśmy tu świadkami

innego

objawu

konieczności

dziejowej,

znacznie

poważniejszego: dwa wielkie samoloty Air-France stały gotowe do

odlotu, jeden do Paryża, drugi do Ab'dżanu, stolicy francuskiego

Wybrzeża Kości Słoniowej. Na dany przez policję znak dwie grupy po

kilkudziesięciu pasażerów wysypały się na dziedziniec i spieszyły do

samolotów. Co kilka dni taka Paczka Francuzów, przeważnie młodych,

opuszczała Gwineę.

Motyle

Jeszcze zanim z Polski dostałem jakikolwiek znak życia od r°d.ziny lub przyjaciół, doręczono mi w Konakri niepowszedni list, niepowszedni dlatego, że nadany cztery dni przedtem w Czechowicach-Dziedzicach, że doleciał w tak krótkim czasie, i że w ogóle doleciał do mnie. Adresowany był: Arkady Fiedler, Cotiakry, Nowa Gwinea. Gdy go otworzyłem, nie mogłem oprzeć się wzruszeniu.

„Zapewne — pisał Jan Wójcicki z Czechowic-Dziedzic — Pan się zdziwi listem moim, a może i nie, bo Pana wszyscy bardzo kochają za te książki. Jestem przyrodnikiem, zbieram motyle i Owady i strasznie Panu zazdroszczę chwytania motyli. Tak ra^ło Pan o tych motylach pisze, a najwięcej o ptakach i ssakach. Nie wiem, czy ten list do Pana

21

dojdzie, bo adres mam tylko z gazety. Jeśli dojdzie, to bardzo Pana proszę o parę słów i o parę motyli, a po powrocie bardzo Pana do siebie za-

^sza

Jan Wójcicki dodał do listu „tradycyjny opłatek na nadchodzące święta" i zakończył prośbą, żebym nie pogniewał się za 3ego śmiałość.

i>

Nie pogniewałem się, lecz, po prawdzie, list rozrzewnił i nastroił do zadumy. Jakaś wielka, święta pasja — to

34

łowienie motyli. O ileż szlachetniejsza niż zwykle myślistwo, które zaspokaja atawistyczną żądzę zdobycia mięsnego żeru. Natomiast łowienie motyli czyni zadość wyższemu porywom, u jego źródła jest kultura piękna. Nawet bezduszni zbieracze ulegali, jego magii i od czasu do czasu, zaglądając do swych zbiorów, cieszyli się urokiem motyli barw.

Zamówienie z dalekiej północy wziąłem solidnie do serca, ale trudniej było je spełnić. Zima w tej części Afryki, chociaż buchająca ostrym żarem, przypadała w porze suchej, kiedy przez miesiące nie było kropli deszczu i niektóre drzewa gubiły liście. Cała roślinność traciła twórcze soki, zapadała w omdlenie, a wraz z nią na psy schodziły owadzie rody.

Motyle niezupełnie wyginęły, tu i ówdzie się błąkały, niestety, było ich serdecznie mało.

Chodząc po mieście spozierałem na drzewa, to mangowe, to palmy kokosowe, ale motyli ani śladu, widać nie podobały im się drzewa, a zapewne także uliczny ruch i swąd benzyny. Przecież wystarczyło wyjść trochę na przedmieście, między zapuszczone gaje, i już było weselej, a życia więcej.

Na czwartym kilometrze od centrum miasta mieściła się siedziba naszej delegacji handlowej i często przychodziłem tu na obiad do gościnnych gospodarzy. Siedziba tonęła w ogródku, pełnym ozdobnych krzewów, wśród których ogniste hi-biskusy wodziły rej, a dalej otaczała ją rozpasana roślinność afrykańskiego przedmieścia. Sielski chaos zieleni

był rajem dla motyli — i wyobrażałem sobie, ile wspaniałych okazów hulało tu w porze deszczowej. Ale nie teraz, w grudniu. Dopiero na trzeci czy czwarty dzień pojawił się jakiś szaraczek, niezawodnie z pospolitej rodziny pstrokolników. Wszakże i on, choć niepokąźny, kaprysił i nosem kręcił na śliczne kwiaty. Nie zagrzawszy miejsca, pognął sobie gdzie pieprz rośnie, a my z Piotrusiem nie żalowaliśmy go.

Piotruś, hej, to był chłopak na schwał. Synek delegata handlowego Skwierczyńskiego, miał cztery pełne lata, ale temperamentu i rozumu znacznie ponad wiek. W ciągu kilku miesięcy zawojował wszystkich czarnych rówieśników w oko-

35

licy, gadał z nimi jak z braćmi w języku susu, a z kierowcą Kwame zawarł przyjaźń na śmierć i życie. Będąc i moim przyjacielem, zapalił się piorunem do motyli, ale ogień łatwiej było wzniecić niż utrzymać.

*Sknera przyroda nie podrzucała nam motyli tyle, ile na rozgrzewkę potrzebował nasz entuzjazm. Że kiedyś wpadł do ogrodu wytworny żeglarz, cały czarny z białą plamą, wielką i dziwną (jakiś *Amauris**

22

*zapewne), wpadł jak bomba, jak po ogień, i zaraz znikł — to i cóż? Że raz przeleciał wysoko nad ogrodem jak czarno-żółty samolot okazały witeź, zapewne *Papilio demodocus*, płochy i piękny — czy to miało starczyć?*

Starczyć zwłaszcza Piotrusiowi? Czyż nie było dlań lepszych uciech?

*Miał przecież młodą żywą antylopę minę, przez Francuzów zwaną *guih*, którą Kwame nabył w wiosce *Dabila* i przywiózł dla Piotrusia. Urocze*

koźlątko wyróżniało się sierścią jasno-brązową w białe pręgi i wielkimi łyżkami-uszami, a było wymarzoną zabawką. Piotruś mógł je kochać, głaskać i karmić i — co było dla niego najzabawniejsze — mógł się z nim fotografować. A poza tym z jeszcze większą rozkoszą Piotruś pakował się razem z kierowcą Kwame do samochodu, siadał przyjacielowi na kolanach i majstrował: zapuszczał motor, wylączył sprzęgło, nastawiał bieg, kręcił sterem, a gdy auto ruszało, był przekonany, że to on, inżynier Piotruś, wprawiał je w ruch.

Któregoś dnia lepsze widoki zaświtały motylom: zelżał dia-belny harmattan, mniej było kurzu na niebie i zaraz więcej motyli w ogrodzie. Już nie tak pierzchliwe, baraszkowały wesoło nad krzewami i niekiedy nawet siadały na kwiatach. W towarzystwie Piotrusia czyhałem na nie z siatką (tą samą, którą uroczy zoolog Pniewski z poznańskiego muzeum przyrodniczego pożyczył mi do Indochin), ale wynik łowów był skromny: ani motyle, ani ja nie okazywaliśmy wiele cierpliwości.

— Po co pan je łowi? — pytał Piotruś w chwilach zwątpienia, gdy zbyt długo nic nie przylatywało. — Po co, panie?

Ach, Piotrusiu, co ci odpowiedzieć? Że łowiłem dla miłoś-

56

nika w Polsce, by mu sprawić radość? Że motyle budziły wspomnienia moich pierwszych, płomiennych porywów z lat dziecięcych? Że i ty, malcze, gdy trochę podrośniesz, z pewnością ulegniesz ich urokowi? Że kiedyś pisałem, iż dzieci i motyle należą do siebie? Więc co ty na to, Piotrusiu, czy będziesz do nich należał?

Przyleciał raz witeź — Papilio — ogromny, że nam serca zabiły żywiej. Nawet Piotrusia porwał. Papilio był czarny z żółtymi i brązowymi plamami, a szybował majestatycznym lotem niby pyszałek i jakiś wódz skrzydlaty. Olbrzym wyglądał jak butny ptak. Zamierzał przelecieć, ale coś go zaciekawiło w naszym ogrodzie i zniżył lot. Poznałem go. Był to Papilio antomachus, dalibóg, sławny antomachus! Zazwyczaj górnołotny i czujny, niedościgły jak wiatr, teraz zatoczył tuż nad krzakami kilka kół i siadł na wybujalym kwiecie hibis-kusa — własnym oczom nie wierzyliśmy: siadł, aż kwiat się pod nim ugiął. Cały zjeżyłem się w nagłej drapieżności i jak zwierzę jęłem chyłkiem podchodzić. Już byłem blisko, jeszcze krok, jeszcze pół kroku — nie wytrwał. Zerwał się. Machnąłem w powietrzu siatką, ale była mała, chybiłem. Wzbił się błyskawicznie i przepadł za wierzchołkami drzew. Przygoda wywołała słuszne podniecenie i długo jeszcze płonęły mi policzki; najchętniej opowiedziałbym komuś, choćby Piotrusiowi, niezwykle dzieje motyla: był ów Papilio tak uderzający, że nawet surowi handlarze niewolników, przyjeżdżający w XVIII wieku na wybrzeża Afryki Zachodniej, zauważyli go i już wtedy przywieźli jego opis do Europy. Ale dopiero w sto lat później pierwsze okazy dostały się do zbiorów europejskich i — co najciekawsze — były to wyłącznie samce. Lata mijały, do Europy przywożono tych motyli coraz więcej, ale wciąż

to samo, jakby kto czary rzucił: tylko samce i samce, ani jednej samiczki. Przyrodnicy łamali sobie głowę nad tajemnicą — daremnie.

Dopiero na początku XX wieku znaleziono klucz do zagadki. Cwane samiczki antomachusa wyglądały zupełnie inaczej. Całkowicie porzuciły wystawny

37

strój mężów i przybrały inne łaszki, znacznie szczuplejsze, mniej odświętne, za to kubek w kubek naśladowujące motyle z obcej rodziny Acraea. Acraea były nietykalne dla wrogów: cuchnęły odpychająco i tym samym chroniły również samiczki antomachusa.

;

Rycerz tych spryciarek, przelatując przez nasz ogród, wzniecił szczerzy podziw.

Lecz co z Piotrusiem? Oto kierowca Kwame dał sygnał dźwiękowy na ulicy i Piotruś jak strzała wyskoczył do niego. Popędził tam, dokąd serce ciągnęło. Motyle poszły w odstawkę. Piotrusia pochłonął czar motoru: duch czasu, silniejszy niż wszystko inne.

Gdy nieco ochłonąłem z wrażeń, westchnąłem z ulgą i uczułem radość, że nie udało mi się złapać kuszącego motyla. Toż tak dorodne stworzenie powinno żyć, a Jan Wój cieknie nie weźmie mi tego za złe.

Magia

*Pierwotną umysłowość animistów i ich zawile — w naszych oczach —
pojęcie winy nieźle odzwierciedla zabójstwo Francuza Henri Maitre'a,
dokonane w 1935 roku w południowych Indochinach.*

*Ów dzielny administrator, etnograf i badacz krain zamieszkałych przez
prymitywnych Mojów, był nie tylko doskonałym znawcą tych szczepów,
ale również wypróbowanym ich przyjacielem i opiekunem. Jego dzieła,
opisujące życie i obyczaje Mojów, należą do najwybitniejszych w tej
dziedzinie.*

*W roku 1935 Maitre gościł przez dłuższy czas w ich siedliskach na
pograniczu Kambodży i południowego Wietnamu. Znając świetnie
zwyczaje Mojów wystrzegał się, żeby w niczym im nie uchybić. Oni
również dobrze znali jego szczerą ku nim przychylność i byli mu
życzliwi. Mimo to pewnego dnia zamordowali go, gdy przypadkowo i
nieświadomie przekroczył jakiś ich surowy a tajny zakaz. Przed
kolonialnym sądem*

*tłumaczyli się kaducznie niezrozumiale dla białych sędziów. Między
innymi przyznawali, że Maitre był ich przyjacielem i że o zakazie nic nie
wiedział, ale to właśnie obciążało go w ich magicznym wyobrażeniu
niewybaczalną winą: mianowicie, będąc ich przyjacielem, powinien był
przeczuwać święty zakaz, a przez to, że nie przeczuwał, dopuścił się
zbrodni wobec szczepu i musiał zginąć.*

*Niejaki Alfred Marche, Francuz, wydał w 1882 roku książkę pod
tytułem: „Trzy podróże do Afryki Zachodniej”. Opisał zdarzenie, jakiego
był świadkiem nad rzeką Ogowe w Gabonie (rzeką, nad którą słynny dr*

Albert Schweitzer później zbudował swój szpital). Otóż dwie dziewczyny wyprawiły się łódką do miejsca, gdzie można było zbierać soli.

Wyruszając z wioski, namówiły trzy przyjaciółki, by pojechały razem z nimi i cała wesola piątka wypłynęła na rzekę. Wszakże podczas przebijania się przez bystrzyny łódka wywróciła się, wszystkie dziewczoje

24

wpadły do wody, dwie — te pierwsze — z trudem dotarły do brzegu i uratowały się, ich trzy przyjaciółki natomiast zatonęły.

Zwykły nieszczęśliwy przypadek, ale gdy ocalałe dziewczyny wróciły do wsi, na ich głowy dopiero zważyło się piekło. Namówiły one przyjaciółki do wspólnego wyjazdu, więc dopuściły się winy zabójstwa, a zawiniły, gdyż głos wewnętrzny powinien był im powiedzieć, że ich namowa pociągnie za sobą śmierć tamtych. Ponieważ nie przeczuli tego, popełniły przestępstwo i poniosły zasłużoną karę: wieś sprzedała je obcym handlarzom do niewoli.

Powyższe wypadki osobliwej winy, spowodowanej brakiem przeczucia, jak żywe przypomniały mi się pewnego gorącego wieczoru w Konakri. Z miłym sekretarzem naszej delegacji handlowej, Mieczysławem Eiblem, śpieszyłem na godzinę dziewiątą do kina „Palace”. Po drodze Eibel spotkał znajomego Gwinejeżyka, którego zaprosiliśmy ze sobą, i minutę po dziewiątej dopadłem do kasy w bramie. Z głębi kina dochodziły dźwięki jakiejś muzyki, jak to zwykle bywa przed wyświetlaniem filmu.

38

39

"jLz,

Zdyszany poprosiłem o trzy bilety, ale stojący kasjer nie ruszył się, nieznacznie tylko potrząsając głową. Eibel, który w tej chwili podszedł do mnie, wskazał mi wiszącą kartkę z wydrukowanym nakazem, że należy z szacunkiem wysłuchać gwinejskiego hymnu narodowego, granego przed seansami. Dźwięki z głębi kina były hymnem narodowym, wprowadzonym w życie przed dwoma czy trzema dniami: natychmiast wyprężyłem się na baczność i tak stałem do końca muzyki. Gdy hymn ucichł, nagle zakotłowało się dokoła nas od zgiełku i ciżby. Przyskoczyło kilku sierdzistych policjantów w mundurach oraz kilku agentów w cywilu i zaczęło na wyścigi aresztować wszystkich białych, stojących przed kinem — Francuzów, Libańczyków. Służbisty komisarz, zażywny i zapalczywy, dopadł także Eibla i mnie, krzyząc: — Was też aresztuję! — podczas gdy inny policjant przytrzymywał naszego towarzysza Gwinejeżyka, pomimo że był on jeszcze daleko przed kinem. Wszystko to odbyło się migiem, w zwariowanym tempie.

— Stałem na baczność jak należy — usiłowałem tłumaczyć się grzecznie.

— Za późno stanęliście! — odparsknął komisarz.

— Skoro tylko zrozumiałem, że to...

— Za późno!! — huknąwszy, przerwał moje słowa. — Nie stawiać oporu.

— Przecież nie stawiam oporu! — uśmiechnąłem się. — A ten nasz przyjaciel Gwine jeżyk stał daleko od kina. On przecież nic nie przeszkrobał...

— *Milczeć! Nikt was nie pytał o zdanie!...*

W jego czarnej twarzy wojowniczo błyskały białka oczu. Umilkłem, bo nawet nie było już z kim się wadzić: spędzono nas w jedną kupę, składającą się z około tuzina winowajców, i, otoczonych zewsząd eskortą, pognano do centralnego komisariatu policji, na szczęście oddalonego tylko o kilkaset metrów.

Po drodze Eibel, idący o trzy kroki przede mną, na wpół

40

25

odwrócił się, by przelotnie zobaczyć, gdzie jestem. Natychmiast policjant wlepił mu szturchańca w bok i brutalnie popchnął do przodu.

Odbywało się to całkiem poprawnie, na wzór klasycznych filmów,

pokazujących karawanę pojmanych re-beliantów lub niewolników-

Przygoda i złościła mnie, i równocześnie bawiła; bawiła, bo przecież

jasne było, że nic nie zrobiliśmy i dla braku winy zaraz nas wypuszczą.

W komisariacie kazano nam siąść na ławie oskarżonych przed sędzią,

Gwinejezykiem o nasrożonej twarzy. Gdy usłyszeliśmy, jak ostro

zwymyślał pierwszego Libańczyka, nazywając jego czyn zbrodnią —

zrzędy nam miny. Skazano Libańczyka na noc w areszcie i grzywnę

pięciu tysięcy franków, czyli przeszło dwudziestu dolarów. (Jak później

się dowiedzieliśmy, wszyscy inni, głównie Francuzi, ponieśli podobne

kary).

Sędzia zgodził się, by mnie przesłuchać jako drugiego. Łatwo było

wykazać naszą niewinność nieświadomością tego, co oznaczały odległe

*dźwięki, i natychmiastowym przybraniem godnej postawy z chwilą
zrozumienia, że to hymn narodowy — ale ku mojemu zdumieniu
argumenty nie przekonały sędziego. Z niepokojem starałem się
przeniknąć jego chmurną twarz: może żal mu było tracić smaczny kąsek
— grzywnę? Może, kto wie, pomimo postępu społecznego, siedziały w
nim resztki magicznego ducha owej wioski znad Ogowe, skazującej dwie
dziewczyny za to, że nie przeczuły katastrofy? Może Eibla i moją winą
było, że nie przeczuliśmy dostojności dźwięków, dochodzących z
daleka?*

*Walcząc o swą skórę (i kiesę), wyłożyłem sędziemu, że przyjechałem do
Gwinei jako polski literat, pragnący napisać o młodej republice
przyjazną — tak jest: przyjazną! — książkę, ale i to nie wywarło
należytego wrażenia poza tym, że sędzia jednak trochę się zastanowił i
dla pewności wolał zasięgnąć wskazówki samego dyrektora policji.
Poszedł, by do niego telefonować; wrócił z kwaśną miną łowcy, któremu
wymknęła się z rąk zwierzyna.
— Możecie iść! — burknął do Eibla i do mnie.*

— *A nasz przyjaciel, Gwinejczyk? — zapytałem.*

— *On tu zostanie!*

— *Ależ on zupełnie niewinny. On...*

Dopadło nas dwóch czy trzech agentów i fachowo chwyciło za ramiona z surowym stwierdzeniem:

— *Wy załatwieni! Odejdźcie! Nie mieszajcie się do nie swoich spraw...*

Poszliśmy.

— *Znowu niewinny objaw ząbkowania młodego państwa! — zaśmiałem się do towarzysza i wróciliśmy w te pędy do kina, by jakimś dobrym filmem splukać na wesoło osad lekkiego piotunu.*

Ale i tu mieliśmy pecha. Ujrzelśmy zakończenie „Afryki” Disneya, reportażu z życia w południowoafrykańskim rezerwacie zwierzyny.

Film kolorowy, wspaniały w formie, przykry w treści: jakieś półoswojone lwy i lamparty dziwnie napadały na półoswojone antylopy, które półsennie uciekały i, łatwo doganiane i rozdzierane od niechcenia, padały ofiarą półgłod-nych drapieżników.

26

Handlarze

Większość Afrykanów, a wszystkie Afrykanki mają żyłkę do handlu.

Lubią sprzedawać, to chyba ich największa namiętność — i lubią targować się. Niektóre ludy, jak Haussa, zajmują się wyłącznie

handlem, a ich domokrażcy przebiegają całą Afrykę Zachodnią, docierając do każdej wioski.

W tak niewielkim stosunkowo Konakri istniało ponoć do dziesięciu tysięcy przekupek. Elita ich promieniała do południa na głównym targowisku i sprzedawała produkty ziemi i rzemiosła. Były to przeważnie matrony korpulentne i dumne, a strój nisie tak barwnie odziane, że gromady ich sprawiały wrażenie ogrodu fantastycznych kwiatów.

Te zamożne paniusie patrzyły z góry na wszystkie inne sprzedawczynie.

Oprócz nich pod koniec dnia na ruchliwszych uli-

42

cach zjawiało się mnóstwo kobiecín, które, siedząc cierpliwie godzinami do późnej nocy, wystawiały na małych stolikach swój śmiesznie skromniutki towar: pięć, sześć pomarańcz. Konkurencja była tak liczna, że wiele babin o północy zanosíło do chaty nie sprzedany towar, ażeby, niczym nie zrażone, powtórzyć następnego dnia te same obrzędy: siadać i czekać daremnie. Czy powodowała to skrajna nędza, czy dziwactwo cierpliwości? Chyba ani jedno, ani drugie. Raczej wrodzona towarzyskość, rozkosz doznawania więzi z całym miastem. Niewiasty te były życzliwe, skromne, chętne do rozmowy i subtelne.

Gdy siadałem na werandzie „Avenue Bar”, co chwila podchodzili do mnie sprzedawcy papierosów. Ich także było zatrzęsienie, a każdy miał po kilkanaście zagranicznych paczek, nie więcej. Młodzi mili chłopcy setki razy dziennie słyszeli tę samą odmowę, ale i oni, tak samo jak

sprzedawczynie

pomarańcz,

wyznawali

filozoficzną

skromność

*cierpliwych wędkarzy. Łagodni, przychylni i uśmiechnięci, godzili się z
losem.*

Rażący kontrast tych ludzi stanowiła inna kategoria kupców,

zapalczywa, bezwzględna, łapczywa, banda handlarzy przedmiotów

sztuki. Jak nieraz w dziejach ludzkości, tak i tu szczytne piękno miało

podłych kapłanów. W porównaniu z nimi Shylock był świętym,

Harpagon — Rockefellerem.

Mieli swe stoiska na ulicy niedaleko „Avenue Bar”, skąd widziało się ich

machinacje. Było ich kilkunastu. Wszyscy trzymali się kupy pod jednym

długim dachem straganowym i tworzyli zgraję niby głodnych okoni,

czyhających w kryjówce na płotki. Czarni pobratymcy nie obchodzili

ich wcale, kupcy mieli oko tylko na białych. A biali ciągnęli, zwabieni

cudami, jak ćmy do światła. Wabiły ich rzeźby w czarnym i czerwonym

drzewie i rzeźby z kości słoniowej, fascynowały poczwarne maski i

prześliczne rzeźby główek kobiecych, i szable w pochwach z czerwonej

skóry, i naszyjniki z magicznych orzeszków lub srebra, i wszelakie gri-

gri; czego tam nie było!

Szajka wydrwigroszów i ich natarczywość przejmowały mnie

lękiem, złością i wstrętem. Sto razy odżegnywałem się od nich i sto razy, ja, lichota bez hartu i charakteru, na złość swej złości, sromotnie ulegałem pokusie. Bronilem się, zapierałem, buntowałem — nic z tego. Opętany, w końcu jak do źródła na pustyni rwałem do krwiopijców, jak „do kochanki mknąłem rad”, w myśl milej piosenki.

Podchodząc do ich stoisk, przybierałem znudzoną, zniechęconą minę i starałem się na nic szczególnego nie patrzeć. Daremne zabiegi. Pierwszy z brzegu handlarz, młody, ale kuty spryciarz, Senegalczyk, po małej chwili przejrzał mnie na wylot i odczytywał moje myśli. Z triumfem na kpiarskiej gębie wziął do rąk spośród kilkudziesięciu rzeźb akurat tę, która najwięcej mi się podobała: popiersie Fulbejki.

— Bierz! — wtykał mi ją przemocą do rąk.

Nie przyjmowałem rzeźby, chowając ręce za siebie.

— Bierz ją! — wmuszał we mnie.

— Ile za nią?

— Osiem tysięcy franków. Rzeźba warta była najwyżej tysiąc.

— Wariat! — zachnąłem się z politowaniem i odwróciłem do następnego kupca.

Młody Senegalczyk doskoczył jak szakal i zastąpił mi drogę.

— Ile dasz? — zapytał z przejęciem.

W tej kompanii wszyscy mówili do siebie: ty.

— *Dam rozsądną cenę!*

— *To daj siedem i pół tysiąca!*

Nie miało celu dłużej przeciągać gadaniny, bo dotargował-bym się zaledwie do połowy jego pierwotnej ceny, a to było wciąż horrendalnie drogo.

— *Daj siedem tysięcy!* — syknął z pasją.

— *Merde!* —¹ wzruszyłem ramionami i uniknąłem jego rąk, które chciały mnie zatrzymać.

Następny kupiec był jowialnym lisem o wykrzywionych w sprośnym, uśmiechu ustach. Już czekał na mnie ze słoniem w ręku. Chwila nieuwagi, a w dłoniach mych tkwiła ciężka rzeźba, która mnie wcale nie interesowała. Kupiec nie chciał jej przyjąć z powrotem, nie pozwalając także odstawić jej na stole.

— *Non, merci!* — sprzeciwiałem się stanowczo.

— *Bierz!* — zawarczał na mnie zaklinającym głosem, — *Dziesięć tysięcy franków. Bierz!*

— *Za drogo!* — odrzekłem z całą powagą.

W jego oczach zamigotały błyski drapieżnej nadziei:

— *A ile dasz?*

— *Dam trzysta!*

Załamał się. Był komiczny paroksyzm w jego nagłym przeskoku z pożądlivosti w otchłań oburzenia, jakie znakomicie odegrał. Zaraz też ukarał mnie, jak na to zasłużyłem. Wyrwał mi rzeźbę z rąk i odwrócił

się tyłem do mnie.

Następny sprzedawca, znowu Senegalczyk, widział i słyszał to wszystko, ale uważał, że ma bardziej niezawodne sposoby ujarzmięcia nabywcy. Wyznawał magię dotyku, a był zarozumiały i gwałtowny, jakiś czarny dziki tygrys, mistrz wpadania w szal. Wielka szkoda! Miał śliczną rzeźbę głowy kobiecej, dzieło rzetelnej sztuki, które z ochotą

28

nabyłbym za uczciwą cenę. Niestety, między mną a rzeźbą chciwość łupiskóra kopła nieprzebytą przepaść.

— Bądź rozsądny, bądź ludzki! — nalegałem głosem wołającego na puszczy.

Zachwycony rzeźbą, odważyłem się wziąć ją do ręki, nie bacząc na skutki. A skutki nie omieszkały nastąpić. Senegalczyk wzdragał się odebrać rzeźbę i wpadł w trans. Wszakże jego zaklinający taniec i czary nie pomogły: rzeźbę odłożyłem oziębłe na stół między inne przedmioty.

Wtedy wzburzony porwał ją i zaczął nią napierać na mnie jak narzędziem napaści, wpychając mi ją na pierś, na brzuch, w ramię, gdzie się dało.

— Czyś bzika dostał? — ofuknąłem go, rozśmieszony jego zabiegami.

Dotyk rzeźby miał magicznym cudem spętać moją wolę. Przy tym Senegalczyk wołał nieustannie jak maniak: — Ile dasz? — Ja zaś odpalałem: — Ile chcesz? — i z takimi okrzyka-

45

mi doskakiwaliśmy sobie do oczu, on wściekły, ja rozbawiony.

Nerwowo rozbawiony.

Chciałem odejść. Wtedy chwycił mnie kurczowo za ramię i przemocą zatrzymał.

— Nie dotykać! — huknąłem i wyrwałem się.

Następny sprzedawca miał między innymi szablę z Labę, krainy dzielnych Fulbejów, istny majstersztyk sztuki kowalskiej i skórzanej.

Marzyłem o tej szabli i tykałem ślinkę na jej widok, a zapłaciłbym nieźle, cóż, kiedy hultaj również tykał ślinkę i chciał zedrzeć ze mnie skórę. A ja postanowiłem nie dać się.

Był to srogi choleryk, który widząc mnie zbliżającego się, już z daleka rzucał półgłosem zaklęcia w moją stronę. Wiedział, jak bardzo zależy mi na szabli, toteż cierpiał, że opierałem się jego cenie. Wytrzeszczał na mnie ślepią, miotał się i zachłystywał, biegał za mną i kusił, wymachiwał przed moim nosem szablą i huknął: sześć tysięcy — ale, zacięty, ani franka nie opuszczał. Więc i ja się zacinałem.

Heca z szachrajami do złudzenia przypominała mi bajki o królownie więzionej przez złe potwory. Tu także chciwe potwory broniły dostępu do ponętnych królowien i na to nie było rady. Kupcy uwzięli się na mnie i żyli rozkoszą dręczenia mnie. Był to rodzaj ich sportu, ich sadystycznej uczy.

Gdy to zrozumiałem, zmieniłem taktykę. Już nie podchodziłem blisko i nie okazywałem zainteresowania czymś szczególnym, lecz z dala, o kilka kroków, powoli defilowałem przed straganami. Czego zdzierusy nie robili, by mnie ściągnąć do siebie. Pomstowali, błagali, srożyli się,

pokazywali najpiękniejsze rzeźby, kipieli — ja tylko uśmiechałem się i kroczyłem dalej. Wreszcie znalazłem na nich środek. Teraz oni się męczyli, nie ja; ja, obojętny, byłem górą. Pocieszne syreny daremnie kusiły Odyseusza. Miałem przewagę.

Ale do czasu. Kupcy zmówili się i oddali mi pięknym za nadobne: przestali mnie widzieć. Nie istniałem dla nich. Gorzej, rozpowiadali, że u mnie bieda, aż piszczy, pustki w kieszeni, dlatego tak ich zwodziłem. Broń, jaką wytoczyłem, spalała na panewce.

29

Pewnego dnia przystąpiłem do ich stoisk. Wybrałem młodego kupca, najprzyswoitszego z nich i najmniej cynicznego, i zapytałem go o cenę niewielkiej maski. Wymienił oczywiście cenę wygórowaną, ale jeszcze znośną. Kupiłem bez targowania się. Gdy płaciłem, ciekawski musiał oczywiście zerknąć do mego portfela. Zdębiał na widok grubego pliku banknotów, a jeszcze bardziej zbaranieli jego kamraci, widząc mnie odchodzącego z kupioną maską.

Zaledwie następnego popołudnia zasiadłem w „Avenue Bar”, już biegł do mnie choleryk z szablą w ręku. Pałały mu oczy człowieka, trawionego gorączką. Dopadł mnie rozdrażniony i rzucił szablę na stół. — Bierz ją! — załkał z tłumioną wściekłością. Nastąpiła zwykła litania. — Ile chcesz? — Bierz ją, powiadam! — syczał zniecierpliwiony. — Ile dasz, ile dasz? — Tysiąc franków! — zażartowałem urągliwie.

— Dobrze, daj tysiąc! — jęknął. — Daj szybko!

Zbadałem dokładnie szablę, nic jej nie brakowało. Gdy wypłacałem sumę, ręce mu drżały. Cieszył się, że dostał tysiąc franków. Drapieżnie, ale i z ulgą chował je, jak gdyby pozbywał się udręki. Równocześnie oglądał się w stronę niedalekich stoisk, pełen złośliwej uciechy, że tamtych, swych kolegów, ubiegł. A stamtąd dwóch, trzech kupców już spieszyło do mnie, wywijając wysoko rzeźbami. Czynili to zamasyście, jakby rzeźby były flagami poddania się.

Były. Kupcy zmiękli. Więcej, załamali się.

Francuzi

W hotelu „Paradis” byli tylko oni sami. Oaza francuszczyzny napelniała się dwa razy dziennie, w południe i wieczorem, wesołą wrzawą, gdy z miasta przychodzili tu bywalcy na obiady i kolacje do patrona Gelisa.

Zawsze rozgwarzeni, pełni żywości i animuszu, ruchliwi, wiadomo:

Francuzi. Wraz z Francją i oni ponieśli tu klęskę, ale jeszcze się

trzymali. Byli to przeważnie drobni przedsiębiorcy, mechanicy,

właściciele jakichś garaży i warsztatów naprawy, a do Gelisa zajeżdżali najczęściej swymi półkamionetkami.

Restauracja hotelu „Paradis” mieściła się na parterze i, jedną stroną

całkowicie otwarta na ulicę, nęciła wyjątkowo miłym nastrojem, nie

przynosząc wstydu rajskiej nazwie. Miała też wyjątkowo troskliwego

gospodarza, który do wszystkich gości, zwyczajem francuskich

patronów, odnosił się serdecznie jak patriarcha do swej rodziny. Gelis

liczył niewiele ponad pięćdziesiąt lat, ale będąc miękkiego serca, a przy

tym pokąźnej tuszy, w ostatnich miesiącach ponoć mocno się zestarzał:

przegrana Francuzów przejmowała go do głębi.

Przejmowała go zapewne więcej niż jego młodszych rodaków. Ci, co

wieczór licznie zebrani, do późna wiedli żywe, głośnie rozmowy.

Dobitniejsze głosy dochodziły do mego pokoju nad restauracją i

wybijały mnie z pierwszego snu. Ochoczym gościom nie brałem tego za

złe, z przyjemnością łowiąc ich wrzawę. Język francuski, pewnie

najbardziej melodyjny z języków świata, miał w sobie coś z kryształu i

perel, precyzyjny, a zarazem czarujący kształt nadawał myślom.

Lubiłem słuchać różnych wykrzykiwań ludzi na dole.

Ich dziarska werwa stanowiła dla mnie nie lada zagadkę. Na pewno

zdawali sobie sprawę, że byli szczątkowym odpadkiem poprzednich

30

rządów i że Gwinejczycy prędzej czy później wykurzą ich z kraju, ale

zachowywali się, jak gdyby nic nie groziło ich powodzeniu. A może

tylko zręcznie maskowali swój niepokój albo zgoła przybierali taki

sposób oszalamiania się? Cokolwiek by to było, budzili podziw — i to

mnie czasem

48

4

m

zabawnie korciło, by odkryć u nich jakąś rysę. Zawsze silni weseli,

zdrowi, niespożyci, nie okazywali najmniejszego załamania się, żadnej

słabości.

Żadnej?

*Przeważnie byli to młodzi mężczyźni, pełni wigoru uczd_ wie
wykarmieni na dobrym jadle i winie patrona Gelisa Francuzek
pojawiało się tu mało, innych kobiet nie było wcale Francuzi zazwyczaj
samotni przyjeżdżali do kolonii a świeża surowość obyczajów nowego
państwa radykalnie tłumila wszelkie poufale stosunki z Gwinejkami.*

Więc czyżby wspaniali asceci i na tym polu byli górą, mężnie

Wyzwalając się z niskich popędów?

*Pewnego wieczoru jadłem w „Paradisie” kolację gdy ku mojemu
zdumieniu do lokalu weszły dMe młode Gwineiki Pomimo młodości
musiały tu dawniej bywac częściej bo przyjacielsko przywitały się z
Gelisem jak z dobrym znajomym Siadły przy ostatnim wolnym stole i
zamówiły coś skromnego do jedzenia. Zachowywały się godziwie, choć
swobodnie i śmiało, z filuternym uśmiechem dyskretnie ro2giądając się
oto_ czeniu. Nie były brzydkie — jedna nawet Wcaie niczego sobie
A moi bohaterzy-asceci, owi niefrasobliwi, zahartowani nieugięci
mistrzowie równowagi duchowej? Co za giez ich'ukąsil? Wobec tych
dwóch czarnych dzierlatek cała ich moc nagle zapadła się w przepaść,
prysnęła jak bańka. Dziewczęta swym wejściem wywołały taką ogólną
sensację, że większość gości na chwilę zaniemówiła, a gdy na nowo
podjęto rozmowy wszystko było już inne: głosy przy stołach
rozedrgane, spojrzenia spłoszone, twarze zarumienione.
Los podzielił obecnych gości «a dwie klasy: uprzywilejowanych i
skrzywdzonych. Pierwsi siedzieli twarzą do dziewczyn, drudzy plecami.*

Pierwsi mogli na nie patrzeć i nie tylko to: mogli objawiać swą gorącość i czynić z daleka namięte wysiłki zwrócenia na siebie uwagi. Drudzy mieii figę widzieli tylko miny i oczy tych pierwszych i w ich gorliwości czytali o wdziękach bogdanek. Im, upośledzonym, pozostała jeno pociecha fantazji, mogli jeno bujać w marzeniach — aie kto

4 — Nowa przygoda

49

wie, może dlatego robili lepszy interes niż tamci, rzekomo w czepku urodzeni? We Francji zakochane pary całują się publicznie. Tu podnieceni goście zamienili stateczny lokal patrona Gelisa w jedno żarliwe tokowisko.

Było to i patetyczne, i śmieszne. Rozluźniły się hamulce przyjętej powściągliwości, niewyżytych adoratorów opanował cichy szal. Jakby fala pożądliwości zalala lokal, jedni jawnie i zuchwale rzucali zabójcze spojrzenia, stroili słodkie minki, mizdrzyli się z daleka, inni,

31

dyskretniejsi, tylko kręcili się niespokojnie, szczyrzyli zęby, kusili łagodnym uśmiechem. Scena, zaiste, nie pozbawiona komizmu, gdyby równocześnie wygłodniałe bractwo nie budziło litości.

Sąsiad mój przy stole obok, przystojniak z czarnym wąsikiem, niby rozmawiał ze swoim towarzyszem, ale w istocie modlił się pałającym wzrokiem do dziewczyn i w końcu nie wytrzymał: zerwał się i podszedł do ich stołu. Dostał kosza grzecznie, ale stanowczo. One niebawem zapłaciły i, uśmiechnięte, poszły. Dwóch zapaleńców, którzy popędzili

za nimi, wnet wróciło minorowo.

Podniecenie na sali trwało jeszcze sporą chwilę. Ludzie zamawiali koniaki, dubonety, anisy i whisky, ażeby strawić wrażenia i otrząsnąć się z uroku. Po jakiejś godzinie doszli ze sobą do ładu, ale na zwykłe głośnie, ożywione rozmowy już nie starczyło czasu: była dziesiąta i goście zaczęli rozjeżdżać się do domów.

*Noc sylwestrową bywalcy Gélisa obchodzili hucznie. Lało się wino, wrzawy było więcej niż zwykle, dużo piosenek, a po północy śpiew huczał już nieprzerwanym potokiem. Madelon i *It is a long way to Tipperary* cieszyły się nie gasnącą wzię-tością. Często budzony tej nocy, słyszałem na górze ich wesole okrzyki i zachodziłem w głowę, czego pomyslnego życzyli sobie nawzajem na Nowy Rok. Byli przecież realistami i nie mogli mieć złudzeń. Słyszac ich, doznawało się uczucia, że to najszczęśliwsi ludzie, którzy pogodnie ..patrzyli w przyszłość.*

Pogodnie?

Pewnego wieczoru przyszedł do „Paradis” starszy jego-mość, Amerykanin, widocznie marynarz ze statku w porcie, wielki gaduła i straszny sadysta. Zaproszony przez któregoś z Francuzów na kolację, przesiedział do późnej nocy i nic tylko opowiadał miarowym, flegmatycznym głosem. W miarę tego opowiadania przysłuchującym się biesiadnikom coraz bardziej błyszczały oczy. Okazało się, że większość bywalców Gélisa znała język angielski, więc rozumiała Amerykanina.

Tego wieczoru nie było strzelistych francuskich gawęd. Sąsiedzi od

wielu stołów nastawiali tylko uszu, co najwyżej rzucali krótkie, skromne pytania. A nieustrudzony gawędziarz nie zamykał bezlitosnych ust i opowiadał im cuda o Nowym Jorku. O wolności obywateli, o uprzejmej policji, łatwym życiu i wysokich zarobkach, o świetnych widokach na przyszłość — słowem, o tym wszystkim, czego tak dotkliwie brakowało Francuzom w Gwinei. Okrutnik pławił się dosłownie w opisach taniości wszelkich artykułów w Nowym Jorku, szczegółami niskich cen upajał siebie i słuchaczy. Wieści te działały jak narzędzia tortury: kolacja, taka jak dziś, spożyta z winem, kosztowała w Nowym Jorku tylko osiemdziesiąt pięć centów, a śliczny nowoczesny krawat — dolara; kielbaska „frankfurter” z bułką piętnaście centów, a kilkanaście mil jazdy podziemną kolejką — dziesięć centów.

Francuzi słuchali z zapartym oddechem i widzieli to wszystko oszołomionym okiem wyobraźni. Tu czuli się spętani w mrocznym więzieniu, tam była jasna wolność. Tu otaczała ich jałowość pustyni, tam płynęło złoto, mleko i miód. Dziś przeżywali podobną zgryzotę jak owego wieczoru z dwiema Gwinejkami: wygłodniali tantale widzieli

32

kuszące owoce, ale pozostawały one dla nich przeraźliwie nieosiągalne. Taki był ich pieski los i takie były wyskoki ich tęsknoty.

Pili łakomie słodką truciznę z ust Amerykanina, ale czy dziwić się im, skoro przybysz z Polski wcale nie lepiej czynił? Skoro on także, znękany cholerną drożyzną kraju, dawał chętnego ucha zachłannym mirażom zamorskiego magika? Skoro sam słuchał, chociaż dobrze wiedział, ile

przesady i bujania było w słowach sierzystego bałamuta?

50

51

Pomoc

Minister informacji Diop Alsano był wielkim entuzjastą. Przyjemnie się z nim rozmawiało. Gdy złożyłem mu wizytę w towarzystwie polskiego delegata handlowego, Józefa Skwierczyńskiego, minister oczarował mnie. Nie tylko wyraził pełne uznanie dla mego zamiaru zwiedzenia Jukunkunu, Kankańu i Nzerekore, ale ponadto szczerze zachwalał okolice przybrzeżne, radził wpaść do Boffa, a nie zapomnieć o Boke. Poza tym namiętnie zapewniał, że komendanci okręgów w głębi kraju będą wszędzie na me usługi, że pojedę tam rządowymi samochodami, a towarzyszyć mi będzie osobiście i ułatwiać podróż Ray Otrą, prawa ręka ministra, światły pracownik Państwowego Instytutu Badań i Dokumentacji. Zaraz też przy nas minister telefonował do Ray Otry. ' Diop Alsano w swej szlachetnej gorliwości mierzył wiele sił na zamiary; jakże łatwo dałoby się schłostać złośliwą satyrą jego obiecanki cacanki i podrwić uszczypliwie o wielkiej chmurze i małym deszczu. Ale tak się nie godziło. Ostatecznie coś niecoś spadło tego deszczu i od niejednego Gwinejeżyka doznałem uczynnej życzliwości; sęk tkwił w tym, że Afryka była trudna, a państwo młode. Młode, ale pełne takich płomiennych Alsanów o zaraźliwym zapale i urzekającym wdzięku. Chwyтали za serce.

Od ministra udałem się zaraz do Ray Otry. Państwowy Instytut Badań i

Dokumentacji znajdował się w ślicznym dwupiętrowym budynku na końcu niewielkiego półwyspu, w przedłużeniu Szóstego Bulwaru. Na półwyspie szło się uroczym gajem, a z lewej strony szumiały fale morza, bijąc o skałę. Na skale stało dwóch białych wędkarzy. Gdy przechodziłem, jeden z nich właśnie wyciągał sporą rybę, uczciwie się z nią szamocąc. Miał na haku półtorametrowego szczupaka morskiego z rodziny wręgowców, cienkiego jak patyk, o cudacznie wydłużonej górnej szczęce niby dzida. Szczupak bronił się dzielnie i miał niezmożone siły, to klasycznie wyskakiwał wysoko w powietrze, to wbijał się w głąb morza. Walka trwała dobrą chwilę. Człowiek powoli zakręcał kołowrotek wędki i nieustannie, choć z trudem, przyciągał rybę do lądu, ale nie zwyciężył: przy mocniejszym szarpnięciu oporna bestia zerwała się z haka i prysnęła. Podniecony widokiem walki wchodziłem do Instytutu Badań i Dokumentacji.

Ray Otrą urzędował na drugim piętrze, podczas gdy na pierwszym mieściła się biblioteka, a na parterze — muzeum etnograficzne z owym pomnikiem francuskiego gubernatora Ballaya w otoczeniu leśnych diablów.

33

Ray Otrą przywitał mnie z wylewną serdecznością. Był — jak już przedtem pisałem — błyskotliwy i nerwowy, i zwyczajem afrykańskich intelektualistów wystrzeliwał

słowa

szybko

jak

z

karabinu

maszynowego. Należał do grona ruchliwych działaczy politycznych, a

przed laty brał udział w jakimś międzynarodowym zjeździe w

Warszawie i pamiętał, że nie brakowało tam uroczystych nastrojów ni

dobrej wyżerki, godnej popijawy ni podniosłych przemówień — więc

natychmiast na rozpostartej mapie Gwinei przedłożył mi kuszący plan

naszej, to jest jego i mojej, wędrówki do Jukunkunu, Kankanu i

Nzerekore. Z niezmierną życzliwością chciał wstąpić także do Keruane,

ojczyzny narodowego bohatera Samoriego, co do programu

najbliższych dni natomiast zobowiązał się zorganizować — w myśl

polecenia ministra Alsano — kilkudniową wycieczkę samochodem do

Boke, leżącego o dwieście osiemdziesiąt kilometrów od Ko-nakri.

Ray Otrą był urzekający. Miła rozmowa pozwalała puszczać cugle

wyobraźni i upajała nas, a szczególnie mnie, nadzieją ciekawych

przeżyć w Boke. Wszystko to wydawało się bliskie i uchwytnie. Niestety,

w następnych dniach było mniej bliskie, a raczej coraz dalsze, powabne

wizje zaś coraz mglist-sze: oto trudna Afryka. Zachodziłem do Instytutu

co dzień i dowiadywałem się, że z autem wciąż kiepsko. A już nie tylko o

samochód chodziło, lecz także o Ray Otrę. Był niezmiernie uroczy, ale

coraz bardziej zakłopotany, jego mina z każdym dniem coraz rzadsza,

uśmiech żałośniejszy. Doszło do tego,

52

53

że gdy mnie spostrzegł z daleka, chwycił migiem słuchawkę telefonu jak odporną broń i z pasją telefonował dopóty, dopóki byłem w pobliżu.

Doznałem gorzkiego zawodu, ale żal mój trwał krótko. Uświadomiłem

sobie konieczność liczenia w tym kraju tylko na własne siły. Ray Otrze

nie chciało się błdzić po głuchych manowcach. Był jak ów waleczny

szczupak morski. Bronił się i, rzecz zabawna, owa ludzka obrona

budziła we mnie sympatię, podobnie jak rozpaczliwa obrona szczupaka.

Jak dobrze go rozumiałem! Należąc do kół rządowych, był przecież

jednym z tych nielicznych w Gwinei działaczy, którzy dokonywali

wielkich rzeczy, którzy od fundamentów, z niczego prawie, budowali

nowe państwo, ba, tworzyli nowe społeczeństwo, nowe światopoglądy,

więcej: zwycięską burzę rozpętywali na całym kontynencie — jakże więc

żądać od niego, żeby zaszywał się gdzieś w puszczy, towarzysząc

obcemu przybyszowi? I to przybyszowi, którego przygnało z Europy, by

doznawać tu wrażeń i opisywać je w jakiejś książce. Gwinea nie miała

jeszcze własnej drukowanej prasy ni literatury, nie miała

powieściopisarzy, poetów, dramaturgów, miała tylko griotów, czyli

blaźnów-dowcipnisiów, a ci tworzyli niską, pogardzaną kastę w

afrykańskich społeczeństwach. Wprawdzie obyty ze światem Ray Otrą

widział różnicę między nimi a mną, ale — zapatrzony w wielkie cele,

mieniący się narzędziem posłannictwa dziejowego, czy miał tracić czas

na błahostki?

*O piętro niżej, w bibliotece, poznałem niepowszednie, paradne
dziwadło, Francuzkę w wieku nijakim, to jest około trzydziestki piątki,
brunetkę o urodzie równie nieokreślonej. Była kierowniczką biblioteki
czy czymś podobnym i srogą fanatyczką postępu. Lubiła wygłaszać*

34

*radykalne poglądy i dlubać w nosie, przy tym uderzała efektywnym
despotyzmem i płomiennymi oczami. W chwili poznania jej pomyślałem
sobie, że takie oczy miała zapewne Charlotte Corday, gdy wbijała nóż w
serce Marata.*

Jak wielu fanatyków, Francuzka odznaczała się miękkimi

54

*ruchami i łagodnym głosem. Gdy oświadczyłem jej, że zamierzam
jechać do Jukunkunu, by poznać tam prymitywny szczep Koniagi,
spokojnie pozwoliła mi dokończyć zdanie, następnie pouczyła:*

— Pan się myli, Koniagi nie są prymitywni!

— A jacy?

— Są nadzy, tak, ale nie prymitywni!

— I nie są animistami? — zdziwiłem się.

— Religia nie ma tu nic do rzeczy! — wyjaśniła godnie.

*— A czy pani — usiłowałem bronić się argumentem z klasyki — zna
poglądy Engelsa na ludy dzikie i ludy barbarzyńskie?*

Powoli podniosła wzrok i zmierzyła mnie drwiąco:

— Znam dobrze.

Podniosła wzrok, bo dotychczas uważnie przyglądała się palcom swej lewej ręki. W tych palcach, kulając błogo i bez osłonek, rozcierała fąfel, który przed chwilą sprawnie i nie bez gracji wydlubiała sobie z nosa.

Trochę oniemiały odczuwałem szczerzy podziw na myśl o szczęściu, jakie mi się przytrafiło: toż tak ekscentrycznej bezceremonialności jeszcze w życiu nie doznałem i chyba już więcej nie doznam.

W kilka dni później, w przeddzień wyjazdu do Jukunkunu, zajrzałem do domu towarowego „Printania”, by na drogę zakupić trochę biszkoptów.

W sklepie spotkałem bibliotekarkę, która żywo i całkiem poważnie zwróciła się do mnie:

— Pan na pewno studiuje tu wahania cen rynkowych?

— Nie. Studiuje, co by kupić do żarcia na drogę.

Była dobrze usposobiona, pomogła mi wybrać biszkopty, ale zasadniczo potępiała mój zamiar: nie importowanymi z Francji biszkoptami, lecz krajowymi fistaszkami należało mi się karmić po drodze. Tam, na północy, w okręgu Jukunkun — wyjaśniła — uprawiano orzeszki ziemne, które były smakowite i pożywne, a w każdej wsi do nabycia.

Gdy odrzekłem, że nie lubię fistaszków, bo paskudnie włożą między zęby — nastroszyła się, oczy zabłyśły jej wyzywająco i nuże gwałcić mnie, a wmuszać, a przekonywać, że muszę jeść fistaszki ko-

55

niecznie, bezwarunkowo, za wszelką cenę. Postrzeloną niewiastę trawiła mania, by uszczęśliwić ludzkość na przekór ludziom, a gdyby dać jej władzę, prawdopodobnie nie wahałaby się podpisywać wyroków

na tych, którzy mieliby inne niż ona zdanie o szczęściu.

Mili zapaleńcy, wzniosli entuzjaści: wzrokiem duszy sięgali obłoków, patrzyli jak orły w dal, ale skutecznej pomocy i rady, jak chodzić po ziemi, dać mi nie potrafili. Otrzymałem tę pomoc, i to rzetelną, od Kamary Aliune. Był to cichy, młodziutki, skromny pracownik biblioteki Instytutu. Niepozorny Gwinejczyk, Kamara Aliune nie należał do elity, nie był działaczem politycznym, nie miał górnolotnych ambicji, nie wbijał się w próżność, był tylko prostym członkiem organizacji

35

młodzieżowej. Za to wiedział, jakie są książki w bibliotece i na których półkach ich szukać. Z łagodnym uśmiechem znosił mi na stół dzieła, stanowiące bezcenne źródła wiedzy o kraju. Nareszcie! To była uczciwa pomoc. Inni rzucali szumne słowa, on — sumienne ziarna. Pokochałem go serdecznie za to, że nie tylko dał mi dobrą pomoc: natchnął wiarą.

Eskapiznt

Wyruszyliśmy z Konakri około drugiej po południu. Jechało nas trzech: sekretarz naszej delegacji handlowej, Mieczysław Eibel, dzielny kierowca Kwame Sumah i ja. Wszystko grało wyśmienicie. Pogodne niebo, znakomita droga asfaltowa, dobra maszyna, citroen, obraz afrykańskiej sawanny, nade wszystko zaś oczekiwanie niecodziennych wzruszeń wywoływało nastrój upojenia. Byliśmy szczęśliwi, wyrastały nam skrzydła. •

Pędem mineliśmy sławetne czujną policją miasteczko Koya i wpadli we wzgórze. Były to południowe wyloty rozległego masywu Futa Dżalon.

Na jego północnym krańcu, o jakieś sześćset kilometrów stąd,

usadowił się Jukunkun. Roślinność, coraz

56

świeższa, zdradzała większą wilgotność gruntu i zwłaszcza w dolinach

tworzyła zwarte lasy. W tych kniejach, zdała od ludzi, trzymał się

jeszcze łowny zwierz. Żerowały dzikie bawoły, śmigaly gazy i

antylopy, buszował lampart, a nieco dalej, ku granicy Sierra Leone,

słoń nie był rzadkością.

Wilgoć sprzyjała tu także bananom i od czasu do czasu przeświecały

jasną zielenią plantacje bananowe, istne bogactwo Gwinei. Stąd

pożywny tani owoc szedł tysiącami ton złotym nurtem w świat, ku

uciesze setek tysięcy szczęśliwych bobasów we Francji, w Niemczech, w

Ameryce Północnej; jakże łatwo mógłby również pójść do Polski:

przecież tylko urządzić na naszych statkach stosowne chłodnie i

przywozić masami groszowy na świecie owoc, a urząd celny na pewno

nie pobierałby dwudziestu tysięcy złotych cła za tonę bananów, jak

dotychczas. Ileż radości i zdrowego smakołyku rosło tu dla naszych*

dzieci!

Kindia, o sto sześćdziesiąt kilometrów od Konakri, była pociągającym

miasteczkiem ze stacją Instytutu Pasteura w pobliżu, z której to

placówki Francuzi są niezmiernie dumni, i słusznie. Z drugiej strony

miasta, na północnym zachodzie, wznosiły się zbite, rozległe góry,

puszczą pokryte. Na stokach ich Emile Gromier, autor popularnego

dziela o gwinejskiej faunie, przed dwudziestu laty podziwiał ogromną

różnorodność i nieprzebrane mnóstwo dzikiego zwierza, a szczególnie zatręsenie małp. Podobno do dziś ustronie obfituje w zwierzynę. Kindia to już obszar gór Futa Dżalon, a Futa Dżalon to ojczyzna znamienitych Fulbejów. Istotnie, w dalszych wioskach rzucaly się czasem w oczy niezwykle postaci. Dostojni starcy stali przed chatami w białych długich opończach, patriarchowie o dumnym obliczu i siwych egzotycznych bródkach. Fulbeje pochodzili ze wschodu i byli ponoć Chamitami, zmieszanyi mocno z elementem murzyńskim. Mieli ciemną, niemal czarną skórę, ale niektórzy długie, arabskie nosy i wąskie usta. Francuzi nazywali ich pompatycznie arystokracją

- Pobral tyle ode mnie w kwietniu 1960 roku.*

57

36

Afryki, ale nie było przesady we wrażeniu, jakie Fulbeje sprawiali: mężowie ci, jakby żywcem z Biblii wyjęci, cza-rownie przenosili patrzącego na nich podróżnika w inny świat, oddalony o tysiące mil i dwadzieścia wieków.

Miło było nam na sercu. Oczy śmiały się do ludzi, upajał nas malowniczy kraj, więc, ażeby jeszcze dosadniej napawać się jego pięknem, niejako dodać mu przyprawy korzennej — rozzuchwaloną wyobraźnią puszczaliśmy się w tęczowe wojaże. Pomykaliśmy aż nad Wisłę i radośnie, prawie zdyszani ze wzruszenia dopadaliśmy Krakowa. Mieczysław Eibel, człowiek wysoce kulturalny, wykształcony a w sam raz rozmowny, był wyśmienitym kompanem w tego rodzaju wypadach,

*toteż pełni radości wlecieliśmy razem do Michalikowej Jamy na
młodopolską kawę — z absyntem oczywiście. Przy słynnym okrągłym
stole pod ścianą siedział tam samotnie, czekając na przyjaciół, rudawy,
brodaty poeta. Kreślił Wyspiański ołówkiem na kartkach: może strofy o
Bolesławie Śmiałym, a może szkic witrażu?*

*Ale tam, u Michalika, było mroczno i duszno — Eiblowi i mnie nawet w
wizji zbyt ciasno. Za to tu, w afrykańskiej rzeczywistości, śmigaly nam
przed oczami raz po raz uciészne stożkowate strzechy nad małymi
chatynkami wśród kulistych mangowców i rozcapierzonych baobabów.
Może dlatego w wyobraźni przyjemnie było uciekać pomiędzy murów
Krakowa na kwieciste błonia. Porywały nas Bronowice i okoliczne wsie,
tonące w gąszczu wiślanych lip i topoli. Błogo było spojrzeć na błękitne
chaty i przytulne strzechy i zabawić w gronie rozkochanych
Tetmajerów i serdecznego Rydla.*

*Tak oto upijaliśmy się przednim miodem wspomnień. I nie była to
ucieczka od smętnej rzeczywistości w krainę pięknych rojeń ani bunt
przeciw temu, co nas otaczało, lecz przeciwnie: właśnie dlatego, że tu,
na tej uroczej gwinejskiej autostradzie, czuliśmy się tak dobrze, unosiła
nas fantazja aż hen, nad Wisłę.*

*Zanim słońce zaszło, dotarliśmy *<do miasta Mamu, węzła
krzyżujących się dróg i jądra kraju Fulbejów. Nieco dalej
na wschód leżało Timbo, przed podbojem Francuzów czcigodna stolica
potężnego państwa, dziś zwykła wieś. Przestrzeń trzystu dziesięciu
kilometrów od Konakri przeskoczyliśmy w niespełna cztery godziny:*

nieźle — przed osiemdziesięciu laty Francuz Sanderval potrzebował na to czterdziestu dni wędrówki.

Dotąd jechaliśmy mniej więcej w kierunku wschodnim; w Mamu skręciliśmy na północ. Parę kilometrów za miastem ujrzeliśmy imponujące zjawisko: z północy leciały, jeden za drugim, trzy ogromne klucze ptaków, tworzących trzy olbrzymie kąty w szyku wędrownym.

Dwustu czy iluś ptasich lotników, zapewne afrykańskich żurawi, miarowo i równocześnie uderzało skrzydłami, jakby na komendę.

Przejmujące wrażenie sprawiała skrzydlata armia. Bił od niej majestat przyrody.

Już przed Mamu przestaliśmy myśleć o Krakowie, ale teraz klucze ptaków, wędrujących z północy, wyglądały niemal jak symbole i przypominały nam poprzednie marzenia. Podjął to Eibel odzywając się żywo:

— Zwiastuny z północy! Co za wspaniałe skojarzenie!

37

— Ech! — machnąłem ręką z żartobliwą przekorą. — Wspaniałe, owszem, ale ptaki — i koniec!

Po zachodzie słońca nastal przyjemny chłód; zapadał mrok, a droga i góry pięły się mocno wzwyż. Około siódmej, wśród ciemności, zajechaliśmy akurat na kolację do hotelu w Da-labie, ponętnej miejscowości klimatycznej dla całej Gwinei. Ów hotel odgrywał tę samą pożyteczną rolę co „Grand Hotel” w Sopocie w maju i czerwcu: różne ważne i nieważne delegacje wyznaczały tu sobie randki, ażeby nie tylko

mądrze radzić, ale radząc zażywać rozkoszy otoczenia.

Kochana Dalaba: podwójny pokój kosztował tu zaledwie pięćset franków — dwa dolary, niebywała tanioccha! Po prysznicu czuliśmy się jak młode bogi i, oddychając fantastycznie rześkim powietrzem tudzież dotknięci wilczym apetytem, poszliśmy na kolację. W hotelu były pustki, oprócz nas w sali jadalnej tylko jedna para, za to ciekawa: on — młody Francuz,

58

59

ona — niepełna dwudziestolatka o dziwnie egzotycznej krasie. Nie była biała ani czarna, nie była Mulatką ani Metyską, więc czymże, do licha, jakąś Eurazjatką? Ożywieni szczerą życzliwością dla tych dwojga, zerkaliśmy na nich dyskretnie, aż znalazłem: wyglądała na Laotankę z domieszką krwi białej. Lecz skądże tu dziewczoja z Laosu, z głębi Azji? Zresztą mniejsza o jej rodowód: była prześliczna, zwłaszcza wtedy, gdy przymi-lając się do towarzysza, z lekka znudzonego paszy, darzyła go uśmiechem. Szalenie nam się podobała i przypominała jakąś znajomą. Ale kogo?

— Już wiem! — ucieszył się Eibel. — Liii Badmajew. Miał słusność, trafił w sedno: dziewczyna o tajemniczej urodzie była podobna do naszej Liii Badmajew, cenionej, wykwintnej baletnicy, dorodnej córki tybetańskiego lekarza i Polki. Obydwaj znaliśmy ją osobiście. I chwyciło nas znowu to samo: jak po południu Kraków, tak teraz Liii Badmajew rozogniła naszą wyobraźnię.

Wybiegając serdeczną myślą do uroczej tancerki zastanawialiśmy się, gdzie ona obecnie podbija serca: w Rzymie czy w Paryżu, a może w Atenach? Życzyliśmy jej szczęścia i pili za jej pomyślność. Potem poniosła nas rozbrykana fantazja i powstało pytanie, jak zachowywałaby się Liii, gdyby kapryśnym przypadkiem towarzyszyła nam w tej futadzalońskiej wyprawie i siedziała z nami przy stole w Dalabie?

— Byłaby morowym kumplem! — zapewniał Eibel. I ja tak sądziłem.

Znów wypadło stwierdzić, że to wybieganie w dal, ku kuszącej tancerce, nie stanowiło wcale ucieczki od rzeczywistości do wyśnionej zjawy.

Przeciwnie, przywoływaliśmy na pamięć daleką dziewczynę, ażeby ta bliska, obecna, w tym lepszym przedstawiała się blasku i tym bardziej nam smakowała. Była to słodka, okrutna, perfidna zabawa: urodę naszej Liii Badmajew składaliśmy w ofierze czy w hołdzie tej obcej, egzotycznej piękności.

Dziwny, miły dzień, miły wieczór. Z wdzięcznością uśmiechaliśmy się do pary młodych.

60

Szable

38

Noc była na Sto dwa, temperatura spadła przejmująco, prawie do dwudziestu stopni ciepła. Przed świtem trzęsło nas lubym chłodem.

Rano, po uraczeniu się pysznym śniadaniem i nie mniej apetycznym widokiem powabnej Laotanki oraz francuskiego paszątka, ruszyliśmy

na północ.

Błogosławione Futa Dżałon: o dziewiątej wciąż jeszcze było rzeźwo i dopiero około dziesiątej słońce usiłowało znęcać się nad nami, choć — na dobrą sprawę — znęcać się półgębkiem. W samym słońcu było raczej strasznie, ale wystarczyło wejść w cień, a pieszczotliwy powiew przypominał, że znajdowaliśmy się powyżej tysiąca metrów nad morzem. Nie dziwić się, że Fulbeje dopadli tego kraju jak ziemi obiecanej, a raz usadowiwszy się, zaczęli brykać na wszystkie strony jak rozhukane młokosy.

Góry miały zaokrąglone szczyty i sprawiały wrażenie prastarych, a „biblijni” ludzie i ich trzody jeszcze potęgowali nastrój zamierchłości.

Jednak nowe życie krzewiło się tu bujnie, wiosek było stosunkowo wiele, bydła liczne stada. Najwięcej widziało się kierdeli owiec o cudacznym barwach: owce przeważnie były białe, a ich głowy czarne lub na odwrót.

Do południa przemierzaliśmy samo serce kraju Fulbejów. Tu, między Timbo, Mamu i Labę, skłębiała się do niedawna wielka historia, ludzi miały zadziwiające, pogmatwane namiętności, rozpasane a pełne chwały zapędy. Tu ongiś oczy płonęły żarem krwawych wojen świętych, a szable jakże pochopnie wrywały się z czerwonych pochew i spadały na łby murzyńskich pogan, chociaż jeszcze częściej prały własną brać.

Na potomków tych herojów i rębaczy patrzyliśmy teraz z okien samochodu, ale wszystkie te ważne zdarzenia zaćmiewał inny problem, całkiem odmienny: kurz.

*Do diabła z taką piekielną plagą! Od Mamu nie było asfaltu na drodze,
jeno ubita ziemia, a od dwóch przeszło miesięcy nie spadła tu kropla
deszczu. Tuman kurzu, jaki wzniecaliśmy,*

61

*ciągnął się dobre pół kilometra za samochodem niby ceglasty ogon lisa,
zanim opadł na okoliczną roślinność. Trawa, krzaki i drzewa w pobliżu
drogi wyglądały niesamowicie pod grubą warstwą rdzawego pudru.
Pomimo zamkniętych okien kurz wdzierał się z brawurą do środka
samochodu i siadał na wszystkim, na obiciach, na odzieży, na ciele.
Czarne włosy Sumaha stały się rude jak włosy Artura Marii
Swinarskiego, i podobnie nasze. Ryży pył, zmieszany na twarzach z
potem, tworzył rodzaj cienkiej warstwy cementu. Nie było to wygodne,
lecz uciészne. Mniej uciésznie natomiast wyglądał kurz na aparatach
fotograficznych. Bronilem ich jak ojciec zadżumionych (z tym samym —
obawiałem się — mniej więcej skutkiem) i chowałem jak mogłem, ale
musiałem mieć je stale pod ręką.*

*A było co fotografować! Patriarchalne postacie, niekoniecznie w
podeszłym wieku, ale rzucające się w oczy, w długich niebieskich
burnusach, zwanych tu bubu, mężowie jak z Biblii, to była fulbejska
szlachta. Dumna i władcza, pełna uprzejmej godności, o dyskretnym acz
wyniosłym obejściu, przy tym nader giętka umysłem i stosunkowo
liczna, jak w dawnej Polsce. Fulbeje przybyli tu przed kilkoma wiekami
jako pasterze i na ogół pasterzami zostali. Pokonali tubylcze*

39

murzyńskie szczepy rolnicze, a kogo nie wybili, ten nadal musiał uprawiać ziemię, ale już jako niewolnik. W języku fulbejskim istnieje ten sam wyraz na określenie pracownika i niewolnika. Jakkolwiek Francuzi oficjalnie znieśli pańszczyznę, patriarchalne zwyczaje przetrwały tu do dnia dzisiejszego.

Jadąc więc przez ten kraj, bacznie przyglądaliśmy się ludziom, ciekawi, czy wywąchamy, kto tu byłym niewolnikiem, kto szlachcicem, a kto pochodzi z ludu fulbejskiego. Była to niełatwa do rozwiązania krzyżówka, w której wszystko się wściekle pogmatwało i zmąciło: niektórzy biedniejsi Fulbeje przechodzili na rolę i kalali się orką, bogatsi zaś, obok czterech fulbejskich żon dozwolonych przez Koran, mieli w dodatku furę legalnych konkubin, które wybierali sobie z ujarzmionych szczepów murzyńskich. Konkubiny chętnie im ro-

62

dziły potomstwo, bo wtedy i matki, i dzieci obdarzono wolnością. Z tych twórczych praktyk wybijał etniczny groch z kapustą i teraz zgaduj, biedna zgadulo, gdzie pan, gdzie kram w takim galimatiasie.

Galimatias galimatiasem, ale to pewne, że Fulbeje nie wypadli sroce spod ogona ani tępakami nie byli. Miałem powody, żeby przyglądać im się z wyjątkowym zaciekawieniem. Celując niezwykłą w tych stronach dzielnością, mieli lotny umysł, ale jednocześnie tyle niesforności w charakterze, że gdyby Winston Churchill znał ich, powiedziałby — co powiedział

o pewnym innym narodzie — że łączyli w sobie wszystkie ludzkie cnoty

i wszystkie wady. Polityczna struktura ich dawnego państwa oraz ich fenomenalny ongiś pociąg do warcholstwa wydawały się diabło bliskie i przenosiły człowieka w XVIII wiek nad miłą rzekę wśród mazowieckich rozłogów.

A zaczęło się od tego, że ich almami, król Karamoko z rodu Alfa, wódz bitny, przebiegły i święty, pod koniec wielce chlubnego panowania dostał obłędu. Będąc żarliwym wyznawcą Proroka, zjednoczył swych rodaków i zapalał ich przez kilkadziesiąt lat do wielkich czynów pod porywającym hasłem wojen świętych przeciw poganom-fetyszystom.

Bić i ujarzmić niewiernych było zasługą, poza tym dziełem zyskownym, ale gdy raz, pod koniec jego życia, niewierni przejściowo

1 przypadkiem oddali cięgi Fulbejom, rozum dumnego Kara-moki Alfa tego nie zniósł i pomieszał się.

Wszakże wojownik Abraham z rodu Soria skoczył w szranki i wybawił Fulbejów z kłopotu, ale okazało się to wielkim nieszczęściem w szczęściu: wkrótce ród Soria porósł w piórka i tak zadarł nosa, że od tego czasu, to jest od drugiej połowy XVIII wieku, rozgorzała krwawa i niesamowita rywalizacja między rodami Alfa i Soria. Wzniecały one niezliczone wojny domowe, trwające z górą sto lat. Do dziś jeszcze ludzie Soria i Alfa patrzyli na siebie spode łba. Jednak, dzięki wielkiej żywotności Fulbejów, mimo wzajemnego rozdzierania się, święta wojna na zewnątrz nie ustawała; podbijali oni coraz to

dalsze szczepy. Gdy Francuz Sanderval w 1880 roku zwiedzał Futa

Dżalon, Fulbeje gromili właśnie pogan aż po samo wybrzeże Atlantyku,

40

równocześnie tocząc u siebie kilka zaciekłych walk lokalnych oraz

wielką wojnę między almamim w Timbo i w Dingiraju.

Zaraz w początkach rodowej waśni, chcąc zapobiec — jak się Fulbejom

zdawało — rozlewowi bratniej krwi raz na zawsze, rada wielmożów i

starszyszy uchwaliła konstytucję, według której co dwa lata wybierano

nowego króla, i to kolejno raz z rodu Alfa, raz z rodu Soria. Uchwala, na

pozór salomonowa, zamiast zbratać naród stała się, przeciwnie,

źródłem wiecznej anarchii, spisków, intryg, wicherzenia i zdrady.

Ledwo wybierano jakiegoś króla, już zmawiali się książęta, jakby

poderwać jego władzę i spod niej się wyłamać. Gdy nadchodził okres

nowych wyborów, możni zbębniali swych wojaków i na ich czele

ciągnęli pod stolicę Timbo w wielkim splendorze i bogatych szatach,

pyszni, butni, zadzierzyści, żądni rokoszów. W tym czupurnym

rojowisku brał górę ten, kto władał znaczniejszym orszakiem

zabijaków, chytrzej intrygował lub żwawiej dobywał szabli.

Państwo Fulbejów nie miało w sąsiedztwie Katarzyny ani Fryderyka,

więc pomimo warcholstwa trzymało się nieźle; więcej, dzięki

rozmachowi i pewnej dyscyplinie, jaką mu narzucał islam, czyniło

postępy i podboje. Dopiero najście Francuzów pod koniec XIX wieku

położyło mu kres. Łatwo przyszło zaborcom opanować skłócony naród,

który zamorskich przybyszów witał niemal jak przyjaciół i

sojuszników.

Jeszcze długo przed południem wpadliśmy do Pity, pierwszej większej miejscowości po Dalabie. Chcieliśmy przejechać ją jednym susem, ale odbywało tam się właśnie wielkie targowisko i uwijało mnóstwo ludu. Było wesoło i ogromnie barwnie od owoców na ziemi i strojów dokoła. Wiele ludzi pozdrawiało nas przyjaznym uśmiechem — zatrzymaliśmy się.

— Przypadliśmy im do gustu — zauważyłem.

— Biorę nas za Francuzów! — zaśmiał się Eibel.

64

|

,

"!&M

ii»- "

Za czasów kolonii Fulbejom, rzecz prosta, nie powodziło się najlepiej, ale Francuzi nie ogół nie tykali ich feudalno-patriarchalnej władzy w wioskach. Obecnie, po wyzwoleniu Gwinei, prądy rewolucyjne, idące od wybrzeża, groziły przewietrzeniem przestarzałych tradycji i niejedni Fulbej z utęsknieniem myślał o dawnych dobrych czasach za Francuza. Daliśmy nura w tłum, uśmiechając się do kobiet i ściskając dłonie niektórym mężczyznom. Fulbejki słynęły z niezwyklej urody, ale bardzo ładnych na targowisku w Picie nie wykryliśmy. Równie daremnie szukałem niewiast utrefio-nych w kok, tak charakterystyczny dla Fulbej ek z lepszych rodów a przypominający olbrzymi grzebień koguta;

koków nie było. Albo Fulbejki zmieniły fryzurę, ulegając wpływom stolicy państwa, albo nie było ich na targowisku, a widzieliśmy tylko

41

wieśniaczki z ujarzmionych dawniej szczepów.

Jakże Gwinea już się zafrykanizowała: w całej Picie ani w okręgu nie ujrzelśmy żadnego białego, a nasze przybycie wywołało sporą sensację — oczywiście nie tak sporą i nie tak upokarzająco nachalną, jaką wywołuje pokazanie się Afry-kanina na ulicach Krakowa czy Poznania.

Migiem rozniosła się wieść o nas i podekscytowani mężczyźni zaczęli zewsząd zbiegać się z szablami w rękę. Śliczne a niedrogie szable, dobyte do połowy z pysznych pochew z czerwonej skóry, błyskały wyzywająco. Były to te same szable, którymi ongiś Fulbeje siekli rażno po karkach pogan i własnych.

Szabel mnożyło się coraz więcej dokoła nas, jak gdyby Fulbeje przypuszczali zbrojny atak. Był to jednak atak — zresztą uprzejmy i dyskretny — nie wojenny, lecz merkantalny. Chciano nam wszystkie szable sprzedać. Fala ich rosta, świeciło blaskiem dobyte żelazo i świeciły zachęcające oczy. Dla fulbej -skich kowali czas widocznie stanął; żyli oni wciąż, jak cały naród, pod urokiem szabli.

Piękne szable nabierały znaczenia jakiejś niesamowitej zja-

S wy. Były widmowe niby wizja z „Wesela” Wyspiańskiego.

Były patetyczne i groteskowe jak lance, łamiące się o stal czołgów.

Nowa przygoda

Ptak

*„Afryka przestała być kontynentem dla fotografów i łowców egzotyki...
Afryka nie ma już romantycznych tajemnic. Nie tylko Afryka Stanleyów
i Livingstone'ów, ale także Afryka Traderhornów i murzyńskich
karawan przeszła do historii. Dzisiaj...” Tak autorytatywnie zaczyna się
wiele artykułów — mniej u nas, więcej gdzie indziej na świecie —
wykoncypowa-nych z ważną miną przez pewnych siebie augurów,
puszczących się swym ultranowoczesnym kątem widzenia.*

*Z Pity do Labę mieliśmy zaledwie kilkadziesiąt kilometrów, ale był to
jakiś matecznik narodowy, tyle w tym okręgu żyło Fulbejów: według
statystyki przeszło trzydziestu na kilometrze kwadratowym. Dość liczne
wioski przy drodze wyglądały jak osobliwe pasieki z olbrzymimi ulami,
chaty bowiem były okrągłe i pokryte wysoką stożkową istrychą:
ludzkie ule. Malownicze i diabelnie egzotyczne prosiły się o zdjęcie, lecz
czuj duch! nie zapominać o ogłoszonym zaniku egzotyki foto-
geniczności w Afryce!*

*W tych okrągłych chatach gór Futa Dżalon żyło przeszło milion
Fulbejów, prawie czterdzieści procent całej ludności Gwinei. Milion
ludzi wojowniczych, bystrych, biegłych w polityce (ale staroświeckiej),
świadomych swej wielkiej przeszłości i chwały wojen świętych,
dumnych ze swej odrębności narodowej i pa-triarchalnych obyczajów —
obyczajów krańcowo sprzecznych z tym, co wszechwładna Partia
Demokratyczna zaprowadzała w Gwinei. Ileż w tym przeciwieństwie
tkwiło napięcia, ile zawiązków nie znanych dotychczas konfliktów,*

jakie przełomy jeszcze wisały tu w powietrzu? Wobec tych nowych zagadnień i tajemnic dawne tajemnice Czarnego Lądu wydać się mogły czymś naiwnie prymitywnym.

Nowoczesna cywilizacja, owszem, wdarła się: trakt, po którym jechaliśmy, był jej oczywistym znakiem. Traktem tym można było

42

wygodnie przemierzyć całą ^Afrykę Zachodnią od Dakaru do Abidżanu na Wybrzeżu Kości Słoniowej: blisko trzy tysiące kilometrów. Ale odważ się tylko, przedsiębiorczy po-

66

dróżniku, zboczyć trochę z tej drogi, a zaraz samochód utknie ci w bruzie jak amen.

Niekiedy, gdy droga nasza szła szczytami, ciągnęły się dokoła bajecznie rozległe widoki. Gdzieś na widnokręgu zamajaczyła czasem w lornetce wioska, zaszyta w sawannie i w swej zamierzchłości. Tu żyła jeszcze stara, nie tknięta prawie Afryka, Afryka ścieżek. Mieszkańcy wioski rzadko wychodzili na drogę, a dostać się do nich można było jedynie pieszo, wąską ścieżyną. Tu tragarze nosili towary na głowach, zupełnie tak samo, jak za czasów słynnego Traderhorna przed pięćdziesięciu laty.

W

Labę,

ożywionym

ośrodku

fulbejskiej

opozycji,

podczas

wrześnieowych wyborów 1958 roku głosowano powszechnie za

nieodrywaniem się od Francji, a przeciw Demokratycznej Partii Gwinei.

Stąd droga nasza skręciła na północo-zachód i wkrótce wpadła w chaos

dzikich, postrzępionych, prawie bezludnych gór. Tu również panoszyła

się opozycja przyrody przeciw człowiekowi, ale zwycięskiej wciąż

przyrody. Zwarty wilgotny las pokrywał przestronne doliny i obfitował

ponoć w grubego zwierza. Uderzała mnogość wachlarzowatych palm

borassus, których wcale nie było w zaludnionych okręgach Labę i Pity.

Pięknych palm, ale i dziwnych: pnie ich, najgrubsze na dwóch trzecich

wysokości, zwężały się wyżej, ku koronie, i niżej, ku ziemi. Wysmukłe

groteski. Ich wielkie, żółtawe owoce stanowiły nie lada przysmak dla

słoni, wiadomo też było, że liczne stada przebywały w górach.

I stada małp. Niezliczone stada małp. Tu dopiero okazywało się, że

sława Gwinei jako kraju małp nie była czczym frazesem. Co chwila

zwierzaki te przebiegały, tuż przed samochodem lub za nami, z jednej

strony drogi na drugą i zatrzymywały się zaraz na brzegu gąszczu, by

śledzić nas byстрыm wzrokiem, jakieś mało płochę, bezczelne, niemal zaczepne. Były to głównie koczodany, a także kolobusy. Nam, Europejczykom, przywykłym do panicznego lęku wszelkiej zwierzyny przed człowiekiem, taka nieustraszonosc leśnych zwierząt mgliście przypominała dawne wyobrażenia biblijnego raju,

67

w każdym razie odgrzebywała w pamięci półlegendarną Afrykę z opisów pierwszych podróżników. Jedno było pewne: zuchwałe małpiszony czuły się tu u siebie w domu i patrzyły na ludzi i ich czterokołową bestię jak na zabawnych intruzów. Zabawnych, bo tutejszy człowiek z jakichś tam powodów nie polował na małpy i wcale ich nie prześladował.

W górskim ustroniu mniej było termitierów niż poprzednio na otwartej sawannie, ale spotykaliśmy je także. Potężne, dwu-, trzymetrowe wieżowce z gliny stwardniałej jak gład. Gniazda owadów, rozpalających wciąż ciekawosc i podziw ludzki i wciąż pełne niezgłębionych tajemnic. Człowiek z całą swą mądrością i z arsenałem naukowej zbroi poniósł tu upokarzającą klęskę, a kruche maleństwa jak zazdrośnie osłaniały się tajemnicą, tak do dziś się osłaniają. Problem fascynujący: jakim sposobem ci miniaturowi marsjanie stworzyli i

43

nadal utrzymywali tak skomplikowany, a zdumiewająco sprawny aparat społeczny bez widocznej głowy, bez ośrodka kierującego? Instynkt? Hm, to zużyty wykręt, dziś już niewystarczający.

*Ludzki umysł, który udoskonalił wiedzę i jej przyrządy do tego stopnia,
że już dążył do zdobycia wszechświata, wobec tych nikłych istot w
brusie afrykańskiej, ciągle dreptał na miejscu bezsilny i bezradny.
Termity pokazywały nam figę i to było bardzo śmieszne.
Gdy zbliżaliśmy się do rzeki Kumba, droga zdawała się opadać, góry
topnieć. Już nie wiem, dlaczego Sumah zatrzymał samochód, dość, że
zatrzymał na chwilę, a my wysiedliśmy.*

*Otaczał nas las, nie górski i wilgotny, lecz raczej przereźzony, choć
dający jeszcze cień. Widocznie z jednej strony drogi był niezbyt rozległy,
bo w pewnym miejscu przez mały otwór wśród pni i gałęzi, przez rodzaj
prześwitu czy tunelu, widziało się w niewielkiej odległości skrawek
białej polany, całej w rażącym blasku słońca. Skrawek ten był jak jasny
obraz ujęty w ciemne ramy leśnego gąszczy. W samym środku obrazka
widniał ptak, stojący nieruchomo na ziemi.*

*Był to duży ptak, może drop olbrzymi, może marabut, a może bocian-
żabiru. W mżeniu światła trudno go było rozeznaczyć,*

68

*ale w tym jaskrawym okienku, niby w ognisku powiększającej
soczewki, wydawał się czymś niebywale potężnym, nierzeczywistym,*

jakimś

nieziemskim

majakiem,

jakimś

ptakiem-gigan-tem

murzyńskich bajek.

Wpatrywałem się z zachwytem w niezwykle zjawisko, a przywołany przeze mnie Eibel był równie zdumiony: wielki ptak afrykański, las i słońce platały tu czarującego figla, snuły bajecznie romantyczne rojenie.

Niech gęś kopnie zakutych mędrków, upierających się, by widzieć Afrykę wyłącznie przez swoje jednostronne okulary!

Griot

Rzeka Kumba płynęła w soczystym wądole, do którego samochód staczał się po dość stromym zboczu, by przebyć rzekę na promie i następnie wspiąć się na drugi brzeg. Potężna, może pięciotonowa ciężarówka, gramoląc się na naszą stronę, coś w sobie złamała i, w połowie zbocza utknąwszy, zagroziła nam dojazd do promu. Troskliwi o naszą wątrobę i żółć, przyjęliśmy dopust boży ze stoickim spokojem i z papierosem w ustach (w przenośni, bo Eibel nie palił, a ja papierosa nie miałem pod ręką).

Pod ciężarówką leżało dwóch czy trzech mechaników i naprawiało część podwozia, podczas gdy kilkunastu innych znawców przycupnęło na drodze dokoła i pomagało tamtym dobrą radą i życzliwą zachętą. Zmysł zbiorowości, tak mocno rozwinięty u Afrykanów, święcił i tu triumfy.

Wszyscy oni lubili pasjami załatwiać ważniejsze czynności gromadnie, na wesoło, a podczas zespołowych robót w polu jedni zazwyczaj pracowali, inni umilali im pracę dowcipnym śpiewem, tańcem i

muzyką. Bardowie ci mieli zagrzewać do przodowniczych wyczynów i na ogół udawało im się to świetnie, ponoć skuteczniej niż tak zwanej produkcyjnej literaturze pięknej w niektórych stronach Europy.

69

44

Podobny podział ról wytworzył się odruchowo przy ciężarówce. Trzech pracowało, a piętnastu się im przyglądało, dodając otuchy. Sumah przyłączył się jako szesnasty.

Zeszedłem nad sam brzeg wody. Była ciemna, głęboka i, chociaż Kumba niedaleko stąd brała w górach swój początek, dochodziła już do trzydziestu metrów szerokości. Parę wieków temu Portugalczycy uważali rzekę za domenę swych wpływów i nazywali ją szumnie Rio Grandę, ale potem przyszli Francuzi, zagarnęli górny i środkowy jej bieg i przywrócili tej części dawne miano afrykańskie. Odtąd tylko odcinek dolnego biegu rzeki w Gwinei Portugalskiej nazywał się Rio Grandę: nazwy geograficzne były często wiernym odbiciem zmiennych kaprysów historii. Ciekawe, kiedy historia postąpi tu o krok dalej i nazwa Kumba dojdzie do samego ujścia rzeki? Portugalską kolonię na razie zalegała cisza.

Cisza panowała również w rzece. Kumba obfitowała, według opowiadań wiarogodnych ludzi, w hipopotamy i krokodyle, które, rzecz prosta, żyły w ustroniach, odległych od wiosek. Tu, przy promie, ich nie było, dostrzegłem natomiast wiele motyli. Po raz pierwszy w Gwinei natknąłem się na tak rozkoszną ich ilość. Nagrzany słońcem wilgotny

brzeg rzeki był dla nich rajem. Witezi Papilio nie spostrzegłem żadnych, za to rojnie uwijały się bielinki, na przekór nazwie niezmiernie barwne. Co rusz siadały na błotnistej mazi i ssały smaczną wilgoć, po czym wznosiły się w powietrze i pełne niewysłowionego wdzięku swawoliły jak powiewne najady. W motyli i graszkiach tyle było słonecznego upojenia, że i mnie, tylko patrzącemu na nie, udzielała się ich radość życia. Szczęśliwy byłem, że mogłem to wszystko widzieć i tak odczuwać; żałowałem jedynie, że tego piękna nikt inny tu nie dostrzegał. Za to jakie używanie miałby Jan Wójcicki z Czechowic-Dziedzic!

Wzdłuż drogi, na obydwóch brzegach rzeki, sterczały chaty: wioska nazywała się tak samo jak rzeka, Kumba. Gdy stałem nad wodą, z drugiej strony zbliżyła się do brzegu kobieta z dzieckiem na plecach i zaczęła prać przyniesione gałganki. Piorąc, wyśpiewywała, raczej rytmicznie wykrzykiwała me-

70

lodyjnym głosem jakieś osobliwe kantaty. Osobliwość ich polegała na tym, że płynęły jednym, nieprzerwanym, upartym tokiem, a nie były ani dobrotliwą kołysanką, ani zwyczajnym nuceniem. Brzmiały po prostu jak zaklęcia czy złorzeczenia. Babina niedwuznacznie mierzyła w drugi brzeg, gdzie oprócz wielkiej ciężarówki i naszego samochodu przybiła jeszcze jedna kamionetka i na potęgę zaroilo się od szoferów i innych przybłędów. Liczny najazd widocznie nie był w smak mieszkańcom Kumby i wywołał sprzeciw, stąd maniackie tyrady praczeki. Rozgrzewała się ona coraz bardziej, dudniła, miotala i biła w

nas bez przerwy, bez wytchnienia, bez zachłyśnięcia —nie przerywając ani na chwilę swego prania. Podziwiałem fenomenalny dar wymowy, tak znamieny dla wszystkich Afrykanów. Kobieta była jakby w transie, jak gdyby musiała wylewać na nas swą udrękę. Przystąpił do mnie Sumah.

— Elle est folie! Ona jest obłąkana! — powiedział i radził mi, żebym oddalił się od brzegu.

45

Sumah mocno upraszczał sprawę, dostrajając ją do pojęć europejskich.

— A może to czarownica? — podsunąłem.

— Może — rzekł ciszej i zerknął z niewyraźnym uśmiechem w stronę baby.

Zbliżył się również Eibel.

— Od wczoraj — westchnąłem wskazując praczkę — wszystko przypomina mi Polskę...

— Ta kobiecina także? — zdumiał się.

— Właśnie ona! Jej elukubracje to zupełnie jak artykuły w „Nowej Kulturze”!

— Na Boga, jakim cudem? Że babina taka postępową? — roześmiał się.

— Nie, lecz rzuca czary i jest równie tasiemcowata. Rozbawiony towarzysz pokiwał głową:

— Ale zachodzi kardynalna różnica: baby nikt nie słucha, „Nową Kulturę” wszyscy czytają!

— *Eh, eh! Niestety, „Nowa Kultura” i pod tym względem jest uderzająco podobna do naszej baby...*

— *Ależ kąśliwy!*

— *Nie, tylko sielsko wzruszony...*

Szoferzy i afrykańscy podróżni, przywykli zapewne do tego rodzaju zająć, niewiele isobie robili z przekleństw praczki, za to z pewnym zaciekawieniem przyjęli wystąpienie na widownię nowej figury. Na szczycie stromego wzgórza nad drogą, tuż nad nami, pojawił się nagi facet, tylko z wążiutką przepaską na biodrach i z pstrymi kokardkami fantazyjnie wczepionymi we włosy. Był to figlarz, śmieszek, który zaczął sobie wesoło podśpiewywać.

— *Griot! — zawołał Sumah z ożywieniem.*

— *Rozśpiewana jakaś wioska! — zauważyłem. — Ta baba tam, teraz griot...*

— *O nie, panie, to nie to samo! Baba była zła, griot wesoły... Voild, baba zaraz ucichła!*

W istocie, praczka już się nie wydzierała, jakby ustępując miejsca godniejszemu krzykale.

Grioci — owi dowcipnisie, kronikarze, poeci i paszkwilanci w jednej osobie — stanowili w łonie narodów i szczepów afrykańskich dość liczną i zamkniętą kastę. W społeczeństwach nie posiadających własnego piśmiennictwa grioci spełniali misję literatów i mieli w sobie ociupinkę nie tylko Marezyńskiego, Jurandota, Swinarskiego, ale także

Iwaszkiewicza (toute pro-portion gardee, rzecz prosta). Była to brać podobna do naszych rybaltów w Europie. Uważano tu griotów za najniższej kategorii hołotę, pogardy godną na równi z wędrownymi rzemieślnikami, obrabiającymi drewno, metal i glinę i pomiataną tak samo, jak lekarze, kowale i garncarki (tu bowiem kobiety lepily garnki). Zwykły oberwaniec, pastuch pilnujący kilku baranów swego pana, dlatego że pastuch, uważał się już za coś niepomiernie wyższego od najdowcipniejszego gripta i nigdy nie oddałby mu swej córki za żonę. Afrykańscy grioci byli trochę jak „nietykalni” w Indiach.

72

46

Każdy król, książę i w ogóle szanujący się możny musiał trzymać wśród swych dworzan griota, spełniającego wielorakie funkcje: griot śpiewał podczas każdej uroczystości, tworząc hymny pochwalne na cześć swego pana, podczas gdy wrogów jego plugawił zjadliwą satyrą; strapionego władcę pocieszał wesołą śpiewką i nieraz podsuwał mu zbawienną radę w sprawach rządzenia. Griot był często osobistym przyjacielem swego pana, choć niezmiernie przez niego pogardzanym; nierzadko zamożniejszy niż pan, zawsze był jego wiernym szpiegiem, znoszącym z targowiska najświeższe plotki o podwładnych. Grioci także zajmowali się wychowywaniem synów swego pana i, co najważniejsze, dokładnie musieli znać dzieje jego rodu w siedmiu co najmniej pokoleniach — a także różne inne historie tudzież legendy.

Owi dworscy dowcipnisie mieli się na ogół jak pączki w maśle,

*natomiast grioci ludowi, wędrowni, wiedli pieski, mizerny żywot. Nie
związani z żadnym panem, pętali się samopas po gościńcach jako
żebracza cyganeria i wydrwigrosze. Śpiewali komu popadło,
najchętniej podróżującym kupcom, niewybrednie głosząc ich cześć.
Biada temu, kto poskąpiłby im należytego daru. Weseli wykpisze mieli
koszmarnie złośliwe jęzory i jeśli ktoś im się narażał, umieli na
poczekaniu przemieniać się z lubych pochlebców w zjadliwych
swawolników — ku uciesze rozbawionej gawiedzi.*

*Taki to griot pojawił się na wzgórzu obok drogi i wyśpiewywał nad
naszymi głowami, machał wesolo rękoma i stroił miny. Potem zaczął
zeskakiwać ze stromej góry na dół w dość śmieszny sposób, mianowicie
nie przodem, jak normalnie się zeskakuje, lecz tyłem, plecami naprzód,
popisując się swą kuglarską zręcznością.*

*Gdy po kilkunastu skokach dotarł do drogi, wziął mnie sobie za cel i
stanąwszy w pobliżu, jął śpiewać. Tym razem nie po fulbejsku, lecz
łamaną, choć jako tako zrozumiałą francuszczyzną. Oczy świeciły mu
się diablo bystrą inteligencją, ale wygląd miał sprośnego cynika, a na
jego gębie malowała się beczelność i żalosna prośba. Od razu
uderzył w najwyższy ton*

*i zaczął mi kadzić pod niebiosa samymi superlatywami, że
najpiękniejszy, najsilniejszy, najbogatszy, najmędrszy, a moja obecność
tu jest chwałą i sławą dla kraju...*

*Tak, dalibóg, chlapał ozorem: chwała i sława, więc gdy na chwilę chciał
zaciągnąć tchu, przerwałem mu grubiańsko:*

— *Te, brachu, nie wyglupiaj się! Przestań, do jasnej cholery!*

Stropiony, spojrział na mnie ze złowieszczym zdumieniem.

— *Tyś griot, tyś poeta? — oburzałem się głosem pełnym wyrzutu. — I*

mnie, swego kolegę, chcesz tak nabierać?

— *Toś ty także griot? — zachnął się facet i z twarzy znikł mu wyraz*

bezcelności.

— *Nie griot — odrzekłem — bo w moim kraju griotów wędrownych nie*

ma, za to są pisarze! Ja jestem literat, więc twój kolega!

— *Czy tworzysz hymny na cześć możnowładców? — zapytał on z*

osłupieniem.

— *Ja staram się jak mogę, ale inni mają większą w tym rutynę...*

Pomieszałem mu szyki. Nie spodziewał się z mej strony tak skutecznej

odprawy. Zmiękł, skruszał, przestał być cyniczny. Zrozumiał, że nic ode

47

mnie nie wyludzi i widać było z jego smętnej facjaty, że pogodził się z

tym faktem. Oklapł zupełnie. Zrobiło mi się go serdecznie żal.

Wtem wielka ciężarówka, naprawiona, ruszyła, otwierając drogę do

promu. Już Sumah zapuszczał motor naszego citroena. Zanim

podszedłem do promu, szybko wsadziłem griotowi stu-frankówkę do

garści. Tak się szelma ucieszył tą niespodzianką, że natychmiast podjął

swe obowiązki i gromkim głosem podniósł za mną pieśń.

Dowiadywałem się więc znowu, jakim to ja dzielny, do jakich wzlotów

zdolny, jak zasłużony dla ludzkości, jaki ze mnie pisarz szlachetny,

talentami błogosławiony, dzieł mistrzowskich rodzic, przez bogów

umiłowany, wdzięk siejący...

*Griot śpiewał, i śpiewał. Prom z nami ruszył, a entuzjastyczna ocena
mej działalności literackiej gonila nas przez rzekę,*

74

*przez feerię rozhasanych motyli, ponad drzemiącymi w głębi
hipopotamami. Przepłynęliśmy, a pozytywna krytyka budziła szeroki
odgłos także na drugim brzegu. Na wzgórzu straciliśmy rzekę z oczu, ale
jeszcze dolatywała do nas rzetelna, acz stłumiona odległością praca
griota.*

Bezpiecznie

*Po południu, o piątej szesnaście, w naszym citroenie rozległ się
złowieszczy stuk i dziwnie zachrobotło. Sumah natychmiast
zahamował, skręcając w bok i zatrzymał samochód na skraju drogi. Za
nami ciągnęła się na ziemi przez kilkanaście metrów podejrzana
strużka ciemnej cieczy. Podwozie pokracznie się obniżyło, jakby
wehikuł osłabł w kolanach albo nos zwiesił na kwintę, ale gdy
podnieśliśmy maskę i zajrzeli do środka, nam z kolei zebrało się na
spuszczenie na kwintę nosa: urwała się kula amortyzatora i, gdy tylko
zapuściło się motor, z rozdartej rurki krotochwilnie a dziarsko tryskała
oliwa. Byliśmy unieruchomieni i to kaducznie, na zupełnym bezludziu.
Można było właściwie pęknąć ze złości, więc żeby nie pękać, co żywo
ustawiliśmy prawidłowo nasz światopogląd i stosunek do hecy: że
kilkadziesiąt zaledwie kilometrów dalej, w hotelu w Sambailo, czekała
na nas świetna kolacja i wygodne łóżka milionerów — to furda;*

mieliśmy tu trochę biszkoptów i mogliśmy spać w aucie. Spartanie na chwilę. Grunt, że nie było tego złego, co by nie wyszło na dobrą przygodę. Sumah, który miał trochę pietra, gdyż siedziały w nim stare klechdy, straszył nas obfитоścią lwów w okolicy, ale co tam lwy. W razie czego sterroryzowalibyśmy je potężnym krzykiem, byłaby niezła emocja i byłoby co pisać, a bestie zapewne by uciekły, zbite z pantaląku. Lwy, w przeciwieństwie do małp, bały się człowieka. Broni posiadaliśmy tyle, że śmiechu warte: nóż stołowy, tępy oczywiście, ja miałem maleńki scyzoryk z Polski, Sumah też coś podobnego. Później jasno zdałem sobie sprawę z tego, co wtedy odczuwaliśmy, i stwierdziłem, jak ogromnie zmieniły się kategorie ludzkich doznań w ostatnich czasach i jak wielką ufność budziła Afryka w porównaniu na przykład z awanturniczą Europą.

Spokój nasz nie wynikał z junackiej brawury ani ze zmęczenia, ani z nieświadomości niebezpieczeństw, jakie mogłyby nam grozić.

Uszkodzenie samochodu nastąpiło w dzikiej głuszy, z dala od siedzib ludzkich, w kraju, który zaledwie piętnaście miesięcy temu przeszedł

48

przez rewolucyjne wstrząsy, gdzie wielu mieszkańców wrogo odnosiło się do nowych rządów, podobnie jak w Polsce tuż po wyzwoleniu w 1945 roku. W owej Polsce pełnej wówczas leśnych band, dywersantów i zwykłych rabusiów.

Otóż jeśli teraz ani na chwilę nie przeszło nam przez myśl, że — bezbronni na tym odludziu — mogliśmy paść ofiarą opryszków, to po

prostu dlatego, że tych opryszków tu, w głębi Afryki, nie było; że Afryka była o niebo obyczajniej niż Europa, a Afrykanie mniej zepsuci, mniej złodziejscy, bardziej ludzcy i życzliwsi niż my, Europejczycy. Oczywiście, gdyby na prosty rozum wziąć, to położenie nasze nie wykluczało całkowicie, do szczętu, zjawienia się jakiegoś lwa-wariata czy sfanatyzowanego Fulbeja, podbechtanego przeciw nam choćby przez praczkę z Kumby. Zresztą mogło się zdarzyć tej nocy mnóstwo innych przykrości, może nawet fatalnych. Ale nie zaprzętałyśmy sobie nimi głowy. Jakże człowiek się zmienił. Jakże przeinaczyła się dla niego skala niebezpieczeństw i odmienił stopień ich odczucia! Co dwadzieścia lat temu w puszczy amazońskiej czy na manowcach Madagaskaru jeszcze mogło przejmować grozą, dziś pociesznie wypłowiło wobec groźby innych niebezpieczeństw, chociażby tych spod znaku rozbijanych atomów i zawodzących spotkań na szczycie.

Sumah zabrał się do zatykania rurki amortyzatora za pomocą gałązek. Lecz przy zapuszczaniu motoru gałązki przerażająco komicznie wyskakiwały jak z procy i oliwa tryskała ponownie.

76

Sumah próbował wciąż od nowa; Eibel i ja niewiele mogliśmy mu pomóc.

Nie mając na razie nic do roboty, przejrzałem ponownie kilka francuskich tygodników ilustrowanych, zabranych z Konakri. Można by z nich sądzić, że świat doznawał wstrząsu jedynie na skutek dwóch przełomowych wydarzeń: nagłej śmierci aktora średniej miary,

Gerarda Philippe'a, bożyszczą rozhisteryzowa-nych samiczek, i zagadnienia, czy chłopca urodzi łono uroczej dziewczuszki Farah Dibah, gdy ożeni się z nią szach Iranu, potrzebujący na gwałt następcy tronu, a traktowanego przez wielkie tygodniki bynajmniej nie jako temat na wesołą operetkę.

Odcięty na chwilę od świata w brussie Futa Dżalonu, dostrzegałem ze szczególną wyrazistością całe zabawne szaleństwo rozwydrzonych postrzeleńców, gdy nagle na tle owej dalekiej wrzawy uderzyło mnie nowe, przejmujące zjawisko: cisza w przyrodzie dokoła nas.

Pawiany

Nie było najmniejszego przewiewu. Zupełny, ale to zupełny bezruch powietrza stwarzał złudzenie, że znajdowaliśmy się pośrodku olbrzymiego klosza ze szkła, a otaczająca nas przyroda zamarła w letargu. Do tego dziwne słońce. Jeszcze nie zaszło, lecz zasłonięte tumanem kurzu harmattanowego, niewidoczne dla oka, zalewało całe niebo mleczną, niesamowitą poświatą. W tym oświetleniu i przy niezmaconym spokoju przyrody wszystko wydawało się nierealne.

Pod wieczór słyszeliśmy dzikie gołębie. Ich gruchanie dudniło głucho i zdawało się wypaczone w przestrzeni jak głos w pustej sali. Trudno było ustalić, w której stronie siedziały ptaki i jak daleko: może o sto metrów, może o tysiąc?

49

Droga ciągnęła się w obydwóch kierunkach prosta jak pod sznur i widać było mnóstwo małpich stad, przechodzących przez drogę. Raz z

dala przebiegły antylopy. Małpy zawsze okazywały ciekawość w stosunku do nas. Stawały na środku drogi, nawet

77

gdy zjawiały się niedaleko, i dopiero po przypatrzeniu się nam ruszały dalej. Zdumiewały, jak zwykle, ilością. Osobliwe wrażenie: jakkolwiek były w ruchu, przecież wcale nie mąciły ogólnego nastroju ciszy w naturze; po prostu zjawiały się jak gdyby na ekranie filmowym, jakby poza rzeczywistością, i tak też znikaly.

W tych stronach sawanna była wyjątkowo sucha, niezawodnie na skutek bliskości Sahary. Tu i ówdzie drzewa tworzyły jeszcze chaszczę, ale niezbyt rozległe ani gęste. Przeważały w tej okolicy otwarte rozłogi, z rzadka przetykane krzewiną i chę-chami. Wzrok gonił daleko w głąb brussy, nierzadko całymi kilometrami. Podobnie wyglądała większa część Afryki, wszakże tam właśnie, wśród takiej cherlawej roślinności, przebywało najwięcej grubego zwierza, więcej niż w bujnej puszczy tropikalnej.

Najdziwniejsze były bowale, jak nazywano niewielkie polany, prawie pustynne. Na nich ponoć kiedyś rosła bujna trawa, ale częste pożogi dokuczyły ziemi do tego stopnia, że powierzchnia jej skamieniała od ognia, stała się czarna i jałowa.

Owe bowale, oazy bezpłodności i smutku, były jednocześnie siedliskiem eudaczości. Zamiast roślin wyrastały na nich ter-mitiery, lepianki utworzone przez termity — kopczyki w postaci grzybów, wysokich i szerokich na blisko pół metra. Gdzie tylko widniały bowale, tam

nieodpowiednio towarzyszyły im całe lasy tych makabrycznych grzybów, stojących niemal setkami, jeden obok drugiego, jak widma. Jaka tajemnicza przyczyna kazała termitom budować swe gniazda na całym ugorze, z dala od roślinnego pokarmu, i to zawsze w postaci takich kapturków?

Jeden z nich, mniejszy rozmiarem, wyrwałem z ziemi bez wysiłku. Był z czarniawej grudy, twardej jak cement. Termitów w nim nie odkryłem, widocznie gniazdo ich tkwiło głębiej w ziemi, a grzybek zbudowały tylko jako wieżę nawietrzną. Wieżę meteorologiczną? Może. t Eibel sfotografował mnie z grzybem, lecz zdjęcie zawiodło, grzyb bowiem w ludzkich rękach smętnie stracił swą dosadną monstrualność. Jakby spokorniał, ustatecznił się, zdiadział, sfilistrzał. Oderwanie od ziemi pozbawiało go sił jak antycznego Antajosa.

O jakie trzysta metrów od nas przechodziło przez drogę stado wielkich małp. Bestie, dwukrotnie silniejsze niż widziane dotychczas, miały potężne piersi i spore łby o wydłużonych pyskach. Poznałem je po tych pyskach i po ogonach, zrazu zadartych w górę, potem opadających ku ziemi. Były to pawiany; rzecz prosta, zelektryzowały mnie. Uzbrojony w rolleiflexa i w lornetkę zacząłem iść drogą w ich kierunku.

Było ich chyba do trzydziestu. Po dwa, po trzy przekraczały drogę spokojnie, z namysłem, bez porywczowości, bardzo pewne siebie, z godną postawą. Były, jak Anglicy dawnych czasów, niewzruszone w poczuciu swej siły. Samiczki z młodymi nie zatrzymywały się. Wszystkie samce natomiast, których domyślałem się po tęższej budowie ciała,

przystawały na drodze, mierzyły przez chwilę bystrym wzrokiem zbliżającego się człowieka, po czym poważnie, jakby zadowolone z poczynionych spostrzeżeń, dawały nura w przydrożne krzewy.

Na samym końcu stada, pewnie mniej niż dwieście metrów ode mnie, przeszła powoli głowa rodu, stare samisko. Było okazałe, ale nie większe niż inne samce, za to o siwawych włosach i despotycznych manierach. Jak władca, który widocznie czuł się odpowiedzialny za honor i bezpieczeństwo stada, uważał, że należy napędzić mi stracha i okazać swą pogardę. Nachmurzył więc czoło, zrobił kilka pociesznych grymasów przekrzywioną gębą, wyszczerzył ku mnie kły imponująco olbrzymie i, ubliżywszy mi gardłowym pomrukiem, pełen wyniosłości wycofał się ze sceny.

Pawiany są obok szympanсів największymi małpami Afryki Zachodniej i zaliczają się do wojowniczych i najodważniejszych zwierząt Afryki. Z pyska podobne do psów, mają uzębienie iście wilcze, ale nieprawdopodobną siłą szczęk posługują się jedynie podczas obrony. Są wtedy ponoć straszne. Lampart, żywiący się głównie mięsem małpim, pokona z łatwością dwa lub trzy pawiany, ale napad na większe ich stado nieraz przy-

pląca życiem. Podobnie i z lwem pawiany walczą do ostatka. Ludzie boją się ich jak diabła i, przejęci nabożną czią, omijają niektóre

mateczniki, gdzie gnieździ się ich 'Wyjątkowo wiele. Pawiany natomiast przed ludźmi nie tchórzą; bywało, że rozjuszone zasypywały kamieniami myśliwego, gdy odważył się polować na nie i, nieroztropny, ranił lub Zabił któregoś ze stada.

Pawiany, do których ostrożnie podchodziłem, przebrnęły przez wąski pas krzewiny przy drodze i rozsypały się po przyległym pustym bowalu.

Dążyły krok za krokiem do lasu, oddalonego mniej więcej o sto pięćdziesiąt metrów, lecz zanim dotarły do drzew, zatrzymały się.

Wszystkie siadły na pośladkach, frontem do mnie, i zastygły w bezruchu. Mając bezpieczne zaplecze, zdawały sobie sprawę, że nic im już nie grozi od dwunożnego potwora bez strzelby i łuku, więc — cicho przycupnąwszy — zaciekawione śledziły jego dalsze zamysły. Rysowały się szaro na szarej ziemi. W tak doskonałej szacie ochronnej nigdy nie odkryłbym ich, gdybym nie wiedział, gdzie przycupnęły.

Doszedłem do punktu drogi, skąd było do nich najbliżej, i zatrzymałem się. Widziałem je jak na dłoni i przez chwilę patrzyliśmy na siebie, pełni napiętej uwagi. Lecz co dalej?

W bowalu przede mną ciągnęła się wąska br\|tza po wyschniętym strumyku i tam rosło jedno z owych ślicznych drzew, które Eibel nazwał kiedyś touUpanier, czyli tulipanowcem. Właściwie było to drzewo kapokowe. Obecnie ni[^] miało liści, za to wszystkie gałęzie pokrywała gęsta sieć fantastycznie czerwonych kwiatów, kształtem bardzo podobnych do wystawnych. tulipanów.

Drzewo wyglądało urzekająco. Kraśniało rna pustynnym bo— walu

niby baśniowy bukiet z czerwonego wc^alu, przeznaczony" dla

afrykańskiej królowny z bajki, a że st^io akurat na linii pawianów, jeno

w połowie odległości, prosił więc o jakąś me— tafone, jakieś**

pomysłowe skojarzenie piękna kwiatów z jędrny brzydotą małp. Lecz

51

zanim wpadło mi coś dco głowy, w stadzie pawianów zaszły niezwykle

wypadki i przy-kuły moją uwagę=.*

i

80

Mianowicie znudzone małpiątko, małe bobo, dość miało czuwania i jęło

wiercić się niespokojnie. Sędziwy samiec, głowa stada, rozzłoszczony

brakiem karności, doskoczył do berbecia i wypalił mu policzek tak

rzetelny, że odgłos klaśnięcia dobiegł aż do drogi. Młodzik uderzył w

przeciągły krzyk, starzec więc ponownie chciał go schłostać, gdy wtem

podskoczył jeden z dorosłych samców, zapewne ojciec pędraka, i

groźnie wyszczerzył kły na furiata. Ten znieruchomiał i cały się z jeżył.

Obydwa samce były równego wzrostu, obydwu równie barczyste, tylko

że jeden stary, drugi młody. Zanosilo się na niezłą drakę.

Stary, srodze nastroszony, przysunął się z wolna do młodszego, ale ten

się nie cofnął i dalej groził potężnymi kłami. Co więcej, nagle się zerwał i

rzucił na starca, by zębami wgryźć mu się w gardło. Me zdążył. Stary

piorunem, z nieprawdopodobną krzepą, zdzielił go w pysk i

zamroczonego jął walić gradem ciosów tak strasznych, że od razu wziął

górną nad przeciwnikiem. Temu odechciało się buntu. Jęcząc ustępował

powoli, potem wziął nogi za pas i ratował się gwałtowną ucieczką w gąszcz. Na placu boju pozostał małpi wódz i trzeba było widzieć, jak się napuszył i jakim władczym wzrokiem toczył po innych pawianach. Cezar wobec niego był pętakiem, hetką pętelką. Wyglądało to tak komicznie, że wybuchnąłem głośnym śmiechem.

Wesołość ogarnęła mnie również z innego powodu — nasunęło mi się bowiem pewne wspomnienie sprzed lat.

Mianowicie w dwa lub trzy lata po drugiej wojnie światowej wpadła mi do ręki dość popularna wówczas książka wydana w Polsce dla młodzieży, której tytułu ani nazwiska autorki, niestety, dziś już nie pamiętam. Książka barwnie, choć naiwnie, opisywała życie zwierząt w Tatrach, a między innymi przeżycia kierdela kozic. Otóż autorka przejęła się zanadto hasłami głoszącymi, że nowe zawsze odnosi zwycięstwo nad dawnym, dzisiejsze nad wczorajszym, że młode bije stare — i te rozumne prawdy przedstawiła w swej książce z nie byle jakim zapalem. Kazała na przykład młodemu capiórkowi, jak go nazwała, wszcząć bunt przeciw panowaniu sędziwego wodza i zadać mu

6 — Nowa przygoda

81

krzepkimi rogami klęskę. Więc chwyt rzucił się bohatersko na starego, wybódl go na kwaśne jabłko i przykładnie przepędził na cztery wiatry. Następnie dzielny junak sam zagarnął dla siebie władzę nad kierdelem i posiadał harem kozic (to oczywiście w oględnych słowach z racji młodocianego odbiorcy)-

Przyrodnicy, czytający wówczas opis, kapitalną hecę, podejrzliwie kiwali głowami, ale ci panowie dawnego autoramentu nie śmieli zabrać głosu, bo pewnie nie mieliby słuszności w oczach nadgorliwców i reformatorów przyrody.

Gdy przypomniało mi się to, a równocześnie na moich oczach stary choleryk pawian sprawiał lanie młodemu dryblasowi, inne tęgie

52

dryblasy zaś nie ważyły się przyjść nieborakowi z pomocą — porwał mnie śmiech. A to krnąbrne małpy, kołtuny zacofane! Do nowych obyczajów, wprowadzonych wśród zwierząt przez usłużną autorkę, odnosiły się bezczelnie, z karygodnym nieposzanowaniem i swą małpią niesfornością zrobiły ją na szaro, wystrychnęły na dudka.

Pawiany, przekorne, bo przekorne, ludzkiego śmiechu jednak nie lubiły.

Spłoszyłem je. Zaczęły czmychać jeden po drugim i dawać nura w las.

Gdy parę minut później znalazłem się w towarzystwie Eibla na skraju zarośli, gdzie przebywało przed chwilą stado, wszystkie małpy, rzecz prosta, zniknęły już w głębi gąszczu, na miejscu zaś pozostawiły po sobie szkaradny, diabelski smród: widocznie wszystkie, patrząc na mnie wzruszone, zdrowo się wypróżniały.

Gdy wracaliśmy do drogi, wypadało nam przejść pod tulipanowcem. W istocie był nadzwyczajny, jakaś ognista frenezja, kwiatowe uniesienie na czerwono. Przypomniało mi się, że poprzednio chciałem dowcipnie skojarzyć stado pawianów z uro-dziwością drzewa, ale skojarzenie gdzieś się zawieruszyło. Nastrój prysnął. Krewki samiec zmienił

kierunek mego zainteresowania, a potem doszedł jeszcze ten fetor.

Puenta z drzewem przepadła.

Rycerskość

Krótko po zachodzie słońca nadjechał autobus, który szedł z samego

Dakaru do Mamu, bagatelne tysiąc sto kilometrów. Kierowca,

Gwinejczyk, widząc co się z nami święci, zatrzymał motor, po czym z

niewielkiej ciężarówki wysypało się niewia-rogodne mrowie ludzi:

jakichś trzydziestu Afrykanów obojga płci i jeden biały.

Był to młody Szwajcar, jadący z Europy do Konga. Nudziło mu się na

statku, więc wysiadł w Dakarze, by dalej przetruc się lądem autobusami

at do Monrowii w Liberii i tam znowu złapać swój statek: dwa tysiące

kilometrów tęgiego obijania się, czerwonego kurzu i rzucania okiem na

kilkanaście szczepów. Miał fantazję morowy facet.

Nie mniej morowy był kierowca autobusu. Skinął przyjaźnie Sumahowi

na znak powitania i zaraz ze swymi narzędziami zatopił się do połowy

ciała w chorej maszynie. Reszta, to jest dwudziestu dziewięciu

podróżnych, stanęła dokoła i, jak to w zwyczaju, pomagała mu

żartobliwą radą, jowialnym dowcipem, krotochwilą. Już znałem ten

rodzaj pomocy na wesoło, nieodzownej przy każdej pracy Afrykanina,

jeśli praca miała iść od ręki. Najbardziej jednak dziwiłem się

życzliwości i niezmqconemu humorowi tych ludzi: wszakże już na dobre

ciemniało, a po całodzienniej jeździe zapewne każdy odczuwał głód i

zmęczenie. Oni tymczasem, pełni werwy, cieszyli się, że mogą nam

pomóc. Jakże inaczej wyglądałoby to w Europie lub w Ameryce!

I rzeczywiście pomogli. Obcemu kierowcy udało się zamknąć piekielną rurkę amortyzatora. Majster miał lepsze obcęgi niż Sumah, może wprawniejsze ręce. Dość, że oliwa już nie tryskała; mogliśmy ruszyć. I znowu niespodzianka: kierowca odmówił przyjęcia zapłaty. Namozolił się porządnie przez dobre pół godziny i nic za to nie chciał. Ucieszną przemocą trzeba było wsadzić mu do kieszeni dwieście franków i paczkę papierosów.

Gdy zbawienny autobus odjeżdżał, było ciemno, gwiazdy

85

53

roziskrzyły niebo. Ustał ludzki zgiełk i głosy przyrody dobiegły znowu naszych uszu. Z gąszczu słyszeliśmy mnóstwo zagadkowych dźwięków.

Początkowo sądziliśmy, że to wołanie ptaków. Słysząc było skrzek, bulgoty, syki, rechotanie, Bóg wie co. Najmniejszego pojęcia nie mieliśmy, kto ich dobywał. Przestaliśmy zgadywać i ruszyliśmy w drogę.

Oliwa nie ciekła, ale amortyzator był nadal zepsuty i podwozie nisko leżało na osiach jak zraniony ptak w gnieździe, więc wlekliśmy się ostrożnie i powoli. Góry pozostały za nami. Widocznie masyw Futa Džalon skończył się i przechodził w płaskowyż, opadający ku północy i zachodowi. Droga ciągnęła się prosto jak strzełił, lecz, jakkolwiek bita, wiele miała na sobie grubego żwiru. Co rusz blacha podwozia ocierała się o piaszczyste zapory z przeraźliwym zgrzytem, a gdzie żwiru było więcej, samochód utykał jak wryty. Kilkakrotnie wyskakiwaliśmy z

auta i przepychali je w pocie nie tylko czoła, aż wreszcie w godzinę po wyruszeniu citroen ugrzązł na dobre i nie dał się ruszyć ani w przód, ani do tyłu. Krzyż Południa romantycznie błyszczał na niebie, ale nam nie było romantycznie na duszy i mieliśmy gwiazdy gdzieś.

Na szczęście niebawem zjawił się nowy autobus, pełen ludzi, znowu nad podziw ochoczych, serdecznych i skorych do pomocy. Hurmem wypadli z auta z kierowcą na czele i otoczyli nas. Dowiedziawszy się, w czym sęk, przynieśli pompkę (Sumah pompki nie miał), dopompowali migiem nasze dętki, by koła wyżej stały, następnie społem w dwudziestu chłopów, śmiejąc się, wyciągnęli wóz na twardy grunt i ucieszeni tym, co zrobili, pojechali dalej. Zapłatę? Nagrodę? Za nic w świecie, mowy nie ma! Paskudna to była noc, ale coś w niej zawiewało z „Tysiąca i jednej”.

Ruszyliśmy więc ponownie. Niestety, haniebna droga, pełna zwałów piasku, okazała się ponad siły naszego kaleki: po kilku kilometrach wpakowaliśmy się w takie usypisko, że już ani rusz dalej, i to na amen. Była godzina dziewiąta i nikła nadzieja, żeby coś nadjechało z pomocą.

84

— Wyczerpał się zasób dobrych ludzi! — westchnąłem cierpko. — Tu pewnie przenocujemy.

— Nic nam innego nie pozostało — bąknął Eibel, a po chwili dodał z łagodną drwiną: — I pomyśleć, że dwadzieścia cztery godziny temu marzyliśmy o Liii Badmajew.

— Niemożliwe! — oburzyłem się. — To było pół wieku temu...

Z brussy nie dochodziło już tyle odgłosów co krótko po zapadnięciu

nocy, jednak raz po raz słyszeliśmy jakieś głucho pomruki, ni to jęki, ni warczenie; mogły to być zarówno żaby jak lwy, bies je tam wiedział. Na chwilę przed utknięciem samochodu cętkowany drapieźnik przeskoczył jak błyskawica przez drogę w świetle reflektorów; Sumah zapewniał, że to lampart, ale na lamparta zwierz był zbyt mały; pewnie śmignęła cyweta.

Rozłożyliśmy się na siedzeniach jak najwygodniej, zamknęli okna mówiąc, że dla chłodu, i zgasiwszy wszystkie lampy z miejsca zasnęliśmy.

Z kamiennego snu wydarło nas jaskrawe światło wpadające do środka auta jak gniewne błyski apokaliptycznej bestii. Okazało się, że to reflektory nowego autobusu. Spojrzałem na zegarek: dokładnie północ.

Nadjeżdżający ludzie myśleli, że leżymy martwi. Wyroilo ich się

54

kilkunastu z ożywionym „halo”, wszakże pomimo dobrych chęci i wysiłków citroena popchnąć nie zdołali; zagrzebał się zbyt dobrze. Więc kierowca ich przycumował go do swej landary i wtedy udało się:

samochód, wyciągnięty z zapory, mógł człapać dalej o własnych siłach.

Wzięliśmy życzliwego kierowcę na bok prosząc, żeby przyjął coś w dowód naszej podzięk. Zachnął się i nic nie chciał.

— O, poczęstujcie mnie papierosem! — przypomniał sobie.

Ale, jak na złość, nie mieliśmy papierosów, ostatnią paczkę rozdawszy już uprzednio.

— Nic nie szkodzi! — zaśmiał się dobrodusznie, inni mu za-

wtórowali i cała ferajna z krzykiem, ze śmiechem i śpiewem skoczyła do autobusu.

Doświadczenia tej nocy wstrząsnęły mną. Bieda, w jaką wpadliśmy, dobitnie dobywała na jaw wrodzone przymioty Afrykanów: ich nieprawdopodobną pogodę ducha, uczynność, poczucie zbiorowej solidarności. Wśród kierowców na afrykańskich drogach szczerze krzewiło się braterstwo, o jakim inne kontynenty nie miały pojęcia. Ludzie, niosący nam pomoc, nie wiedzieli przecież, jakiej jesteśmy narodowości, a mimo to z całej duszy spieszyli bezinteresownie na ratunek. Ci bojownicy o nową Afrykę byli jak towarzysze broni, związani wspólnym frontem, swego rodzaju dżentelmeni, stwarzający nowoczesne pojęcie rycerskości.

I nie tylko w Gwinei. Kilka miesięcy później stwierdziłem to samo w Ghanie, Wobec niegrzeczności (chciałoby się powiedzieć: chamstwa), spotykanej tak często na drogach Europy, a szczególnie Polski, uprzejmość afrykańskich kierowców mogła wydać się czymś zgoła oszołamiającym. Była to uprzejmość zupełna, bezwzględna, bez wyjątku. Wyprzedzane auto nie tylko jak najuprzejmiej zjeżdżało z toru, ale kierowca jego zawsze — podkreślam: zawsze — dawał przyjazny znak ręką, zapraszający do mijania.

Podjęliśmy jazdę na nowo i teraz szło lepiej. Sumah nauczył się przeć przez zatory na wzmocnionym gazie. O drugiej w nocy dotarliśmy szczęśliwie do Kundary, niepośledniej miejsciny, będącej jeszcze na

nogach: tej nocy odbywał się bal i słysząc było europejskie melodie z głośnia równocześnie z waleniem tam-tamów.

Na ciemnej ulicy stał jegomość w czarnych spodniach i białej koszuli z krawatem. Elegant okazał się starostą ośrodka administracyjnego w Kundarze, a gdy przeczytał pocziwe zaświadczenie Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich w Warszawie, polecające mnie władzom gwinejskim jako człeka niezłych intencji, cały przeobraził się w serdeczność i otoczył nas opieką jak rodzony brat. Wprawdzie noclegiem u siebie nie mógł służyć, bo miał pełno gości, lecz sfatygowanego citroena

86

uloował w Kundarze, a nas, Eibla i mnie, wysłał swoją ka-mionetką do Sambailo, odległego o dwadzieścia kilometrów, gdzie dla polujących milionerów znajdował się europejski hotel Francuza Wilfarta. W hotelu tym tak czy owak mieliśmy mieszkać.

Wilfart był nieobecny. Zarządzająca hotelu, Mme Chambal-lier, Francuzka, usłużnie wstała z łoża i zaprowadziła nowych gości do

55

niedalekiego bungalowu na nocleg. Mnie chciało się tylko potwornie spać, Eiblowi zaś popić jeszcze czegoś ciepłego. Grzecznie zapytał, czy nie dałoby się zagrzać kilku łyków herbaty.

Mme Chamballier, szczerze zdziwiona, zrobiła okrągłe oczy.

— Przecież o tej porze kuchnia jest zamknięta! — wyjaśniła.

Gdy pozostaliśmy sami, nie wypadło nic innego, jak stwierdzić

faktyczny stan rzeczy.

— Mon cher ami! — rzekłem do Eibla. — Znaleźliśmy się znowu wśród białych ludzi...

Seraj

Natrysk z chłodną wodą w nocy, pięć godzin zdrowego snu w wygodnym łóżku i natrysk rano cudownie postawiły nas na nogi.

Wstaliśmy o ósmej w świetnych humorach, gotowi uściskać cały świat.

A świat tego poranka był wyjątkowo miły i łaskawy dla nas, jakby chciał powetować wczorajsze mankamenty.

Gdy otworzyliśmy bungalow, by wyjść na dwór, powitało nas przy drzwiach najpowabniejsze stworzenie brussy, śliczna antylopa mina.

Wielkie, okrągławe łyżki i białe pręgi na ciele nie były nam obce. Taką samą antylopę, młodą, dostał mały Piotruś w Konalrri od Sumaha, tylko że ta tutaj była wyrośnięta, wielkości naszej sarny. Mimo że bardzo oswojona i z człowiekiem obyta, unikała dotyku rąk ludzkich, co dobrze świadczyło o jej roztropności: dotyk ręki ludzkiej zwierzęciu leśnemu nie dał

jeszcze nic dobrego. Była to koza, bez rogów, łagodna; awanturniczy samiec z rogami mógłby narobić bigosu gościom hotelu.

Tu zaś wszystko nastawiono na to, żeby gości, bogatych turystów, olśnić, ująć i urzec. Bungalow, w którym spaliśmy, przypominał bajkę: stanowił dokładną, acz kilkakrotnie większą kopię tubylczych okrągłych chat, pokrytych stożkowatą strzechą, i łączył w sobie ich egzotyczną malowniczość z europejską, wykwinną wygodą wnętrza.

Kilka takich ślicznych bungalowów-uli otaczało centralny pawilon o przewiewnych halach, gdzie w kuszącym chłodzie podawano jeść. Tam, na ścianach, obok świetnych trofeów myśliwskich i słoniowych kłów, mienił się i przykuwał oczarowane oczy cały przepych murzyńskiego folkloru: różnoraka broń, maski, rzeźby, wielobarwne ozdoby, płomienne kilimy.

Gdy więc zasiedliśmy do śniadania, było na co spojrzeć. Po wczorajszym poście śniadanie smakowało jak jeszcze nigdy w Afryce: świeży, lecz znakomicie wypieczony chleb, najlepszy na świecie, bo francuski, twarde masło z lodówki, mocna gorąca kawa z mrożonym mlekiem — to były delie je! Toteż rozkręciły nas, rozochociły, jakbyśmy pili stare wino.

Mieczysław Eibel, niezrównany narrator i czarodziej miłych nastrojów, wpadł w zapał. Przebywał kiedyś na Korsyce i miał tam wielu przyjaciół, więc teraz zaczął o nich opowiadać. Daleka wyspa i przyjaciele odżyli tu wśród nas, w magicznym hotelu Wilfarta. Co za dziwna rozkosz: pędziliśmy rozbrykaną wyobraźnią hen, do brzegów skalistej wyspy, między słonecznych, dobrych ludzi — i, upojeni ich serdecznym uśmiechem, co rychlej wracaliśmy do Sambailo. Tu z kolei nasycaliśmy fluidami radości tajemnicze maski leśnych potworków,

56

popiersia urodziwych Fulbejek z hebanu i nawet wypchane głowy upolowanych trofeów. Przyjemna i zabawna gra.

Ale w tym wszystkim najfantastyczniejszy był ogród. Okalał werandę i

mieszkalne bungalowy szaleństwem roślinności. Była to orgia zieleni i wielkich czerwonych kwiatów, tym bardziej przejmująca, że opanowana. Od samego ranka czarni boje oblewali ogród hektolitrami wody i w ten sposób w kraju na pół pustynnym, zwłaszcza w obecnej porze wypalanej ziemi, tumanów kurzu i spopielalej trawy, wyczarowywali oazę obfitości. Czy człowiek chciał, czy nie chciał, właśnie na zasadzie tak skrajnego przeciwieństwa musiał czuć się tutaj jak w wyśnionym raju, w jakimś ogrodzie Semiramidy. Wszystko tu oszołamiało, wprawiało w trans, co więcej, narzucało nieodpartą uludę, że samemu przeżywa się na jawie wyjątkową bajkę. A o to przecież chodziło magikowi Wilfartowi i za to miał prawo ściągać dolary od wzbogaconych tyków.

Pomimo że wypadalo nam wszystko podziwiać, starałem się — choćby dla przyzwoitości — przyjmować owe wspaniałości ze szczyptą krytycyzmu. Ostatecznie, wkładając ciężką forszę, można było zbudować przepych w głuszy, sztucznie stworzyć baśniową dżunglę, nagromadzić zbiory, postawić malownicze bungalowy, raczyć gości świeżym chlebem francuskim i whisky z lodem, odgrodzić to wszystko od świata wysokim murem, napuścić kilka uroczych antylop, z wdziękiem przymi-lających się do gości — wszystko to ostatecznie dało się zrobić ludzkim przemysłem. Ale w jednym Wilfart okazał się rzeczywistym magikiem: jakim cudem, do kaduka, potrafił ściągnąć do swego ogrodu tyle ślicznych motyli?

Przez osfatnie sto siedemdziesiąt kilometrów, od chwili przejścia przez

rzekę Kumba, nie widzieliśmy dosłownie ani jednego motyla dziennego czy nocnego, i na pewno na wyschniętej sawannie dokoła Sambailo nie było ich wiele albo i wcale. A tu jakby rozwarło owadzie spusty, taka moc motyli bujała w powietrzu. Wielka ich ilość stanowiła nie mniejszą atrakcję niż antylopy i czerwone kwiaty, dla mnie zaś była najciekawszą rewelacją.

Rej wiodły dwa gatunki, krzepki witeż demodocus i łagodny, jakby rozpieszczony Danais chrisippus. Demodocus, przystajny żeglarz z rodziny Papilio, dwa razy większy niż nasz paż królowej, ale bez ogona, zaliczał się do największych obieżyświatów, buszował bowiem równie brawurowo i z tamtej, wschodniej strony Afryki. Ba, podziwiałem okazałego pasażera nawet na

88

89

Madagaskarze. W Konakri, gdzie go niedawno widywałem, był czujnym i pierzchliwym dzikusem, tu natomiast, w Sambailo, nic podobnego: oblaskawiony baranek, że do rany go przyłożyć. Nikogo się nie bał, siadał na czerwonych kwiatach o krok od człowieka, można go było z bliska fotografować i łowić tyle sztuk — gdyby na tym zależało — ile by dusza zapragnęła.

Jeden szczegół z pewnością strapiłby entomologa Jana Wójcickiego: wszystkie demodocusy były tego zlatane, miały podarte skrzydła. Do zbiorów się nie nadawały. Widocznie już od wielu miesięcy latały po

57

Afryce i, upajając się bliskością nektaru w Wilfartowym ogrodzie, nie myślały rozstawać się ze słodkim życiem, różami usłanym. .

Drugi, Danais chrisippus, był tu równie pospolity i równie śliczny, choć znacznie mniejszy. Na skrzydłach miał jasny brąz, kasztanowaty brąz i bardzo ciemny, piwny, przy tym wiele białego — wszystkie barwy tak doskonale i przemyślnie dobrane, że gdy latał, widziało się jakąś kuszącą soczystą zjawę, jak gdyby czarujący motyl nadawał światu znaki pełne życzliwości, powabu i otuchy.

Więc Wilfart stworzył tu luksusowe przedsiębiorstwo dla żądnych afrykańskiej przygody turystów. Po drugiej stronie niedalekiej granicy, już na terenie Federacji Mali, miał Wilfart w pobliżu wielkiego rezerwatu zwierzyny drugi, podobny hotel, wyposażony w fachowy personel. Za odpowiednią opłatą — nie marną, nie szczupłą — spełniano tam wszystkie życzenia i kaprysy gości: kto chciał fotografować dzikie zwierzęta, tego doprowadzano do nich na kilkanaście kroków; kto chciał ubić wielkie antylopy, temu wyborowi tropiciele wskazywali cel w pobliżu rezerwatu; a kto zapolować na lwa, tego obsługiwał sam Wilfart w asyście swych najzdolniejszych łowców.

W Afryce Wschodniej, gdzie biali zarabiali szalone pieniądze na kopalniach i plantacjach, takich hoteli w dzikiej brussie było bez liku. Urządzone z nadzwyczajnym, wprost wyuzdanym komfortem, czyniły zadość wszelkim fantazjom, choćby najdroż-niejszym, i mając ogromne powodzenie, robiły kokosowe interesy. W Gwinei było skromniej, istniał, zdaje się, tylko jeden

Wilfart, ale wobec przemian w kraju i wyjazdu bogatszych Francuzów czekała go obecnie nieuchronna ruina. Liczył jeszcze tylko na swą filię w Mali, gdzie na razie tolerowano Francuzów.

Bardzo żałowałem, że Wilfarta nie było w Sambailo; obrotny Francuz szczególnie mnie interesował, gdyż przebywał przed wojną szereg lat w Polsce, ponoć zachował do niej żywy sentyment i wciąż jeszcze mówił niezłe po polsku. Jakże chętnie poznałbym rzutkiego jegomościa, a także tajniki jego magii i jego sztuk czarodziejskich. Niestety, nie składało się. Po śniadaniu poszedłem na wieś, przylegającą do hotelu. Jak większość wiosek afrykańskich składała się z typowych okrągłych chatek i stożkowatych strzech; właściwie nie była mała, ale co za nędza, brud, kurz, liche lepianki przyziemne, żadnej prawie zieleni, kompletne ubóstwo drzew, wszędzie szarość i zaniedbanie. Ludność utrzymywała się głównie z posług, pełnionych koło hotelu, ale, jak widać, niewiele okruszyn spadało z pańskiego stołu.

Zaledwie znalazłem się we wsi, gdy w te pędy przyłączył się do mnie boy z hotelowego personelu i towarzyszył mi jako duch opiekuńczy.

Nazywał się Szamban, był Fulbejein i jednym z tropicieli Wilfarta.

— Czy to są ludzie Koniagi? — spytałem go, wskazując na wieś.

Nie. W Sambailo żyła zbieranina z różnych szczepów, najwięcej było

Fulbejów, kilku Soso i Mandingów, ale żadnych Koniagi.

— A gdzie Koniagi?

Szamban zamachał na wszystkie strony mówiąc, że Koniagi żyją

wszędzie dokoła, ale najwięcej jest ich pod Jukunkunem, odległym od Sambailo o czterdzieści trzy kilometry.

58

Gdy po godzinie wracałem raczej zgnębiony do hotelu, trudno było wyobrazić sobie bardziej biegunowy i wstrząsający kontrast: jak gdybym przechodził do zupełnie innego świata, na inną planetę, z koszmaru wstępował do rajskiego komfortu.

, 91

Śmieszny drobiazg: w hotelowym ogrodzie nawet powietrze było chłodniejsze, podczas gdy tuż obok spieczona wieś buchała nieznośnym skwarem.

Wtedy zrozumiałem, do czego potrzebny był białym władcom dziwny przepych tego hotelu: tu wszystko, nawet wdzięczenie się antylop, nawet powab afrykańskich motyli, utwierdzało panów kolonii od nowa w wyniosłym przeświadczeniu, że są pomazańcami losu; luksus hotelu dawał im pewność, że należą do Herrenvolku, któremu opatrzność powierzyła władzę i pieczę nad Czarnym Kontynentem. W tym seraju okazałości i zbytku, w atmosferze półrajskiej, półbaśniowej silni ludzie mieli jeszcze bardziej umacniać swą siłę, dumni potęgować swą dumę, dufni wzmacniać pewność siebie.

Praduce of Poland

Wróciłem do hotelu około jedenastej, na godzinę przed obiadem — przepraszam, tu nazywali to bardziej dystygowanie śniadaniem.

Świeżymi wrażeniami ze wsi chciałem zaraz podzielić się z Eiblem,

który nie opuszczał hotelu, ale nic z tego nie wyszło: przyjechał już z Kundary nasz nocny znajomy — sympatyczny starosta Konde Alseny jeszcze z jakimś Gwinej-czykiem i obydwaj, jakkolwiek wielce układni i dyskretni, weszli nam trochę w paradę. Konde przywiózł niemiłą wiadomość o naszym samochodzie, którego nie dało się zreperować w Kundarze bez sprowadzenia zapasowych części aż z Konakri albo z Dakaru. Była to właściwie wieść hiobowa — i dlatego może do notesu wpisałem dość krzywdząco: „Konde z rana się napatoczył i zawraca nam głowę”.

Nieprawda, nie zawracał. Wraz z kumplem siedzieli skromnie na wysokich stołkach przy barze hotelu i zamówili sobie jakąś wodę. Widząc to Eibel, arbiter towarzyskiej oglady i dyplomata zarazem, uprzejmie nimi się zajął i wdał w rozmowę. Była to pogaduszka na tematy nijakie, nieco pleple, więc zrejterowałem

92

i, wodze puszczając namiętnościom, wykradłem się z rollei-flexem do ogrodu.

Motyli krążyło dużo, podobnie jak rano, a najczęściej uwijał się demodocus. Na tego gagatka zagiąłem parol. Spostrzegłem jednak, że łatwiej byłoby dziesięć motyli złapać i zakatrupić, niż jednego sfotografować w naturze. Tymczasem zdawało się to takie proste, gdyż co chwila przylatywał jakiś witeź do czerwonego kwiatu, o dwa kroki od człowieka. Niestety, prawie zaraz, po sekundzie, dwóch, raptus zrywał się jak opętany i dalej w lot. Najlepiej było fotografować z

*odległości jednego metra, ale gdy nastawiałem obiektyw na jakiś kwiat,
oddalony*

*0 metr, i bez ruchu czyhałem, nicponie motyle, jak na złość, omijały go,
siadając na sąsiednich kwiatach. Dobry kwadrans trwało zanim
zrobiłem trzy niepewne zdjęcia, po czym miałem powyżej uszu i zabawy,*

59

*i piekielnego słońca. Wróciłem pod dach, spragniony towarzystwa i
trunku.*

*W hallu panował przyjemny chłód, więc moje towarzystwo równie
przyjemnie rozgrzało się w tym czasie. Konde Alseny*

*I ten drugi okazali się morowymi kompanami, byli zarówno przyjemni,
jak łebscy i rozgarnięci, rozmawiało się z nimi miło i na poziomie.*

Ochoczo wprzągnąłem się w ogólny nastrój.

*Ten drugi to był nie byle jaki lokalny fisz, bo naczelnik policji na cały
pograniczny okręg Jukunkun, któremu to okręgowi podlegało*

*starostwo * Kundara. Jukunkun właśnie otrzymało z Ministerstwa*

Informacji w Konakri telegram, zapowiadający mój przyjazd i

polecający władzom otoczyć mnie życzliwą opieką. Toteż naczelnik

policji osobiście zjawił się w Sam-bailo, ażeby wyniuchać, kto ja zacz i

jakie wiatry mnie przygnały. Gdy wśród milej pogwarki wyczulem jego

ciekawość, całkiem uzasadnioną, nie zwlekałem z wyjaśnieniem,

oświadczając dość dobrodusznie, że chciałbym poznać szczep Koniagi.

— Ach, Koniagi! Koniagi! — zawołał udając oburzenie. — Czemuż oni

tacy atrakcyjni? Że chodzą nago?

** Używam nazw „starostwo”, „starosta” z pewną dowolnością i sądzę, że to w przybliżeniu odpowiada stanowisku, jakie zajmował Konde Alseny — chief de poste administratif de Koundara. A. F.*

95

Ta nagość szczepu Koniagi była kolcem w oku sfer rządowych i bez mała ich opętaniem, więc odpartem:

— Nago czy nie nago, Koniagi dzielnie ongiś bronili się przed Fulbejami i Francuzami. Czy to nie dość atrakcyjne?

Naczelnik pochodził z wybrzeża i nie był Fulbejem.

— To prawda! — poparł mnie Konde. — Przypomnij sobie, naczelniku, że niedawno była tu ekipa filmowa, polska czy czeska, już nie wiem, i filmowała słynne tańce szczepu Bassa-ri, kuzynów Koniagi.

— Ubrali się do tańców! — obstawał naczelnik przy swoim.

— Ale zbyt skąpo, jak na urzędowy gust! — zaśmiał się Konde i wszyscy zawtórowaliśmy, także naczelnik.

Wywodził się on ze szczepu Susu i niezawodnie był dobrze zapisany w Konakri, skoro powierzono mu odpowiedzialne stanowisko akurat nad tą granicą. Tu bowiem należało czujnie śledzić wszystko, co działo się w sąsiedniej Federacji Mali, jak również mieć oko na własnych, gwinejskich Fulbejów.

Konde Alseny natomiast pochodził ze szczepu Mandingów, tak samo jak prezydent Sęku Turę, z okolic miasta Kankan w głębi kraju. Powołany na kurs wyższych urzędników administracyjnych, ukończył go z celującym wynikiem i miał przed sobą świetną karierę. Całkiem

słusznie: giętki, jasny umysł oraz miłe a dyskretne obejście znakomicie uzupełniały pociągającą powierzchowność. Konde był przystojny. Usta miał niezbyt wywinięte, nos mało spłaszczony; twarz uderzała swą regularnością i szlachetnym wyrazem. Była, jak zwykle u Mandingów, głęboko czarna. Konde miał około trzydziestu lat i był nieżonaty.

— Jeszcze nieżonaty? — serdecznie się zdziwiłem.

— Konde — wyjaśnił naczelnik — dużo pracował, wciąż się uczył, nie miał czasu myśleć o osobistych sprawach. Poza tym Konde ma... specjalne marzenia... — dodał z uśmiechem.

60

— Jakie marzenia? — spytałem, ale w rozgwarze odpowiedź zawieruszyła się. w

Ponieważ powoli nadchodziła pora obiadowa, a dwaj goście nie zabierali się do odejścia, zaprosiliśmy ich na obiad, co przy-

94

jęli

z

radością.

Wówczas

Eibel,

mrugnawszy

do

mnie

porozumiewawczo, zabrał nas wszystkich do naszego mieszkalnego

bungalowu i tu wydobył z walizki dwie sympatyczne butelki z Polski: jedną z miodem pitnym wawel, drugą z żubrówką. Postanowił darować je Gwine jeżykom, ale nagle nasunęły mu się skrupuły — byli to przecież mahometanie, bezwzględni wrogowie alkoholu. Z pewną żenadą, więc i z nadmiernym przejęciem, przystąpił do uzasadniania, że to tylko, lekarstwa, że to miód wzmocniony, ekstrakt z trawy żubrowej; wobec tego ja również wystąpiłem w szranki i, przedzierzgnąwszy się w faryzeusza, uderzyłem w te same trąby, chwając krzepiące eliksiry zdrowia i tak dalej.

Naiwne obawy, że oburzeni Gwinejczycy odtrącą dary, na szczęście okazały się płonne. Wysiłki nasze były zbędne, woziliśmy szyszki do boru, wyważaliśmy otwarte drzwi. Obydwaj zdziwili się szczerze obfitości naszych argumentów i sprawę załatwili na krótkim toporzysku: płody szatana przyjęli skwapliwie niby nektar niebios i basta. Nie mieli przesądów.

Wobec tak wdzięcznych kumpli kusiciel Eibel postąpił o krok dalej i zawczasu kazał zamrozić w lodówce butelkę wyborowej eksportowej. Podczas obiadu „eliksir zdrowia” świetnie smakował także wyznawcom Proroka i już przy pierwszym kieliszku do reszty otworzył nam wszystkim serca i rozwiązał języki. Święciliśmy gody braterstwa. Rozkwitła uczta przyjaźni osobistej i przyjaźni naszych narodów. Uniesiony sprawiedliwym zapalem, zaprosiłem naczelnika policji do Polski, jeśli los zapędzi go kiedyś do Europy, i przyrzekłem mu serdeczną gościnność.

— *Ach, Polska, Polska!* — *nagle rozmarzył się Konde.*

W głosie jego zabrzmiało ni stąd, ni zowąd tyle uczucia, że mimo woli spojrzeliśmy na niego cokolwiek stropieni.

— *Chciałby pan tam pojechać?* — *zapytałem.*

— *To szczyt moich pragnień!* — *wymamrotał wzruszony.*

— *Co pana tak pociąga do Polski?* — *dowiadywałem się grzecznie.*

— *Młode dziewczyny* — *odparł po prostu.*

95

Takiej odpowiedzi nie spodziewaliśmy się. Eibel i ja, zdę-biali, spojrzeliśmy na siebie, bliscy wybuchu wesołości, ale staroście nie było do śmiechu. Sprawa w ogóle okazała się nie tak śmieszna i fantastyczna, jak w pierwszej chwili mogła się wydawać. Konde rzeczowo ją wyjaśnił: pięć czy sześć lat temu kilku jego rówieśników, Afrykanów, brało udział w wielkim festiwalu młodzieży w Warszawie; wrócili do Afryki oczarowani urokiem młodych Polek. Śliczne dziewczyny nie tylko nie miały jakichkolwiek uprzedzeń, lecz przeciwnie, afrykańskim chłopcom okazywały więcej względów i ciepła niż na przykład Szkotom czy Amerykanom.

61

Konde Alseny przez długi czas przypuszczał, że serdeczność, okazywana gościom w Warszawie, wynikała głównie z nastrojów festiwalu, ale niedawno zmienił zdanie. Czarowne Polki pozostały nadal przychylnie dla cudzoziemców. Spotkał pewnego Francuza, jeżdżącego co roku na międzynarodowe targi do Polski, i ów doświadczony bywalec

zapewniał, że wiele urodziwych Polek, zaprzyjaźniwszy się z cudzoziemcami, wyjeżdżało za granicę jako żony, narzeczone, nawet jako przyjaciółki cudzoziemców, a polskie władze im tego nie utrudniały.

— Marzę o żonie Polce! — zakończył Konde z błyskiem w oku.

Naczelnik może wyczuł u nas niejake wątpliwości, bo zaczął wywodzić, że on również ma żonę jasnoskórą, mianowicie Mulatkę z Konakri, i jest z nią szczęśliwy, a w bratniej Ghanie "córka angielskiego lorda, Sir Crippsa, poślubiła Murzyna, ma z nim dzieci i wcale nie tęskni za ojcowskim środowiskiem.

— Marzę o żonie Polce! — jeszcze raz westchnął rozrzewniony Konde.

Między nami stała na stole zacna butelka, Produce of Poland. Musiałem uśmiechnąć się do niej: z Polski wychodziła w świat nie tylko dobra wyborowa eksportowa, ale także dobra opinia o innych wyborowych eksportowych.

Względność czasu

Uszkodzenie samochodu nie mogło splatać nam gorszego figla. W łeb wzięły nasze plany dotarcia do siedzib szczepu Koniagi, rozproszonych w brussie z dala od utartych szlaków, i nawet powrót do okolic bardziej cywilizowanych stawał się już problemem: nie można tu było wypożyczyć samochodu osobowego, autobusy kursowały tylko rzadko i przygodnie, a wynajęcie małej ciężarówki kosztowałoby majątek, dwieście do dwustu pięćdziesięciu dolarów. Wpakowaliśmy się w obrzydliwe tarapaty, ale mimo wszystko nie traciliśmy dobrej myśli.

Jedno nie ulegało wątpliwości: co do komunikacji byliśmy zdani na łaskę i pomoc lokalnych władz.

Po miłym wspólnym obiedzie Konde Alseny podjął się zawieźć towarzystwo swoją półkamionetką do Jukunkunu, by przedstawić nas swemu szefowi, komendantowi okręgu administracyjnego. Jechało się przez Kundarę, gdzie przyłączył się do nas Barry Sęku Diallo, komendant okręgu Gauual, graniczącego z okręgiem Jukunkun od południa.

Barry Sęku Diallo był młodym, przystojnym Fulbejem, ale o innym typie urody niż Konde z plemienia Mandingo: podczas gdy twarz Kondego wyrażała łagodność i skłonność do zadumy, Diallo uderzał sporą pewnością siebie, swobodą zachowania i pańską wyniosłością; minę miał zuchwałą, junacką, a rysy niemal aryjskie, i gdyby nie czarna skóra, można by go wziąć za jakiegoś Kmicica.

Wybitnie bystry, rozgarnięty, podobno piastował do niedawna stanowisko dyrektora departamentu w którymś z ministerstw w Konakri, ale będąc niepoprawnym zarozumiałcem, zraził sobie wielu kolegów i przełożonych. Powierzenie mu komendy okręgu Gauual było rodzajem zesłania na północne kresy państwa.

62

Diallo miał samochód osobowy, który sam prowadził, więc Eibla i mnie umieścił koło siebie, podczas gdy Konde jechał swą kamionetką. „Po drodze widać — wpisałem do notesu — na pół nagich Koniagi, mężczyzn

czynny obnoszą nagie piersi, czego dotychczas w Futa Dżalon nie spotykało się. Dotychczas widzieliśmy tylko czcigodne matczyne piersi, gdy matrony chodziły rozebrane do pasa. Kraj jest płaski, góry Futa Dżalon za nami".

W pewnym miejscu cztery starsze kobiety Koniagi siedziały na polu w pobliżu drogi i oczyszczały orzeszki ziemne, zniesione na kupę. Kazałem Diallowi zatrzymać się i wyskoczyłem do niewiast z aparatem. Coś tam mruknęły pod nosem na moje przyjazne bonjour, zresztą zachowywały się z uprzejmą powściągliwością. Poza tym, że były prawie w negliżu, opięte tylko na biodrach jakimś lachmanem w swoistym stylu bikini, niewiele różniły się od ubogich kobiet innych szczepów.

Fotografowałem je raz za razem, co przyjmowały biernie i obojętnie jak nieunikniony dopust boży; mniej biernie natomiast zachował się mój Fulbej Diallo. Zepewne, jego zdaniem, zagrażało honorowi Gwinei, że uwieczniałem poczciwe naguski.

— Assez! Venez! — Dosyć! Niech pan przyjdzie — usłyszałem nagle z jego samochodu niecierpliwe wezwanie.

Ton, do tego stopnia rozkazujący, byłby niewłaściwy nawet w Europie, tym dziwniej zaś brzmiał tu, w byłej kolonii, gdzie jeszcze dwa, trzy lata temu panoszył się biały człowiek, bogom równy. Teraz doznałem na własnej skórze, jak obecnie tych bogów i szacunek dla nich diabli wzięli,

wróciłem więc do samochodu wybornie rozbawiony. Gdy ruszyliśmy,

ulżyłem sobie drwiącą uwagą:

— Pewnie długo był pan w wojsku?

— Nie, nie byłem wcale. Dlaczego?

— Ma pan głos generała.

— Generała?

— To co najmniej sierżanta...

Zerknąłem na niego. Wydął nieco usta, przymrużył oczy, ale żart przyjął bez urazy. Podziwiałem go: był to niezrównany okaz pana.

Czarne spodnie i czarne trzewiki, biała koszula nylonowa z długimi rękawami, zapięty ^ kołnierzyk i ciemny krawat -- wszystko było doskonale, podobnie jak wyraz buty

98

na zuchwałej twarzy. Młody szlachcic fulbejski nie oduczył się mierzyć dumnym wzrokiem ludzi; tak patrzyli jego wyniośli przodkowie na pokonane szczepy i na niewolników.

Paradna względność czasu: jeszcze trzy lata temu ów Fulbej nie śmiałby odezwać się tak obcesowo do mnie, białego, ale siedemdziesiąt lat temu biały człowiek nie śmiałby tu tak pokpić sobie z Fulbeja bez narażenia swego gardła.

Szlagon

Gdy zajechaliśmy do Jukunkunu, była godzina czwarta, ale komendant okręgu, Barry Mahmadu Ury, odbywał jeszcze drzemkę popołudniową.

W pięknie urządzonej rezydencji, prze1-jętej po francuskim chef de

*cercle * i nadal starannie utrzymanej, powitała nas zażywna niewiasta, żona — zapewne główna żona — komendanta Ury.*

Z ujmującą prostotą powiedziała, że mąż jeszcze śpi, ale go wkrótce zbudzi, i pełna towarzyskiej grzeczności prosiła nas o rozgoszczenie się jak u siebie w domu. Każdego uprzejmie pytała, jakiego „drinka” sobie życzy, po czym czarny jak jego pani boy sprawnie nas obsłużył. Na niskim inkrustowanym stoliczku obok mnie postawił szklankę z lodem i nalał do niej whisky jonny walker, ile sobie życzyłem, oraz wody sodowej perrier.

Siedząc w gigantycznych fotelach ze skóry, tonęliśmy w nich jak w głębokim naczyniu przepychu i pychy. Skromny jak zawsze starosta Konde z trudem podciągnął pod siebie nogi, komendant Diallo natomiast, czując się w swoim żywiole, nonszalancko wyciągnął je daleko przed siebie, a w fotelu rozpierał się jak w łóżku. Byliśmy w obszernym hallu, wykwintnie urządzonym, z domowym barem pod jedną ze ścian.

Czekaliśmy długo, bardzo długo, pół godziny, trzy kwadranse, a komendant Barry Mahmadu Ury nie zjawiał się. Mógł

• (fr.) Szef okręgu.

był już dawno wstać i ubrać się, ale widocznie należało do fulbejskiego protokołu, by czekającym gościom zmiękła trochę rura i zlekka nagięły się karki. Wystawianiem naszej cierpliwości na próbę nieźle się

delektowałem, przyjmując je ze znanstwem, gdyż niedawno czytałem w Konakri starą książkę Francuza Olivier de Sanderval'a, który w roku 1880 zwiedzał Futa Dżalon i napisał niezły wolumen o swych przygodach. W książce najwięcej rozprawiał o kłopotach, jakich przysparzały mu intrygi i zarozumiałość fulbejskich możnowładców, a szczególnie ich króla, almami w Timbo. Ów pyszny tyran niby to lubił Francuza i szanował, jednak trzymał go całymi miesiącami jak więźnia i dopiero po pewnym czasie z bólem serca wypuścił ze swych rąk, pozwalając mu wyjść z Futa Dżalon. Mieliśmy godnego poprzednika — myślałem.

— Może komendant jest chory? — grzecznie dopytywałem się Dialla.

— Nie, gdzie tam! — machnął ręką. — Kuzyn jest zdrowy... I sprawa była dla niego załatwiona.

— To wy kuzynowie? — zainteresowałem się.

— Tak.

— A, rozumiem! — ucieszyłem się. — Teraz rozumiem! Na wielkim mahoniowym stole, zajmującym środek hallu, stały dwie nieduże, śliczne, oryginalne rzeźby z mosiądzu, przedstawiające figury w donkiszocko groteskowym wydłużeniu.

Zwłaszcza scena człowieka z krokodylem była fascynująca, pełna ekscentrycznego humoru i niesamowitego wyrazu.

— Skąd one pochodzą, czy panowie wiedzą? — spytałem. Diallo wiedział: pochodziły spod Kankanu, gdzie robili je

tamtejsi kowale.

— Wielcy artyści! — stwierdziłem. — Czy mógłbym sfotografować rzeźby?

64

— Ależ proszę bardzo! — powiedział Diallo. Sfotografowałem je na dworze, w słońcu, pokazując, że dybię nie tylko na nagich Koniagi. „

W tym czasie żona niepostrzeżalnego komendanta starała się uprzyjemnić nam czekanie miłą o niczym rozmową;

100

uśmiechnięta, ruchliwa, często wstawiała, wychodziła, wracała. Na kartonikach płatków owsianych w Stanach Zjednoczonych widniała dobroduszna, korpulentna, rozkosznie roześmiana gospoia Murzynka, sławna Aunt Jessy. Żona komendanta przypominała do złudzenia pogodną ciocię Jessy z Ameryki.

— Jestem wyuczoną pielęgniarzką! — pochwaliła się, a my, Eibel i ja, przyjęliśmy wiadomość z głośnym uznaniem i podziwem. To, że była pielęgniarzką, wyróżniało ją jako osobę rewolucyjnie postępową wśród dziesiątków tysięcy jej rodaczek i przysparzało blasku jej mężowi-dygnitarzowi.

Nareszcie zjawił się i on. Starszy niż Diallo, liczący około czterdziestki, gruby, o nalanej, raczej pospolitej twarzy, nie tak przystojny jak Diallo, ale również pan: ruszał się z wielko-pańską ociężałością, na twarzy tlał łaskawy uśmiech. Ubrany był bezceremonialnie w pidżamę, jakby z

rozmyślną

niedba-łością.

Ściszym

głosem

wypowiedział

grzecznościową formułkę przeproszenia, że tak długo czekaliśmy.

Układnym ruchem rąk zapraszając nas do ponownego siadania

potwierdził nadejście telegramu w mej sprawie z Ministerstwa

Informacji w Konakri i dodał głosem statecznej uprzejmości:

— Zrobię dla pana wszystko, co będzie w mej mocy... Po czym

wyczekującym wzrokiem spojrzał na mnie.

W dziesięciminutowym mniej więcej wykładzie nachwaliłem się tyle,

ile powinien był wiedzieć, by odnieść się do mnie z sympatią. Słuchał

taktownie, ale niewzruszenie, i nie sposób było wyczytać z jego twarzy,

jakie wrażenie wywarły moje słowa. Stawało się to odrobinę

niepokojące: — Zatwardziałe kacyki! — można było zakląć w duchu.

Zakończyłem swoją wypowiedź oświadczeniem, że interesuje mnie w tej

podróży wszystko, od zjawisk przyrody do najdrobniejszych czynności

człowieka, nie tylko obyczaje prostych plemion, jak Koniagi, ale także

dzieje wielkich narodów i ich wybitnych wodzów przeszłości, że

wspomnę choćby o słynnym Samori, który Francuzom tyle sadła zalał

pod koniec XIX wieku, a dziś został uznany za bohatera narodowego

Gwinei...

Zapadła cisza. Obydwaj Fulbeje — ich miałem tylko na oku, bo starosta

Konde Alseny jako Mandingo, tu się nie liczył — przetrwali w

chłodnym spokoju moje słowa.

— A czy zna pan innych naszych bohaterów? — podjął rozmowę Diallo.

— Czy słyszał pan o innych jeszcze aspektach naszych dziejów?

Podkreślenie tej inności było wymowne.

— Ach! — zawołałem żywo. — Ma pan zapewne na myśli dzieje państwa

Fulbejów w Futa Dżalon i niesłychanie ciekawą rywalizację dwóch

królewskich rodów Alfa i Soria? O to panu chodzi?

65

Na twarzach Fulbejów pojawiło się wyraźne zdumienie, że nie była mi

obca ta historia. Widocznie mieli dotychczas do czynienia z zupełnymi

ciemniakami, innych gości te odległe strony zapewne nie widziały.

— Tak, to mam właśnie na myśli! — odrzekł zadowolony Diallo. —

Mieliśmy tu pod koniec XIX wieku wielkiego męża stanu i sławnego

wodza...

— Alfa Yayę, almamiego z Labę? — przerwałem mu. — O tym pan mówi?

— Nie inaczej! — potwierdził, a oczy jego roziskrzyły się

niedowierzaniem. — To słyszał pan o nim?

— Czytałem o nim! — uśmiechnąłem się. — W Konakri

o nim się nie mówi, więc i nie słyszy. Mówi się o Samorim.

— niesprawiedliwie! — zachnął się młody Fulbej.

— Raczej sprawiedliwie! — stropiłem go tym zaprzeczeniem. — Alfa

Yaya był co prawda mężem głębokiego umysłu, władcą wielkiego

pokroju i jako zwycięski wódz pokonywał wszystkie szczepy aż prawie do wybrzeża morskiego — wszystkie, z wyjątkiem jednego — ale ominęła go wielka szansa historii: nie walczył z Francuzami. Jego rówieśnik Samori walczył

I dlatego jego imię jest sławione.

— To nie pozbawione słuszności! — wtrącił się po raz pierwszy do rozmowy gospodarz, komendant Jukunkunu. — Nasz dziadek, Alfa Yaya, dążył istotnie do ugody z Francją.

Wyszło więc na jaw, że obydwaj Fulbeje pochodzili z rodu

102

Soria i do tego byli wnukami tęgiego rębacza i bojownika, owego Alfa Yayi.

— Nie ulega wątpliwości, że los i historia skrzywdziły Alfa Yayę i nie pozwoliły mu wybić się tak, jak na to zasłużył swymi zdolnościami — snułem dalej rozpoczęty wątek. — Ale wy, Fulbeje, macie przecież innego bohatera, z którego możecie być bardzo dumni. Karamoko Alfa prawie z niczego stworzył w XVIII wieku silne państwo w Futa Dżalon, natchnął je twórczą myślą na wiele pokoleń, dał mu szalony rozmach bojowy i pod koniec życia szczęśliwie zwariował, ażeby drugi ród, wy, Soria, doszedł razem z rodem Alfa do władzy. To' był mąż.

Od pewnego czasu obydwaj Fulbeje sprawiali wrażenie osłupiałych, oczarowanych. Rozgrzało ich, chwyciło, opętało. Pękły lody.

Komendant Jukunkunu tak serdecznie się ożywił, że — diabli nadali! — kubek w kubek, duszą i ciałem, jeno że czarnym ciałem, upodobnił się do

jakiegoś polskiego szlachcica z XVIII wieku: stał się równie zamaszysty, wylewny, bezgranicznie życzliwy, gościnnie. Oświadczył, że jesteśmy jego gośćmi i zaraz zamieszkamy w jego rezydencji. Od jutra zwiedzimy po kolei wszystkie cztery szczepy, zamieszkujące jego okręg. Zobaczymy wszystko, co u niego ciekawe, a także tańce urządzone na naszą cześć. Jeśli nie dałoby się naprawić naszego citroena, każe nas odwieźć służbowym autem do Labę, a w Labę dostaniemy inny wehikuł. Każe dla nas...

Sypały się hojnie zapowiedzi łask jak z rogu obfitości, a my, uradowani, przyjmowaliśmy wszystkie dobrodziejstwa z jednym tylko

zastrzeżeniem: że dzisiejszy wieczór i noc spędzimy jeszcze w hotelu w Sambailo, a dopiero od jutra skorzystamy z jego gościnności. Oczywiście zgodził się i kazał nas odwieźć.

66

W drodze powrotnej zachodzące słońce świeciło nam w oczy. Już wcale nie było zabójcze, afrykańskie, lecz kojące, czerwone, europejsko dyskretne. W jego przyjaznych promieniach tonął krajobraz afrykańskiej sawanny; tak samo błogo i my pogrążyliśmy się w przyjemnych myślach.

Chatynki

Następnego dnia rano już przed ósmą przyjechała do Sam-bailo po nas kamionetka z Kundary i ochoczo ruszyliśmy do Jukunkunu po zapłaceniu słonego rachunku hotelowego. Wyniósł mniej więcej czterdzieści dolarów za niespełna półtorej doby — zdrowo słono. W siedzibie okręgu nie zmieniły się nastroje: komendant Barry Mahmadu Ury powitał nas serdecznie.

Itiu, najbliższe osiedle szczepu Koniagi, leżało tuż za miastem, o jakiś kilometr od Jukunkunu. Zawiózł nas tam przystojny komendant Diallo swą limuzyną, a poza tym jechała z nami kamionetka z trzema czy czterema dryblasami. Czyżby nasza ochrona? Gdy wysypaliśmy się z auta pośrodku wioski, wyglądało to jak wcale przyzwoity najazd, z tym tylko, że bez widocznej broni. Diallo był wciąż w swej galowej koszuli

I czarnych spodniach i razem mieliśmy groźny wygląd licznej komisji lub inspekcji.

— Czy powiadomiono mieszkańców wsi o naszej wizycie? — spytałem Dialla.

— Chyba tak.

— Widać ich szaloną radość! — zauważyłem.

Jak okiem sięgnąć, nie było ani żywej duszy, ani śladu jakiegokolwiek Koniagi, pragnącego nas witać.

— Przyjdą! — zapewniał Diallo, ożywiony dobrą wiarą. Wieś rozciągała

się na przeszło kilometr w czystym polu

i chaty stały rozproszone daleko od siebie. Tylko w jednym miejscu, na skraju wsi, domki, ustawione jak pod sznur jedne tuż bok drugich, tworzyły rząd dziwaczny, bo niezmiernie długi i skrupulatnie równiusieńki. Wszystkie chaty były tam jednakowe, tak bliźniaczo podobne do siebie, że wyglądały trochę jak niedowarzone koszary albo szereg surrealistycznych żołnierzy. Jak się po chwili dowiedziałem, mieszkali w nich sami młodzi, którzy już przeszli wtajemniczenie, ale jeszcze byli kawalerami, więc przebywali w części osiedla, zwanej-tiareg. Wtajemniczeni poprzez zawile obrzędy junacy tworzyli rodzaj tajnego zakonu, decydującego o najważniejszych sprawach wsi i szczepu. Na-

104

czelnik bractwa, zwany r;emba, większe posiadał ponoć wpływy i władzę niż oficjalny wódz.

Itiu było wsią ascetów, żyjących w spartańskiej surowości. Zbudowane na piaszczystym polu, niewiele miało drzew i mało ogródków warzywnych, tak znamienych dla osiedli innych szczepów afrykańskich. Zwłaszcza dzielnica kawalerów stała na pustynnej ziemi, pozbawionej wszelkiej zieleni, prócz jednego drzewa-samotnika.

Wszędzie zalegały piaski, kurz i ludzkie odpadki, ziało żarem, pustką i posuchą. Było tu nieprzytulnie jak w obozie wojennym, a brak roślin i

67

jakiegokolwiek uprawy dziwił, tym bardziej że Koniagi uchodzili za

skrzętnych rolników, którym nie obce były nawet płodozmiany i nawożenie. Widocznie swe pola uprawiali w brussie, z dala od domu, a we wsi mieszkali jakby tylko jedną nogą i jakby rzeczywiście w obozie wojennym, gotowi lada chwila z niego się ulotnić.

Ale najosobliwsze wydały nam się same chaty. Egzotyka w egzotyce. Wszystkie chałupy, widziane dotychczas w afrykańskiej brussie, były lepiankami o glinianych ścianach i przysadzistym kształcie odwróconych niecek, słowem, były szerokie a niskie, jakby unżone. Natomiast chatki Koniagi jakże odmienne: owszem, okrągłe jak inne, ale wykonane z trzcinowej plecionki, przy tym bardzo wąskie i stosunkowo wysokie, pokryte daszkiem niby figlarnie czubatą czapeczką. Chaty te miały wygląd strzelisty i czupurny, a były tak lekkie, że jeden człowiek mógł je łatwo zwijać i sam przenosić gdzie bądź — w czasie wojaczki czy innych brewerii lub po prostu dla fantazji.

Dzielnica wtajemniczonych młodzieży, owa długa linia chat, budziła moją ciekawość; niestety, panowała w niej głucha, złowroga cisza. Jak gdyby wszystko wymarło i nikogo tu nie było. A przecież wiedziałem, że właśnie tu tkwił kościec szczepu, w tych chatach rodziła się istotna jego siła, tężał opór, o który rozbijały się wszystkie wysiłki wrogów. Związki młodych ludzi, konfraternie mniej lub bardziej tajne, powstawały u większości szczepów afrykańskich, ale nigdzie chyba nie nabrały tak doniosłego znaczenia jak u Koniagi.

istniała podobna dzielnica wtajemniczonych młodych, będąca szkołą i kuźnią charakteru. Wykuwała w młodzieży szlachetną dumę, poczucie własnej godności, a przede wszystkim waleczność najlepszych wojowników, jakich posiadała Afryka. Do czasów kolonii wojownicy Koniagi ustanawiali niepowszedni rekord: nigdy nie ponieśli klęski, sami natomiast bili wielokrotnie liczniejsze zastępy wroga, nigdy też nie zaznali jarzma niewoli.

Z należną czcią spoglądałem więc na chatynki, które wyróżniały się jeszcze jedną osobliwością: były nienormalnie maleńkie.

Najpokaźniejsze z nich nie miały więcej niż dwa metry średnicy, a przeważnie mniej. Koniagi byli słusznej postawy jak większość Afrykanów, zatem szczupłość chatup zmuszała ich chyba do spania w zgiętej pozycji. Widać, zaprawiony w wojnach szczep znosił chętnie niewygodę, byleby nie umniejszać swej ruchliwości i mieć przenośne, jak najlżejsze toboły.

— Podziwu godne! — odezwałem się z życzliwością w głosie. — Coś niebywałego!...

— Co takiego jest niebywałe? — komendant Diallo rzucił na mnie z ukosa pytające spojrzenie.

— *Chociażby to, jak oni śpią w tych lilipucich chatach! To sztuka nie
byle jaka!*

Diallo, jak to on, pogardliwie wydmął wargę:

— *Nie żadna sztuka! Mają psią naturę i leżą zwinięci jak psy...*

Nieodrodny Fulbej wyraźnie nie pałał do nich nadmierną miłością.

68

— *Ale te psy — odpaliłem mu nie bez złośliwości — umiały szarpać i
kąsać jak lwy, o czym Alfa Yaya, pański dziadek, mógłby nam coś
powiedzieć, gdyby żył...*

*Diallo połknął kąśliwy przytyk i zaciął usta; nie wypadało spierać się z
gościem.*

— *Kocha ich pan! — rzekł tylko z miną, wyrażającą politowanie, że są
gusta i guściska.*

Nie mylił się: miałem do nich słabość. I nie tylko dlatego,

106

*że byli niezwycięzonymi wojakami. Przykładem swoim uczyli czegoś
więcej: mądre, dalekowzroczne sposoby, jakie ci prości ludzie
wymyślili, by zdobyć taki hart i taką waleczność, były doprawdy
frapujące i zasługiwały na szacunek.*

*Ich zasadę wzmożenia swej obronności mógłby przejąć niejeden naród
europejski z korzyścią dla siebie.*

Szczep Koniagi

*Kroczyliśmy z wolna w pobliżu chat tiaregu, dzielnicy młodzieńców,
coraz dokuczliwiej prażeni żarem słońca i piasku, gdy nagle coś białego*

potężnie zamajaczyło w dali. Biała zjawa wydobyła się z którejś odległej chaty i szparko zmierzała ku nam. Tyle było już gadaniny i hecy dokoła osławionej nagości szczepu Koniagi, że zbaraniałem na widok figury, suto odzianej w zamaszyste bubu ze śnieżnobiałego płótna.

— A holipa! — wyrwało mi się po poznańsku. — Czy to Koniagi?

— Mais oui! — Ależ tak! — odrzekł jeden z towarzyszących nam dryblasów. — To szef wsi Itiu.

Zbliżający się szef już z daleka trzymał ręce przy nogach jakby na baczność, a gdy podszedł, szeleszcząc swym olśniewającym splendorem, okazał się nader chętnym i towarzyskim Koniagi. Wyraził gotowość oprowadzenia nas po całej wsi i pokazania wszystkiego, co ciekawe, ale zaraz rozbrajająco dodał, że pewnie niewiele rzeczy będzie nas tu ciekawiło.

Znał francuski język, a urząd sprawował od roku, był zatem nowym szefem, podczas gdy dawny, z czasów kolonii, poszedł w niechlubną odstawkę.

— Czemu we wsi tak pusto? — zapytałem go.

— Wszyscy... prawie wszyscy — poprawił się — są na polach, zbierają orzeszki...

Orzeszki ziemne były od pokoleń głównym produktem Koniagi.

107

Jednak we wsi tkwiło więcej mieszkańców, niż nam się z początku zdawało. Bo oto, gdy brodziliśmy po piasku wzdłuż tia-regu, wyszło z kilku jego chat czterech młodych ludzi, zebralo się i stojąc w kupie, nie

spuszczało z nas nadal krytycznego wzroku. Nie podobaliśmy się im, mierzył ich nasz widok — co aż nazbyt niedwuznacznie okazywali wyrazem swych twarzy.

Wszyscy czterej mieli normalne europejskie spodenki, poza tym trzech z nich — koszule, więc gdzież, na świętego Galluxa, te sławetne nagusy?

Dajmy na to, że ci tutaj dostali rozkaz niepokazywania się dziś nago, ale przecież tych czterech malkontentów posiadało jednak jakieś łaszki. Że z dala od miasteczek, w głębi brussy, Koniagi łazili w Adamowym stroju, jak ich matka urodziła, jedynie z przepaską dokoła bioder i z okruszyną

69

gri-gri, czy to takie dziwo w Afryce? Coś tu nie kleiło się z tą oficjalną nagonką na poczciwych nudystów.

W pewnym miejscu szef wsi pokazał nam, gdzie w roku 1902 wojownicy

Koniagi wycięli w pień oddział francuskich żołnierzy wraz z ich

dowódcą, porucznikiem Montcorge. Przypominanie francuskich

porażek stało dziś w Gwinei wysoko w cenie i świadczyło o

prawomyślności oraz patriotyzmie, ale gdy zapytałem szefa, czy zna

inne, dawniejsze wyczyny swego szczepu, on, ukradkiem łypnąwszy

okiem na komendanta Dialla, wolał ich nie pamiętać. Kiż kaduk? Można

było chwycić się za głowę, że nawet tu, do zabitej deskami brussy,

dotarła dokuczliwa kosmopolitka, zatracona sekutnica cenzura i oto

ludziskom napędzała stracha, krzywiąc i krzywdząc historię.

A historia rozgrywała się tu nadzwyczajna, zadziwiająca.

Zanim Fulbeje w Futa Dżalon porośli w siłę i, o władnięci światogromczą

pychą, postanowili ujarzmiąć pogańskie ludy w imię Proroka, szczep

Koniagi żył już dawno na obecnych pieleszach. Pędził żywot błogi i

ograniczony, czcił swe fetysze, dopełniał zawiłych obrzędów, a

uroczystości wtajemniczania młodzieży święcił w porach deszczowych.

Lud dziki nie znał żadnego rzemiosła, nawet włókien nie potrafił tkać,

chodził nago i był niechętny do uprawy ziemi, za to ogromnie roz-

108

kochany w myślistwie. Z dzidą i z łukiem idąc odważnie na słonia lub

bawołu, wyrabiał w sobie oko, spryt i wszelkie cnoty wojownika, ale

chyba najbardziej — opętańcze umiłowanie wolności.

Już od połowy XVIII wieku zaczęły przesiąkać z głębi gór Futa Dżalon

niepokojące wieści o narodzie Fulbejów. Uniesieni nagle rozbudzonym

religijnym fanatyzmem, Fulbeje głosili straszne dla sąsiadów hasło, że

„Bóg stworzył niewiernych i dał im trzody, żony i dzieci dlatego, ażeby

wszyscy stali się niewolnikami i własnością wiernych" — i ogniem, i

szablą wprowadzali je w czyn. Mając lepszą broń, owe wspaniałe

szable, konie i fanatyzm, odnosili zwycięstwa, a podbite szczepy

zamieniali w swych niewolników, zmuszonych z dala od ojczystych

stron uprawiać dla panów rolę. Fulbeje byli tylko hodowcami bydła i

gardzili grzebaniem w ziemi.

W pierwszej połowie XIX wieku opanowali już cały Futa Dżalon i

zwycięskie zagony zapuszczali coraz dalej w niziny, bezpośrednio

zagrożając szczepowi Koniagi. Zbliżała się dla Koniagi godzina zagłady,

jak dla tylu innych drobnych ludów przed nimi.

Koniagi ogółem nigdy nie było więcej niż dziesięć tysięcy, z czego tylko czwarta część zaliczała się do myśliwych w dojrzałym wieku. Z przykładu innych plemion Koniagi dobrz? wiedzieli, że nawet najzuchwalsza waleczność nie obroni ich przed druzgocącą przewagą wroga, który także był waleczny, a górował posiadaniem koni i doskonalszą bronią: niektórzy Fulbeje mieli już nawet broń palną. Koniagi znali strzelby. Wielu wędrownych handlarzy przywoziło je z nad morza i ofiarowywało im na sprzedaż. Ale dzielni myśliwi odrzucali je z pogardą, gdyż nie znosili huku, płoszącego wszystko w kniei, a sami tak dobrze podkradali się pod zwierza, że włócznia i łuk były ich najlepszą bronią.

Owszem, najlepszą na zwierzynę, lecz nie na wroga. Jak doszli do tej świadomości, pozornie tak prostej, a w ich warunkach bytu wręcz

70

rewelacyjnej — trudno dziś dociec. Czego inne szczepy przed nimi nie rozumiały, oni jasno sobie uprzy-

109

omnili: grozę położenia i konieczność skutecznej obrony, skutecznej, lecz nie heroicznie samobójczej. Potrzebowali pewnie-zej broni, strzelb.

Ale za co je kupić, skoro nie mieli wymiennych towarów, a kłów słoniowych nie wystarczało?

To, co nastąpiło wówczas w umysłach Koniagi, nazwać by można rewolucją, bezprzykładną w dziejach innych szczepów la podobnym poziomie — rewolucją i bohaterstwem. Koniagi

urodzonych myśliwych przekształcili się pod naciskiem twar-lej konieczności w rolników, rzecz trudna do pojęcia: w rolni-ów namiętnych, niezmordowanych i zdolnych. Handlarze wyrzeża domagali się wtedy orzeszków ziemnych. Koniagi rzucili ię na uprawę orzeszków ziemnych.

Niestety, zanim zdobyli strzelby za orzeszki, zaczęły się na-iady Fulbejów. Zrazu ratowały szczep zdolności myśliwskie skrzętna działalność wywiadowcza młodych wojowników tiaregów: Fulbeje uderzali w próżnię. Potem napastnicy/padali w przebiegłe zasadzki, z których rozlegał się grzmot ojedynczych strzałów. Z biegiem czasu było coraz więcej huku coraz więcej zwalających się z koni Fulbejów.

Zwycięskie wszędzie indziej szable tu zawodziły. Zraniona urna Fulbejów nie pozwalała im puszczać płazem porażek, ale statecznie musieli puszczać. Zgrzytali zębami, wyskakiwali ieledwie ze skóry: zdeptać, wytepić czupurnych dzikusów stało ię opętaną sprawą ich honoru — i nic. Niekiedy Fulbejom dawało się smagnąć przyjaciół sierdzistych Koniagi, szczepy iassari i Badiaranke, ale ich samych nie zdołali prawdziwie łapać w swe kleszcze ani razu.

Na czym polegała tajemnica tak bezprzykładnej odporności [oniagi? W stosunkowo krótkim czasie cały szczep, zachowując adal swe obyczaje i fetyszowe wierzenia, przeobraził się w jena zwartą organizację wojskową, zdumiewająco konsekwentną ik na prymitywny lud. Mniej więcej jedna czwarta wszystkich loniagi, to jest dojrzała młodzież i

mężczyźni w sile wieku, rzędzierzgnęła się w stałe, zawodowe wojsko, dochodzące do ły dwóch i pół tysiąca wojowników, nie pełniące żadnej innej racy prócz czuwania nad bezpieczeństwem szczepu. W większych tiar egach zbrojne oddziały wiodły życie koszarowe, a ich służba wywiadowcza była tak sprawna, że znała ruchy watah fulbejskich na długo przed ich wkroczeniem na łowiska szczepu.

Koniagi popadli wkrótce w mamę strzelbową, każdy wojownik chciał posiadać strzelbę i co najciekawsze, wszyscy w końcu posiadli. Był to ich olbrzymi majątek narodowy. Zaopatrzyli się chyba w dwa tysiące strzelb i tym samym stwarzali nieoczekiwany paradoks: prymitywny szczep miał wojsko lepiej, nowocześniej uzbrojone niż naród uspołecznionych

i

względnie

cywilizowanych,

lecz

uparcie

zapatrzonych w swe szable, Fulbejów. Nie było jeszcze przykładu, żeby gorsza broń odniosła łatwe zwycięstwo nad lepszą. Więc Koniagi, posiadając lepszą broń, skutecznie odpierali napaści wroga.

Posiadanie takiej masy broni palnej było zasługą reszty szczepu, owych siedmiu czy ośmiu tysięcy kobiet, starców i dzieci. Z pasją i z

71

niegasnącą pracowitością, znowu nie spotykaną wśród innych

szczepów, ci niewojacy zabrali się do wytężonej uprawy orzeszków ziemnych. Wiedzieli, że od nich zależy los szczepu, tak samo jak od wojowników. Była to praca gorączkowa, ale i rozumna, i wprawna, która wnet wydawała obfite żniwo. Napelniały się cennym produktem chateńki-spichrze, przybywali kupcy z wybrzeża i szła żywa zamiana orzeszków na strzelby. W ten sposób przemysłni Koniagi stworzyli nasamprzód niezgorszy potencjał materialny, umożliwiający im skuteczne zbrojenie.

I wygrali, obronili się. Nawet groźny, potężny Alfa Yaya im nie poradził. Z wypraw przeciw Koniagi wracał do Labę z pustymi rękami, bez zdobyczy, bez niewolników. Francuzi, którzy mu na razie we wszystkim pobłażali, dali mu wolną rękę — na nic, nie zgniótl wspaniałego szczepu.

A Koniagi, jak szczęśliwie opędzali się afrykańskim napastnikom, tak samo zamysłali ustrzec się od europejskich zaborców. Gdy około 1900 roku Francuzi usadzili się w Jukunkunie, Koniagi nie uznali ich panowania i odmówili im płacenia podatków oraz dostarczania bezpłatnych pracowników do robót publicznych. W oczach władców kolonii równało się to buntowi,

110

111

I

wystali więc oddział żołnierzy, by zuchwalców nauczył rozumu. Ale ci nie od parady mieli strzelby i w Itiu wybili cały oddział.

Wobec tego wyprawiono z Konakri poważniejszą ekspedycję karną, która w marcu 1904 roku dotarła do terenów Koniagi i swoje zrobiła.

Szczep walczył rozpaczliwie, z niepohamowanym męstwem, ale ponownie lepsza broń wzięła górę: artyleria i szybkostrzelne karabiny rozgromiły skałkówki. Po dwudniowej morderczej bitwie resztki zdziesiątkowanych wojowników poddały się z braku sił i amunicji.

Koniagi musieli wydać zwycięzcom wszelką broń palną i wtedy

Francuzi z osłupieniem naliczyli tysiąc osiemset strzelb, odebranych pokonanym.

Przykre było przebudzenie się szczepu w rzeczywistości kolonialnej.

Niezlomni

Błędnie nazwałem to przebudzeniem szczepu w rzeczywistości kolonialnej: właściwie mówiąc było to raczej zaśnięciem szczepu. Broń palna znaczyła przecież dla Koniagi tak wiele, stanowiła ich dumę szczepową i jedyną rękojmię niezależności, więc gdy im Francuzi broń odebrali, tym samym pozbawili ich twórczych bodźców i radości życia.

Szczep zwycięskich dotychczas wojowników i myśliwych musiał podupaść. Można powiedzieć, że poszedł w podziemie i to zaszyte się w sobie uchroniło go zapewne od ostatecznego upadku. Podziemciem stały się mniej lub bardziej tajne związki młodzieży, kierowane przez

starszych wojowników oraz kapłanów fetyszystów i one to, skupiając się w tiaregach, dawały i dają szczepowi moc przetrwania.

Przede wszystkim jednak moc opędzania się obcym wpływom. Podczas naszej uciążliwej wędrówki po piaskach wsi Itiu widzieliśmy w dali miasteczko Jukunkun, gdzie rządził dziś komendant Fulbej, a nieco z boku jaśniało w brussie kilka białych zabudowań niby odosobniony

72

folwarczek. Tu od dawna osiedli katoliccy misjonarze, biali ojcowie, by nawracać

pogańskich

Koniagi,

ale

niewielkim

cieszyli

się

powodzeniem, po-

.112

t

dobnie jak dawniej daremnie wysilali się muzułmańscy Fulbe-je, by za pomocą szabli krzewić tu swą wiarę.

Ludność Koniagi nie pomnaża się od dziesiątków lat. To wielce

intrygowało francuskich administratorów z czasów kolonii i otwierało

pole przeróżnym domysłom. Przede wszystkim składano winę na

rzekomą skłonność młodych dziewcząt do spędzania płodu. Czyniły to,

ażby mogły pozostać jak najdłużej w stanie panieńskim, panował bowiem taki obyczaj, że dziewczyna wydająca na świat zdrowe dziecko krótko potem wychodziła za mąż. Może więc w tym, że szczep się nie rozmnażał była jakaś wina płochych młódek, ale to chyba nie wszystko.

Przetrzebienie kwiatu młodzieży i w ogóle mężczyzn w wojnie francuskiej, a później upadek ducha całego szczepu, także niechybnie siał spustoszenie, ale zapewne jeszcze gorzej działał brak higieny.

Nigdzie dookoła Itiu, jak okiem sięgnąć, nie było kropli wody. Jakaś rzeczulka gdzieś ponoć płynęła, ale bardzo daleko od ludzi. We wsi natomiast dawała się we znaki ogromna plaga much. Po prostu koszarne mrowie, niewiarogodna ćma much, przy tym straszliwie natarczywych. Stale obsiadało nas kilkanaście lub kilkadziesiąt czarnych utrapieńców i nie sposób było się uchronić: odpędzane, natychmiast wracały ze zdwojoną zajadłością, jak gdyby siadanie na ludzkim ciele było im potrzebne do życia. Może chciały składać na nas jajka? Licho je wie, ale to pewne, że taka obfitość chorobotwórczych paskudztw musiała szerzyć niezgorsze choroby wśród koniagijskiej dzieciarni.

Gorzkie zadumanie: przed kilkadziesiątu laty wielkie i kulturalne mocarstwo europejskie podbiło niezawistych dotychczas Koniagi, lecz zabierając szczepowi wolność, co mu w zamian dało? Czego go nauczyło? Jak uchroniło go od chorób i wymierania? Niechlubny bilans pięćdziesięciu czterech lat panowania.

A Koniagi przez te lata nie byli bynajmniej zakałą ani ludzkim odłogiem

*i oddawali kolonii pewne przysługi. Pozostając nadal pracowitymi
rolnikami, uprawiali więcej orzesz-*

ków ziemnych, niż potrzebowali dla siebie. Wobec tego na kolonialny rynek mogli dostarczać nadmiar swych zbiorów, otrzymując za to...

paciorki, lecz, niestety, żadnych lekarstw ani uczciwej porady.

Gdy z Itiu jechaliśmy samochodami kilka kilometrów dalej do Ikununu,

innej wsi Koniagi, uświadomiłem sobie po drodze, jak głęboko

przypadły mi do serca dzielne dzikusy. Jacyż to byli wspaniali,

wzruszający chwaci, jaki mieli charakter! Mężna obrona wolności i

sposób, w jaki zdobywali broń palną, budziły szczery podziw i

świadczyły, że byle kim nie byli i mieli głowę na karku. A jednak

wszystko się przeciw nim sprzysięgło od czasów fulbejskich zagonów aż

po dzień dzisiejszy: nawet ci bliscy misjonarze, na pewno na swój

sposób życzliwi, nie umieli czy nie chcieli należycie im pomóc, chociażby

usunięciem zabójczej plagi much.

Ikunun wydał mi się weselszą wsią niż Itiu. Widać tam było jakieś życie.

W polu kobiety, siedzące na ziemi, oczyszczały z włókien dojrzałe

orzeszki. Młoda niewiasta, którą sfotografowałem, była wyjątkowym

okazem zdrowia i tutejszej urody. Jakiejś rezolutnej babince wcisnąłem

dyskretnie do łapska kilka franków, za co podziękowała, składając

pokłon i przyklękając na jedno kolano z takim wdziękiem, że zachwyciła

*tym Mieczysława Eibla. Jego zdaniem tak wytwornego rewe-ransu nie
powstydzilaby się frejlina na dworze królowej Wiktorii.*

*W Ikununie ludzie zachowywali się z wielką godnością, bez lęku patrzeli
w oczy, chętnie odpowiadali na pytania. Tu nie wygasło poczucie
zdrowej dumy. Niektórzy, zwłaszcza młodzieniaszkowie, okazywali
ucieszną zuchowatość miną i postawą, jak gdyby chcieli wytknąć
towarzyszącym nam Fulbejom, że ich się nie boją. Było to wzruszające:
gdy rozmawialiśmy ze starszymi, stanął w pobliżu dwunastoletni urwis
z gęstą miną i z rękoma złożonymi na krzyż. Dokoła bioder miał
łachman z przodu odkryty, skąd — zanikającym obecnie wśród
dorosłych mężczyzn Koniagi zwyczajem — sterczała ku dołowi biała
trzciniowa pochwa z narządem rozrodczym wewnątrz:*

I

*tak dawniej, w okresie orężnej chwały, pysznie paradowali wojownicy
szczepu.*

W

innym

miejscu

zagadnęliśmy

starszego

młodzieńca.

Był

chrześcijaninem, o czym świadczył mosiężny krzyżyk na piersiach.

Strojnis ten nosił krótkie, europejskie spodenki, a na głowie beret

francuski, zapewne podarki ojców misjonarzy. Ale chcąc pokazać, że

liźnięcie obcej wiary nie umniejszyło dawnych cnót szczepowych, junak

opierał się prawą ręką aż na trzech łukach, w lewej zaś trzymał strzałę i

wskazywał nią w dal, coś raźnie wyjaśniając moim Fulbejom. Uroczy

posąg o pociągającej prostocie.

Trafiliśmy na moment, gdy właśnie z brussy wracało trzech Koniagi:

ojciec i dwóch synów wyrostków. Ojciec scherlały, wychudzony, cały

odziany w łachy, z drągiem w ręku do podpierania się; chłopcy

natomiast, jakieś zuchy pierwszej wody, byli nago z wyjątkiem

pokrytych szmatą bioder. Dbali o wygląd zewnętrzny, pysznili się,

obwieszeni hojnie ozdobami gri-gri i kolczykami. Łuki w dłoniach i

pełne strzał sajdaki przysparzały im marsowego wyglądu. No, i

oczywiście mieli przyrodzenie wywalone demonstracyjnie na wierzch, z

tym tylko, że starszy, około piętnastoletni, wsadził swą ozdobę do

trzciniowego futerału na wyrost.

Gdyśmy kiwnęli do nich przyjaźnie, oni posłusznie stanęli bez słowa i tylko wyprężyli się jeszcze bardziej niż dotychczas. Z uprzejmą pobłażliwością, godną dojrzałych wojowników, znosili moje krzątanie się dokoła zdjęć i cierpliwie pozwalali się fotografować. Wiedzieli, co to aparat fotograficzny, i że ich wizerunki pójdą w świat, mieli więc rozkosznie naczupurzone gęby, z których lała się po prostu chłopięca duma, zwłaszcza u młodszego smyka. Wszystko można było wyczytać z ich twarzy: że wciąż krzepią w sobie ducha i są pełni wigoru, że ich ojcowie chwalebnie walczyli z Francuzami, a ich dziadkowie nie dali się

74

Fulbejom. W naiwnym wyrazie tej tężyzny było coś roztkliwiającego i brało za serce.

Podczas mego pobytu w Konakri, przed wyjazdem do Ju-kunkunu, obijały mi się o uszy uporczywe wieści, przecie-

115

kające rzekomo z kół rządowych, głoszące, jakoby tam noszono się z zamiarem zupełnego zlikwidowania szczepu Koniagi: chciano go rozparcelować, rozproszkować między inne szczepy i narody, podobno jako karny zabieg za upór, z jakim Koniagi trzymali się nagości.

Obwiniano ich, że odrzucali z pasją wszelkie próby odziania ich — co w Konakri uważano za wstyd i hańbę nie do zniesienia w nowoczesnym państwie.

Otóż w Itiu i Ikununie łatwo było stwierdzić oczywisty bezsens

zarzutów: fotografowałem wszystkich napotkanych Koniagi i wszyscy mieli jakieś szmaty na sobie, powszechne w afrykańskiej brussie opaski na biodrach lub spodenki, a nieraz także koszule. Chodzenie zarówno mężczyzn, jak i kobiet z obnażonymi torsami było rzeczą przyjętą nawet na przedmieściach Konakri czy Akry, zwłaszcza przy wodociągach ulicznych, a cóż dopiero tu. Nie widziałem ani jednego Koniagi w dojrzałym wieku z trzciniową plecionką, ukrywającą części płciowe — ten szczątkowy obyczaj zachował się jeszcze tylko wśród smarkaterii.

Mit nagości Koniagi okazał się wierutną bzdurą.

Może bzdurą podsycaną świadomie przez zagorzałych fanatyków dla innych, ukrytych celów? Może jakichś żarliwych biurokratów drażniło, że Koniagi nie szli dość szybko z postępem i na przykład nie zakładali komórek partyjnych u siebie? W okresie ząbkowania młodziutkiego państwa mogła się zdarzyć niejedna krótkowzroczna a tragiczna w skutkach pomyłka, ale nie wyobrażam sobie, żeby rząd Sęku Turego nie znał wspaniałych wyników wychowawczych, osiągniętych przez Związek Radziecki wśród plemion wschodniosyberyjskich. Przecież owe plemiona stały częstokroć na niższym poziomie niż Koniagi, a jednak jak się rozwinęły. Północny Wietnam poszedł za przykładem Związku Radzieckiego i równie piękne zbierał owoce, na przykład wśród pierwotnego szczepu Sa, do którego ongiś dotarłem.

Ale niezależnie od tego nowo powstała republika Gwinei winna była wojownikom Koniagi szczególny dług wdzięcz-

ności za położone przez nich zasługi: inne narody i szczepy gwinejskie dość miękko poddawały się kolonialnemu zaborcy, Koniagi natomiast w obronie wolności stawili mu zacięty opór. Chyba więcej niż Samori, okrutny watażka i twórca krótko istniejącego państwa, stali się Koniagi godni tego, by dzisiejszym Gwinejczykom służyć za wzór patriotyzmu.

Więc nie wierzę plotkom, tak szkodliwym dla młodej republiki gwinejskiej.

Wieś-warownia

Byłoby naiwnością mniemać, że tacy Koniagi przyjęliby nas, Eibla i mnie, z wylewnym sercem, gdybyśmy sami do nich zajechali, ale nie ulegało wątpliwości, że nasza asysta Ful-bejów działała na nich jak mroźna fala i całkiem odstraszała. O swobodnej wymianie zdań nie było mowy; brak własnego auta i tym samym zależność od lokalnych władz niweczyła po prostu wszystkie nasze dobre plany co do Koniagi.

75

Z drugiej strony komenda w Jukunkunie niezbyt przychylnym okiem — jak mi się wydawało — śledziła nasze umizgi do buńczucznych szczepu.

Wolała, żebyśmy interesowali się czymś innym; w czasie obiadu, spożytego w miłym nastroju w rezydencji okręgu, komendant Barry Mahmadu przedstawił nam popołudniowy program: Konde Alseny, sympatyczny starosta Kundary, miał nas zawieźć do okazalej wsi Kamabi, która weszła na drogę postępu.

— To zatem jakaś przodownicza praca? — westchnąłem z błyskiem w źrenicach i mimo woli podniosły mi się brwi, co usiłowałem ukryć

przed gospodarzem.

— Tak jest! — potwierdził Barry Mahmadu. — Przodująca wieś pracy i partii! To panów nie interesuje?

— Pourquoi pas? Dlaczego nie? Interesuje bardzo! —

zamanifestowałem i była to szczerą odpowiedź: wzorowa wieś na tych głuchych kresach miała posmak arcyegzotyczny i była ciekawym zjawiskiem.

117

— Czy to wieś szczepu Koniagi? — zapytałem niedowierzająco.

— Skądże! Są tam Fulbeje, Sarakole, Susu, Fulakunda,

Toucouleurs, Mandingo — Kamabi to wielka wieś.

Susu z Fulbejami dawniej żyli jak pies z kotem, a Fulakunda i

Toucouleurs żarli się nie mniej.

— I wszyscy zgodnie znoszą się wzajemnie? — dowiadywałem się.

— Jak bracia od jednej matki! — zapewnił komendant.

— Fenomenalne! — stwierdziłem i słowo to owego dnia nie jeden jeszcze raz przychodziło mi na myśl.

Mieliśmy wyruszyć kamionetką w godzinę po obiedzie, a w tym czasie

staraliśmy się w naszej kwaterze nieco odpocząć, zmachani

przedpołudniową bieganiną po wsiach Koniagi. Jakaś stara gazeta

poniewierała się na narożniku stołu, więc Eibel dopadł do niej i

szacownym nawykiem zaczął oczami przebiegać po stronicach. Naraz

wydał okrzyk zdziwienia i wskazał na notatkę, w której gazeta, wydana

w Dakarze — Afrique Nouvelle z jesieni 1958 roku — podawała o

zamierzeniach w okręgu Jukunkun. Okręg ten w głosowaniu

wypowiedział się za wspólnotą z Francją, a więc przeciw polityce rządu w Konakri.

Czy gazeta znalazła się przypadkiem w naszej kwaterze?

— Wulkanik afrykański! — uśmiechnąłem się. — Przy tylu narodowych przeciwieństwach, przy szczepowej nienawiści i zrozumiałym jątrzeniu przegrywających potęg europejskich dziwne byłoby, gdyby kontynent zamienił się nagle, łupu cupu, w sielankę, w monolit jednomyślności.

— Ciekaw jestem tej wsi Kamabi! — odrzekł na to Eibel.

Miał rację ze swą ciekawością: po naszym porannym bałamuceniu się narowistymi Koniagi umyślono oczyścić nas eks-piacyjnie i wprowadzić po południu w budującą atmosferę państwowotwórczych spraw.

Niestety, zaczęło się marudzeniem. Pógno ruszyliśmy w drogę. Konde Alseny sam prowadził kamionetkę, poza tym towarzyszył nam nauczyciel z Jukunkunu, Diabola Mustafa,

118

76

narodowości Susu, i jeszcze dwóch czy trzech innych, słowem, znowu liczny orszak, ale tym razem bez Fulbejów. W Kunda-rze po drodze jeszcze nieźle się guzdraliśmy, a gdy potem auto wreszcie rozpędziło się na kiepskim gościńcu, wiodącym gdzieś na zachód ku granicom Gwinei Portugalskiej, wyszło na jaw, że do Kamabi jest kawał drogi: jakieś

czterdzieści kilometrów z okładem od Jukunkunu. Słońce zniżyło się i fatalnie ubywało światła dla fotografii.

Tymczasem po drodze należało jeszcze zatrzymać się przed jakąś wioską.

— To chyba nie Kamabi? — odezwałem się.

— Nie, panie! — odrzekł Konde.

Była to także wieś zorganizowana. Na polu obok drogi stała w szeregach kompania junaków i czekała na nas. Gdy Konde Alseny do niej wyszedł, młody dowódca oddziału zameldował mu się z całym wojskowym ceremoniałem. Była to jednostka Związku Młodzieży Gwinejskiej: pierwszy w Afryce Zachodniej załączek narodowej armii. Oczywiście zdjęcia — światło okazało się jeszcze wystarczające — i jazda dalej.

Gdy nareszcie dotarliśmy do Kamabi, ludnej i szalenie rozległej wsi, powitał nas uprzedzony zawczasu sołtys Alhamudu i zaraz kazał dwóm dryblasom bić w bęben, wiszący na podwórzu jego obejścia. Bęben potężnym dudnieniem podrywał wszystkie dusze wsi i wszystkie aktywy społeczne, podczas gdy ja w zanikającym świetle starałem się sfotografować solidny przyrząd, wydający tak władczy grzmot.

— Ten rodzaj bębna — wyjaśnił mi Konde Alseny — to znienawidzony instrument, skazany u nas na rychłą zagładę...

— Dlaczego? — zdziwiłem się.

— Przypomina zbyt dawne, złe czasy: głos jego obwieszczał ongiś drakońskie rozporządzenia kolonialnych władz, dręcząc ludzi.

— *A dziś znowu dręczy ludzi, obwieszczając przybycie dwóch*

niepotrzebnych gości — zmartwiłem się.

Konde, mający poczucie humoru, roześmiał się, ale mnie korciła

sprawa bębnów. Stanowiły one przecież pierwszo-

119

rzędny czynnik afrykańskiej kultury, za ich pomocą bowiem prawie

wszystkie

tutejsze

ludy

wyrobiły

sobie

przemysłny

system

telegraficzny, zdolny przekazywać dokładne wiadomości na ogromnych

przestrzeniach z podziwu godną szybkością. W tej dziedzinie Afrykanie

wykazali imponującą inteligencją i zaradność. Co za sens zniszczyć to

teraz, kiedy nie rozbudowano jeszcze elektrycznych środków

informacji?

— *A jeśli zniesiecie bębny — zapytałem — to jak będziecie przesyłali*

sobie wiadomości?

— *Nie wiem: chyba przez posłańców...*

— *Ach, rozumiem, postęp! — podchwyciłem wesoło. — Jeden krok*

naprzód, dwieście kroków wstecz!

Jeszcze były bębny, jeszcze ludzie się schodzili, jeszcze nie wszystkim

uścisnęliśmy dłonie, a już kazano nam ruszyć na wieś. Ludną wieś, tysiąc siedmiuset mieszkańców liczącą i rozciągłą, że niech ją kule biją. Nie bacząc, że do południa ganialiśmy na słońcu po wsiach Koniagi,

77

teraz rączo prowadzono nas po pieszko piaszczystej drodze przeszło kilometr, żeby pokazać nam dumę Kamabi, spichlerz na orzeszki ziemne, oraz nieco dalej drugi spichlerz na kukurydzę, a potem meczet o kształcie okrągłej chaty murzyńskiej, tylko kilkadziesiąt razy większy. Gdyśmy do syta nacmokali i powychwalali, goniono nas z powrotem do obejścia sołtysa. Po drodze chciano przedstawić nam kuźnię, ale minęliśmy ją nie spostrzeżoną. Kroczyliśmy na czele niezmierzonej lawiny ludzkiej.

— Co tu poza tym najciekawszego? — zapytałem Kondego

1 dwudziestu najbliższych notablów towarzyszących nam w orszaku. —

Co najbardziej charakterystycznego?

— Życie polityczne! — odrzekł Konde bez namysłu. — Działalność partii.

W istocie do partii (tj. do Demokratycznej Partii Gwinei) należeli niemal wszyscy dorośli mieszkańcy Kamabi, zarówno mężczyźni, jak i kobiety.

Ponieważ wieś była tak rozległa, a zebrania odbywały się często, trzeba

było utworzyć dwa oddzielne komitety dzielnicowe dla usprawnienia pracy społecznej. Jakkolwiek istniał urząd sołtysa i wiejska rada star-

120

szczyzny, partia nadawała ton całemu życiu wsi; ona decydowała tu o wszystkim, bez jej zgody nic ważniejszego dziać się nie mogło.

— *Czy w innych wsiach jest tak samo? — dowiadywałem się.*

— *Podobnie, lecz tu, w Kamabi, mamy bardziej sprężystą organizację, lepszą dyscyplinę i, co tu wiele mówić, wartościowszy materiał ludzki, ściągnięty z różnych stron kraju...*

— *Dlaczego akurat tu ściągnięty?*

— *Granica! — odpowiedział Konde krótko.*

W dalszej rozmowie dowiedziałem się, że podobnych wsi jak Kamabi istnieje więcej w tych stronach, nad granicą między Gwineą a Federacją Mali, stanowiącą część składową Wspólnoty Francuskiej: jak dawniej nad granicami państwa wznoszono obronne warownie i obsadzano je przednim żołnierzem, zaprawionym w kunszcie wojennym, tak tutaj dawny oręż żelazny zastąpiono bronią najbardziej nowoczesną — orężem politycznym. Wyrobienie ideowe i dyscyplina partyjna miała przeciwstawiać się wrogim nurtom, zagrażającym republice gwinejskiej od sąsiada.

Gdy to sobie uświadomiłem, zniknęło moje zmęczenie, jakby ręką odjął, i już raźniej szedłem ku wszystkiemu, co Kamabi miało dla nas w zanadrzu.

Dyscyplina

Spiesząc ku obejściu sołtysa, nagle odwróciłem się i oniemiałem, nie wiadomo: z przejęcia, dumy, podziwu czy z rozbawienia. Tłum, postępujący za nami, spotężniał do wieluset osób, przeważnie mężczyzn i chłopców, ale także i niewiast, i wyglądał fantastycznie okazale jak pochód zwycięskiego wojska. Maestro Ford uniknąłby tym razem dłuższymi i lepiej nie wyreżyserował widowiska, tym efektowniejszego, że ludzie naprawdę byli rozochoceni uciechą i podekscytowani. Cała ta fala toczyła się za nami szeroką ławą; śmiało maszerowa-

121

iliśmy na jej czele i jakże wtedy żałowałem, że nieba poskąpiły mi daru zarozumiałości: co za rozkosz byłaby w takiej chwili widzieć siebie w

78

kuszącej roli Jagielły, Batorego, Hanni->ala ante portas czy kierownika — o szczytce upojenia! — drużyny olimpijskiej na defiladzie.

Doszedłszy do chat sołtysa, pozostaliśmy na dworze, a luźnie z pochodni ustawili się po obu stronach drogi. Wkrótce usłyszeliśmy gromki, szybko zbliżający się śpiew. Maszerował u nas oddział kilkudziesięciu

młodych, a każdy młodzian . każda dziewczyna paradowali z makietą karabinu na ramię, wystruganą z drzewa. Przyszli wojacy i wojaczki wykonali przed nami szereg ćwiczeń z bronią na komendę dowódcy wydaną w języku francuskim, co mnie trochę gorszyło — po czym oddział znów zaśpiewał z ogromną werwą.

— Co oni śpiewają? — spytałem Kondego.

— Ach — uśmiechnął się — bardzo aktualną piosenkę. ?o brzmi tak:

Jak piękna jest Gwinea. Byliśmy niewolnikami Pod jarzmem de Gaulle'a Teraz jesteśmy wolni, a Gwinea się rozwija. Długo jęczeliśmy w niewoli; teraz na pohybel de Gaulle'a kąpiemy się w wolności dzięki naszej zwycięskiej Partii.

Zadziwiające, jak podobne przyczyny wywoływały te same niemal oddźwięki niezależne od długości geograficznej: przed rzema laty słyszałem w wyzwolonym Wietnamie Północnym, w górach Sipsong Czothai, prawie dosłownie te same słowa liosenki, śpiewane przez Tajów — z tym tylko, że wtedy nie było jeszcze mowy o de Gaulle'u.

Można pokiwać głową nad kapryśnym losem wielkich tego wiata: oto dostało się de Gaulle'owi! Diabli wiedzą czy r^e |drobinę za wiele. Jaki by on tam nie był dla Gwinejczyków,

122

z Gwinei, jak już wspomniałem, ustąpił bez strzału i potem nawet niewiele bruździł. Może nie zdążył bruździć dlatego tylko, że zaraz znaleźli się ludzie, którzy energicznie, a między innymi i taką piosenką, umieli odciąć się od niego? Ale to już inna sprawa, dość, że de Gaulle stał się kozłem ofiarnym, a Gwinejczycy mogli sobie zdrowo ulżyć, wylewając żółć na niego.

Po chwili predefilował przed nami nowy oddział dziewczyn, tak samo zbrojnych w drewniane karabiny i patriotyczny śpiew. Fertyczne dziewczoje, wszystkie w jednakowych koszulkach na kształt mundurków, maszerowały okrutnie przejęte swym posłannictwem i rzucały ku nam spojrzenia, niby groźne i marsowe, a w istocie przelewające się w

zalatny uśmieszek. Było to nad wyraz ucieszne i miłe.

Gdy amazonki stanęły opodal, Konde Alseny zabrał głos i przedstawił nas jako gości z zaprzyjaźnionej Polski, a po słabawych, rzadkich oklaskach,

wyrażających

radość

obecnych,

Diabola

Mustafa,

nauczyciel z Jukunkunu, wygłosił rutynowane, potężne przemówienie

po fulbejsku. Słowa jego, przetykane francuskimi wyrazami, jak

gouvernement, parti, patriotisme, liberte, miały krzepić serca, uczyć

prawomyślności, zapowiadać radosną twórczość; jeśli się nie myliłem,

mówca twierdził, że jest byczo, a będzie jeszcze lepiej. Z ust Diaboli

płynął wartki potok zapалу, który dziwnie przejmował słuchaczy. W

końcu wszyscy zwiesili głowy i wzrok pełen zawziętej powagi wlepili w

ziemię.

— Jakoś nie kochają urzędówek — szepnął Eibel do mnie.

— Czyżby zupełnie jak u nas? — zmartwiłem się.

79

Gdy Diabola Mustafa przestał mówić, sołtys Alhamudu zaprosił nas do

siebie. Na podwórzu pod drzewem mangowym siedliśmy dokoła

wielkiego stołu, na którym światło lampy stajennej usiłowało z

mozołem przeniknąć najbliższe ciemności. Nastąpiła część artystyczna.

Najpierw śpiewak i bębniista w jednej osobie witał się z nami wszystkimi

podaniem dłoni, po czym z tym samym powitaniem przedefilowało

kilkanaście młodych tancerek — i zaczęły się śpiewy i tańce. Bębniista

solo

123

rzucał pierwsze słowa piosenki, a dziewczyny podchwytywały je

chórem i równocześnie wykonywały rękami i nogami miarowe ruchy

do taktu bębna.

W ich śpiewie często można było usłyszeć znajome wyrazy, jak Sęku

Turę, parti i gouyernement, a gdy zapytałem Konde-go, potwierdził

moje domysły: śpiewano hymn na cześć głowy państwa, przysięgano

mu wdzięczność, miłość, obronę wolności do ostatniej kropli krwi, i tak

dalej. Szczerze podziwiałem zapiętą na ostatni guzik taktykę i żelazny

porządek: każda sposobność służyła najwyższemu celowi i nie

dopuszczano

absolutnie

do

przestojów

ani

brakoróbstwa

ideologicznego.

Z wielkim zaciekawieniem śledziłem taniec dziewczyn i niezwykle

powściągliwość ich ruchów. Nie dostrzegłem w nim ani śladu

okrzyczanej frenezji czy sprośnej lubieżności murzyńskich tańców, o

której tyle się czytało i które widziało się czasem w filmach fabularnych.

Tu nic podobnego: dziewczęta, schludnie odziane, stąpały niewielkimi, skromnymi kro--karni naprzód i wstecz według rytmu bębna, a ręko--ma, zgiętymi w łokciach, wykonywały ruchy równie drobne, łagodne i opanowane. To było wszystko: przyzwoitość i prostota.

Powściągliwy taniec, wyzuty z wszelkiej zmysłowości, mógł wydawać się sztucznym wynikiem surowości obyczajowej, narzuconej tańczącym przez czynniki rządowe — tak dalece odbiegał od utartych o Afryce pojęć. Tymczasem okazało się, że właśnie ten taniec był bardzo afrykański, w wielu krajach rozpowszechniony i nie miał nic wspólnego z nakazami jakichkolwiek władz; był przyjęty przez większość ludów Afryki Zachodniej jako taniec — że tak powiem — reprezentacyjny, towarzyski, a w dawnych czasach nawet dworski. Parę miesięcy później z przyjemnością zetknąłem się z nim, niby z dobrym znajomym, w Akrze, stolicy Ghany, w hotelu „Seaview”, gdzie pod nazwą „high life'u” Afrykanki i Afrykanie tańczyli go na dansingu. Był tam podobnie skromny jak w odległej wsi Kamabi, dopóki w późniejszych godzinach wypite whisky i dżyny nie rozkieżały wesołej poufalości, mniej więcej jak na wszystkich dansingach świata.

124

Jakiś udany filut, dziennikarz z Polski, ubił sobie sensację, zobaczywszy ów „high life”, i swych łatwowiernych czytelników nad Wisłą szczodrze obkarmił rozbrykaną kaczką, pisząc o demonicznym działaniu tańca na zmysły, o rękach błędzących z całym bezwstydem po biodrach i

piersiach tancerek, o zamglonych oczach i ekstazie tańczących —

słowem rozwierz-gał się na jurnym rumaku przesady i splodził jakiś

wyuzdany sabat a l'africain w samym sercu Akry.

80

Zresztą taniec ten niejednego już podróżnika wyprowadzał w pole.

Nawet zrównoważony zazwyczaj komendant angielskiego okrętu, F. E.

Forbes, dał się ponieść ognistej fantazji. Widząc w. połowie XIX wieku

na dworze szkaradnego króla Dahomeju taniec amazonek — jak wynika

z opisu, taniec zupełnie taki sam, jaki widziałem w Bogu ducha winnej

wsi Kamabi — Forbes z dreszczykiem grozy w miarowym ruchu rąk

tancerek dopatrywał się symbolu, uzmysławiającego ucinanie głowy

wroga przez wojownicze amazonki. Tancerki w Kamabi, hoże

dziewuszki, wykonywały te same ruchy rąk, ale dalekie były od tak

krwiożerczych instynktów.

Po uporaniu się z ucztą duchową sołtys Alhamudu zaprosił nas do chaty

na biesiadę cielesną. Na plecionej macie siedliś-my półleżąc i łyżkami

wyciągaliśmy ze wspólnego garnca gorący ryż, maczany następnie w

bardzo ostrym sosie i pochłaniany z rześkim apetytem. Zapiwszy go

wcale niezłą kawą, czarną oczywiście i okrutnie słodką, i

podziękowawszy dzielnym ludziom za wszystko, czym nas uraczyli,

udaliśmy się w drogę powrotną do Jukunkunu.

— Kiedy chciałby pan ulotnić się z tej okolicy? — zagadnąłem Eibla.

— Choćby jutro rano! — westchnął.

— Z ust mi pan to wyjął! — roześmiałem się.

Z pobytu w Jukunkunie i okolicy byłem jednak wielce zadowolony. W krótkim czasie doznaliśmy tu ciekawych przeżyć i doświadczeń, ale brak własnego auta skazywał nas na łaskę i niełaskę tutejszych władz. Wobec tak ograniczonej swobody ruchu lepiej było wracać zaraz do Konakri i uderzyć

125

w inną stronę Gwinei. Gdy podczas kolacji przedstawiliśmy komendantowi Barry Mahmadu Ury nasz zamiar powrotu, nie ukrywał wcale, że mu to ogromnie na rękę i ucieszony przyrzekł wszelką pomoc. I pomógł. Następnego dnia zajechała po nas kamionetka, a starosta Konde Alseny odwiózł nas do Labé, gdzie dostaliśmy inny samochód. Na trzeci dzień wieczorem byłem już w hotelu „Paradis” w Konakri, z przyjemnością wspominając wypad do okręgu Jukunkun.

Autorail

Żeby w podróży doznać pięknych rzeczy, trzeba mieć łut szczęścia; okazało się, że w następnych dniach wyjątkowo przychylni bogowie nie pożalowali mi rzeczonoego łuta. Czyż nie był to szczególny uśmiech losu, gdy całkiem niespodziewanie ludzka przyjaźń wyciągnęła do mnie obcą, ale jakże serdeczną dłoń, a równocześnie nieprzebrana puszcza pozwoliła mi zajrzeć w fascynujące tajniki życia zwierzęcego? I czegoż więcej pragnąć na takim wyraju?

Zaczęło się, prawdę powiedziawszy, prozaicznie i nietęgo, pod koniec którejś styczniowej nocy, na dworcu kolejowym w Konakri. Tym razem wyruszyłem sam w podróż na wschód, do miasta Kankan, poza góry

Futa Działon. Na dworcu było ciemnawo, chłodnawo, nieprzytulnie, za to rojnie od zniecierpliwionego ludu z niemożliwymi tobołami. Gdy tzw. autorail — jednowagonowy pociąg z drugą klasą na przedzie, a pierwszą z tyłu — wjechał na peron, cała zapalczywa chmara runęła z furią na obydwa wejścia, rozpychając się dzielnie i wściekle, co jak żywo przypominało mi Warszawę i solidnie rozczuliło.

81

Poza mną jechało tylko trzech Europejczyków, Niemców zachodnich, ale oni, szczęśliwsi, mieli ogiekuna z jakiegoś ministerstwa, który świetnie ich obronił od zalewu swych rodaków i posadził na wygodnych fotelikach. Ja miałem także

126

bilet pierwszej klasy, ale bez obrońcy, więc gdy wreszcie przebiłem się do wnętrza wagonu, wszystkie miejsca były szczelnie zajęte, a konduktor nieobecny. Konduktora, jak się zresztą okazało — w ogóle nie było,

co

przyjąłem

z

podziwem:

zaimponował

mi

zmysł

oszczędnościowy młodego państwa.

Trzeba było działać na własną rękę. Ustawilem się na końcu przedziału pierwszej klasy i, mając wszystkich podróżnych zwróconych ku sobie, zacząłem im się przyglądać, kolejno od twarzy do twarzy, wzrokiem obwiniającym i bazyliżkowe badawczym. Lampy były złe, panował półmrok — Boże, znowu rzewne wspomnienie: taki klasyczny półmrok jak w wagonach między Puszczykówkiem a Poznaniem, ażeby podróżnym obrzydzić czytanie — ale mimo to jeszcze widziałem twarze siedzących podróżnych. Wszystkie oblicza uzbroiły się w doskonałą obojętność, idealna pustka źrenic zionęła przeciwko mnie.

Przecież jeden drągal nie wytrzymał, ugiął się pod moim wzrokiem. Nerwowo zatrzepotały mu powieki. A gdy jeszcze niespokojny uśmiech zaplątał się przy jego ustach, wiedziałem. Nie spuszczać z niego oczu, ruszyłem powolutku a groźnie w jego kierunku. Doszedłszy, uśmiechnąłem się doń wesoło, bowiem już wstał i odstępował mi miejsca.

— Co? — zapytałem przyjaźnie. — Pasażer drugiej klasy, prawda?

— Tak, pomyliłem się! — odrzekł rozbawiony, że nie udało mu się pozostać.

— Oj! — pożałowałem go. — Bardzo mi przykro...

— Nie, nie! — przerwał, dobrodusznie szczerząc zęby. — To ja przepraszam za pomyłkę! Moja wina!...

I wśród grzecznych zapewnień rozstaliśmy się przyjaźnie. Usiadłem.

W końcu pociąg ruszył, ażeby dwa kilometry dalej, na stacji Dixinn, zatrzymać się na pełne pół godziny. Tu nowa szarża burzliwych

podróżnych; wraz z nimi wpadł konduktor. Więc Gwinea jednak nie oszczędzała.

127

Konduktor zaraz przystąpił do urzędowania. Gdy wręczyłem mu bilet, popatrzył na niego godną chwilę, skrupulatnie go czytając, a potem, jakby w roztargnieniu sięgnąwszy po bilet sąsiada, schował mój do kieszeni. Poprosiłem o zwrot. Roztargniony konduktor prędko sięgnął do kieszeni i dobył — bilet drugiej klasy.

Roześmiałem się, energicznie potrząsając głową:

— To nie mój bilet!

— Nie?! — zdumiał się z głupia frant i zaczął szukać z zatroskaną miną.

— Tu jest! — pomogłem mu, wskazując jego prawą kieszeń.

Znalazł zgubę i nadąsany zwrócił mi ją. Wprawilo mnie to w dobry humor; w duchu kułem sobie powiedzonko, że w Gwinei trzeba uważać na kieszenie swych bliźnich.

82

Mój sąsiad, siedzący tuż obok mnie — kupiec Mandingo, jadący do miasta Kurussa nad Nigrem, jak mi nieco później powiedział — trącił mnie w bok i zagadnął:

!— Z jakiej okolicy Francji pochodzi pan?

— Z żadnej. Nie jestem Francuzem. !— Z Niemiec?

— Nie — i powiedziałem mu, skąd pochodzę.

!— Ach! — obruszył się i rzucił w stronę konduktora karcące spojrzenie.

— To czemu to ziółko tak się przyczepiało do pana?!

Fuknął nań kilku ostrymi słowami, zapewne wytykając mu pomyłkę, na co konduktor przestał się dąsać na mnie i zgoda nastąpiła między narodami w autorailu.

Korowody biletowe okazały się przebrnięciem przez ostatnie rafy.

Odtąd podróż weszła na gładkie tory, bez niespodzianek. Niebawem potężna jutrzienka zapłonęła na wschodzie, a świat i życie stały się znowu ponętne i piękne.

Gdy ruszaliśmy z Konakri, chłopczyk może dziesięcioletni, siedzący za maą, uderzył w szloch i długo pochlipywał. Taki widok i temu podobne budziły we mnie zawsze te same refleksje: jeśli niewielkie rozstanie wywoływało taki ból, ileż łez

128

i

i

i nędzy musiało tu być w czasach handlu niewolnikami i wywozu ich za morze?

Dałem chłopakowi kilka cukierków i przestał szlochać, widocznie zawstydzony, że zwrócił na siebie uwagę. Na to matka jego czy ciotka przyniosła mi kilka bananów, a że nie chciałem pozostawać im dłużny, na następnej stacji kupiłem dla nich ananasy. Ceremonie przyjaźni świadczyliśmy sobie w zupełnym milczeniu, bez jednego słowa; wyglądało to jakoś dziwacznie, jak niemy film.

Okolica, którą przemierzaliśmy, nie była mi całkiem obca — wtedy mniej więcej jechaliśmy autostradą do Mamu. Jak znajomych witałem widoki

wzgórz, palm oleistych i od czasu do czasu plantacji bananowych. Dzień wstawał pogodny i przyjemny, jak zwykle o tej porze roku, a romantyczna zmienność krajobrazu ponosiła człowieka radością.

Najefektowniej wyglądały — jak zwykle — tulipanowce, owe dziko rosnące drzewa kapokowe.

Spotykaliśmy je tylko od czasu do czasu, zawsze pojedynczo; stały wciąż jeszcze w pełni czerwonego kwiecia, urzekające kłęby ogniste.

Chociażby spostrzegano się je sto razy, zawsze niezmiennie, nieznużenie przejmowały do głębi. Była to chyba najwyższa ekstaza tropikalnej bujności, a zarazem lunatyczna niemal orgia wdzięku i krasy. Nawet w przybliżeniu

nic

podobnie

hojnego

nie

stwarzała

przyroda

umiarkowanych stref ziemi: tylko tropiki zdobywały się na takie szaleństwo koloru. Nie dziwić się, że Gauguin, obłądny poszukiwacz słonecznych barw, nie mógł poprzestać na Francji, nawet Martynika była mu zbyt uboga i dopiero słońce Tahiti potrafiło doprowadzić do rozkwitu jego malarstwo.

Widok czarownych drzew budził we mnie jeszcze inne wspomnienia: przypominał mi stado pawianów, spotkanych na drodze do Jukunkunu.

Chciałem wtedy jakoś skojarzyć małpy ze ślicznym drzewem, ale przeszkodził despotyczny małpi wódz. Nie wyszło wówczas i rzecz pozostała nadal otwarta.

W dwie, trzy godziny po wyjeździe z Konakri byliśmy już w wielkich, pełnych górach i wiliśmy się przez wąwozy Futa

9 — Nowa przygoda

129

Dżalon, a około południa zawitaliśmy do Mamu. Tu pociąg popasał dłużej, "więc podróżni wyszli na stację pokrzepić się. Puszki sardynek miały największe powodzenie; wszyscy, nawet najubożsi z drugiej klasy, kupowali je od przekupek i jedli znakomite sardynki i francuski chleb. Sardynki w puszkach są tanim, ludowym pokarmem na całym świecie, tylko, na skutek tajemniczych kombinacji i przedziwnej magii, nie u nas, w Polsce.

Na wschód od Mamu rozmach gór stopniowo słabnął, a około trzeciej po południu wyjechaliśmy z głównego masywu futa-dżalońskiego między rozległe wzgórza, przechodzące nieco dalej w równiny przysudańskie. U stóp tych wzgórz, już w dorzeczu Nigru, leżało sławetne miasto Dabola, do niedawna stolica jednego z potężniejszych władców fulbejskich, almamie-go z rodu — jeśli się nie mylę — Alfa.

W Daboli postanowiłem zabawić kilka dni. Nie dla kultu dawnych władców, lecz dlatego, że, jak mnie informowano w Konakri i Jukunkunie, tu podobno Fulbejki zachowały jeszcze zwyczaj noszenia

włosów upiętych w kształcie koguciego grzebienia, zwyczaj w innych stronach kraju już zaniechany. Dotychczas podziwiałem cudaczną fryzurę tylko na rzeźbach, sprzedawanych w Konakri, a że była ona nad wyraz fotogeniczna, chciałem teraz własnym aparatem zapolować w naturze na nią i na piękne Fulbejki.

Wysiadłszy w Daboli na dworcu, pełnym rwetesu i urwania głowy, dowiedziałem się od przygodnego Fulbeja, że hotel jest daleko, prawie dwa kilometry od stacji. Przyjąłem to z niedowierzaniem, wietrząc znowu jakąś kombinację, tym bardziej że nie było żadnej taksówki czy czegoś podobnego. Usłużny Fulbej postarał się o młodego tragarza, by zaniósł moją walizkę do hotelu. Gdy przezornie zapytałem, ile weźmie, moje zdumienie było nieopisane: zażądał tylko pięćdziesięciu franków.

— I rzeczywiście tak daleko do hotelu? — wciąż nie dowierzałem.

— Daleko! — odpowiedzieli Fulbej i tragarz.

150

— Kilometr?

— Znacznie więcej! — zapewnił Fulbej z uczciwym wyrazem twarzy.

Może mieli rację.

Zawstydzilem się swej małodusznej nieufności wobec każdego

Afrykanina. Tu nie było machlojki, nie chciano mnie złu-pić. Może

wreszcie dostałem się w okolice sielskich stosunków i przyjaznej

uczciwości?

Serdecznie pożegnałem się z uprzejmym Fulbejem, a potem poszedłem z

tragarzem do hotelu. Rzeczywiście było daleko. Hotel stał na drugim

krańcu miasteczka, które wypadło całe przebyć. Po drodze widziałem wiele kobiet, ale żadnej Fulbejki z kogucim grzebieniem na głowie.

— Gdzie są te babki z kogucią fryzurą? — zapytałem tragarza.

Nie wiedział, nie słyszał nawet o tym, więc nie męczyłem go dalej.

84

Hotel już z daleka sprawiał przyjemne wrażenie, a jego kilka parterowych budynków tonęło w uroczym cieniu wielkich drzew.

Panował nastrój pogodnej schludności i podobnie miło było wewnątrz: w głównej salce, będącej jadalnią i barem, kilku mężczyzn, dwóch białych, reszta czarnych, siedziało na wysokich stołkach przy barze i niewątpliwie umilało sobie życie popołudniowym aperitifem. Za ladą barową stała młoda Francuzka, bardzo zażywna, uderzająca brunetka o szatańsko pomalowanych brwiach, żona właściciela hotelu.

Nadmiernie szerokie, długie a kruczoczarne brwi miały jej dodać demonicznego wyrazu, co brało w łeb z kretesem wobec wyraźnej dobroci i słodyczy, rozlanej na jej twarzy i w okazałej tuszy.

Gdy wszedłszy, powitałem obecnych różnym: Bonjour! wszyscy jak jeden mąż zmierzili mnie osłupiałym spojrzeniem, jakby zjawilo się widmo. W przystępie dobrego humoru, chcąc od razu uniknąć nieporozumień, z progu wszystkim zamasyście się przedstawiłem:

— Jestem literat z Polski. Przyjechałem, żeby pięknie opisać Gwineę.

Chcę tu kilka dni zamieszkać. Czy można?

131

Malowane brwi, do których skierowałem pytanie, odrzekły z

uśmiechem:

— Ależ jak najbardziej!

Więc odwróciłem się do tragarza i wsadziłem mu sto franków do garści.

Tragarz wybałuszył ślepią, jakby doświadczył cudu: nie inaczej,

dotarłem do ostoj niezepsutych ludzi.

Siedem par oczu wciąż z napięciem wpatrywało się we mnie; jednak gdy

wyjrzałem przypadkowo przez szerokie okno na podwórze, oniemiałem

ze zdumienia: dojrzałem jeszcze jedną parę, ósmą. Siedział tam

uwiązany szympans i pochłaniał mnie pałającym wzrokiem.

Ale czemu tak żarliwie patrzył na nowego przybysza? Czego od niego

chciał? Przyjaźni? Nie mogłem zrozumieć, dlaczego wywarłem na

małpie takie wrażenie.

Szympanś

Zbliżając się do szympansa, trzymałem w ręce biszkopty (przywiezione

z Konakri), ażeby wkupić się w jego łaski, ale on, cały zastygły w ruchu,

jakby osobliwie rozmodlony, uparcie spozierał tylko w moje oczy. Gdy

doszedłem do niego, wyciągnął do mnie prawą rękę na powitanie i

uścisnęliśmy się. Wyraźnie wyczulem w swej prawicy lekki uścisk,

zupełnie jak ściskają ludzie, gdy pragną okazać komuś życzliwość.

Równocześnie szeroki uśmiech wystąpił na jego pysku — chyba

stosowniej nazwać to twarzą, oczywiście: twarzą — a tkliwy, urywany

pomruk jakże wyraziście, jakże ludzko zrozumiale mówił o jego

zadowoleniu.

Jak długo szympans trwał w bezruchu, był tylko małpą; gdy natomiast

ożywił się, zwykły zwierz w nim nagle zanikał. Tyle razy o tym się czytało, a jednak przyzywając to na własne oczy, doznałem wyraźnego wstrząsu, jak gdybym odkrywał rewelację. Była to w istocie niespodzianka niesamowita, że prawie dech zapierała.

152

„Nie całkowicie człowiek, ale wiele w nim ludzkiego”, pisał ongiś o szympanse sławny A. E. Brehm. Ileż właśnie tego ludzkiego dostrzegało się w uroczym osobniku, poznanym w Daboli! Oczywiście to nie był

85

człowiek, ale jak niezmiernie przypominał człowieka. Był to bezsprzecznie jakiś chybiony kuzyn człowieka, jakiś potomek wspólnego z człowiekiem praojca, nasz bliski krewny, tylko żałośnie opóźniony w rozwoju. Nie kretyn, lecz jakieś nieszczęsne dziecko, o rozwiniętej nad wiek gamie uczuć uderzająco podobnych do naszych, a o umyśle tuż, tuż u progu ludzkiego rozumu. Doświadczając tego, nie mogłem opędzić się osłupieniu; oładnęło mną coś w rodzaju paniki.
— Comment ca va, Koko? — zagadnąłem go imieniem, jakie podała mi jego pani.

Odpowiedział przyjaznym chrząknięciem, delikatnie wziął z mej dłoni w dwa palce jeden biszkopt i włożył go między wargi.

— Zjedz, Koko, to słodkie, dobre! — zachęciłem go. Ociągając się, zgryzł biszkopt powoli, z grzeczności, nie chcąc mi sprawiać zawodu: wolałby jednak dostać co innego, pewnie banana, co łatwo dało się dostrzec po jego niewyraźnej minie.

Banana jednak nie miałem; gdy mu podałem drugi biszkopt, przyjął go tak samo uprzejmie, jeno tym razem z jękliwym pomrukiem. Po cichutku narzekał, górna warga smętnie mu obwisała, oczy zgasty: wyrazistość uczuć wprost niewiarno-godna, aktor charakterystyczny dosadniej nie oddałby rozczarowania.

Wtem błysnęły mu oczy, rozpały się w nich figlarne ogniki: strzeliła mu do głowy myśl. Wciąż bezradnie trzymał biszkopt w prawej dłoni, gdy nagle lewą rękę wyciągnął ku mnie, chwycił za koszulę na piersi i błyskawicznym ruchem wsadził mi do kieszeni biszkopt. Potem, porwany gwałtowną uciechą, że mu się taki kawał udał, że dobry żart tyńfa wart, jął wesóło pohukiwać: ho, ho, ho!, bić rękoma o pień, przy którym go uwiązano, i skakać z nogi na nogę. Stroił przy tym

133

zabawne miny do mnie. Tak wybitne poczucie humoru, właściwość wielce ludzka, chyba nie znane było innym zwierzętom, nawet małpom: ot, człowieczek, homunkulus.

— A, ty szelmo! — śmiałem się razem z nim.

Podał mi znowu prawą dłoń, jak gdyby na przeprosiny — lubił często podawać rękę francuskim nawykem — i wtedy przyjrzałem się jego łapsku. Znowu bardzo ludzkie o ruchliwych, chwytnych palcach, tylko trochę krótszych niż nasze. Gdy odwróciłem rękę i zobaczyłem dłoń, świsnąłem z podziwu: wszystkie linie, jakie przecinają dłoń ludzką, miał i Koko. Linia życia ciągnęła się niezłe, zapowiadając długi żywot; linia głowy — nieszczęśliwa. Koko filozofem nie był i nie będzie; za to linia

*serca — wspaniała, fenomenalna, głęboka bruzda poprzez calusieńką
dłoń przelewała się od uczucia: Koko stworzony był do silnych
sentymentów, gorących wzruszeń, do wielkiej miłości.
Ale linia losu, co za haczykowane kuriozum! Pokręcona, zmienna,
zagniatwana, szalona, kończyła się jakby daleką, tragiczną podróżą.
Podróżą dokąd? W zaświaty, a może do Francji chłodnej? Ej, Koko, gdy
pani twoja, wyjeżdżając do Francji, będzie cię chciała zabrać, nie zgódź
się, ucieknij w las. Ale jakże uciekać od ludzi, skoro masz tak hojną linię
serca?*

*Sierść szympansa była czarna, twarz natomiast dość jasna i mniej
owłosiona. Usta bardzo wielkie i wysunięta dolna szczeka nadawały mu
wyraz dobroduszości: takim poczciwcem był istotnie.*

86

*Gdy stanął na nogach, nie sięgał wyżej niż metr i ćwierć, więc
brakowało mu jeszcze trochę do zupełnego wyrośnięcia. Uwięzany na
długim łańcuszku, przebywał przez cały dzień na podwórzu. Siedział
przeważnie na wysokim pniu ściętego drzewa i nudził się szkaradnie,
będąc z natury towarzyskim młodzianem. Właścicielka hotelu
wy tłumaczyła mi, dlaczego jest taki oswojony: urodził się wśród ludzi i
od samego początku, od kilku lat, ona wychowywała go jak własne
dziecko. Sama była bezdzietna. Koko uprzejmie pozwalał mi
przejmować się liniami jego*

154

dłoni, ale w końcu stracił cierpliwość i przeszedł do innej zabawy.

Zaciekawiły go moje sandały, zapinane na sprzączki. Zeskoczył na ziemię, usiadł wygodnie i rękoma zaczął majstrować koło prawej sprzączki, by ją odpiąć. Czynił to z niebywałą delikatnością, jak gdyby zabiegał dokoła małego dziecka. Żaden gwałtowniejszy ruch nie przerwał jego dociekań. Lekkim dotykiem palców, ledwie przeze mnie odczuwanym, trącał, obmacywał, czasem słabiutko przyciskał, już nawet był na właściwej drodze i ciągnął za odpowiedni koniec rzemyka, ale ponieważ ciągnął zbyt łagodnie, nie rozluźnił sprzączki i nie doszedł do sedna sprawy.

Szukając skrzętnie rozwiązania, całą duszę, że tak powiem, wkładał w oczy. Odbijał się w nich olbrzymi wysiłek myślowy: jakże ostro, z rozumnym przejęciem, wzrok wpijał w przedmiot. Zdolność do takiego wysiłku, do takiego napięcia dociekliwości była znowu wybitnie ludzką cechą, zbliżała go do człowieka.

Szympanś mozolił się jakieś dziesięć minut i nie znalazł klucza do zagadki. Ale widziało się, że był tuż, tuż; jego myśl wzbijała się już do stropu poznania i niewiele brakowało do zrozumienia istoty rzeczy. Wtedy na jego oczach odpiąłem sprzączkę, pokazując mu, że trzeba ciągnąć koniec rzemyczka z większą siłą niż on to czynił — i sprzączkę znowu zapiąłem. Aż zabalgotał z radosnego podniecenia. Niecierpliwym ruchem odepchnął moją rękę od sandała i sam spróbował. Tym razem świetnie udało się od pierwszego pociągnięcia; odpiął sprzączkę z łatwością, a po trzech czy czterech próbach potrafił także ją zapiąć. Byliśmy w siódmym niebie, jak gdyby Koko zdał egzamin dojrzałości.

Szympanś w szale radości wydawał stłumione okrzyki triumfu i od ucha do ucha szczyrzył zęby, jednocześnie podając mi dłoń, jak gdyby sobie i mnie wieszował. Potem zaczął tańczyć, przeskakiwać z nogi na nogę i ręką uderzać w ziemię. Był, bestia, tak przyjemnie rozochocony, że najchętniej uczestniczyłbym w jego tańcu, gdyby nie obawa, że ludzie w hotelu wezmą mnie za kiepskiego wariata.

135

Chaupt

Wtem przystąpiła do nas właścicielka hotelu. Jej przyjazny uśmiech spod demonicznych brwi ostudził rozpasanie szympanśa i moje. Jakby przebudzeni z tęczowej krainy uroczonego Brehma zstąpiliśmy na ziemię, gdy dobiegł nas jedwabny głos korpulentnej brunetki:

— Monsieur Chavot ma do pana prośbę!

87

Ki diabeł: policja? strzeliło mi popłochem do głowy, głupim i niepotrzebnym popłochem. Biorąc się w garść, zapytałem :

— Kto to jest ten pan? Afrykanin?

— Nie, Francuz, tutejszy, mieszkający w brussie. Zwraca się do pana z wielką prośbą za moim pośrednictwem.

— Słucham! Proszę! — odetchnąłem raźniej. — Czym mogę mu służyć?

— Chciałby pana zaprosić na pewien czas do siebie, ugościć w swej brussie...

— Ależ on mnie wcale nie zna i ja go nie znam!

— Zna pana: słyszał przedtem, jak pan się przedstawiał. To bardzo

porządny człowiek! — zachęcała tęga pani.

Powstał we mnie odruchowy sprzeciw, jakby ktoś obcy wtargnął między nas i gwałtem chciał odsunąć mnie od szympansa i nadobnych Fulbejek z fryzurami.

— Ależ I ja zamierzam zostać przez kilka dni tu, w samej Daboli, i potem jechać dalej, do Kankanu! — oświadczyłem.

— Porozmawiajcie panowie ze sobą! — prosiła hotelarka. I, tak się też stało.

Chavot, jeden z owych Europejczyków, siedzących przy barze, nie okazywał nerwowej popędliwości, tak częstej u Francuzów, co od razu usposabiało korzystnie do niego. Nie miał jeszcze czterdziestki, był pełny, ale nie otyły, czynił wrażenie człowieka zdrowego i godnego zaufania. Ze skromnym, nieśmiałym uśmiechem powtórzył mi o czym już mówiła hotelarka, ale ja, nie chcąc tracić mych Fulbejek ani szym-

136

pansa, nastawiłem się na grzeczne, stanowcze: nie. Moja odmowa wielce go rozczarowała, wyraźnie przygnębiła. Uśmiech i oczy tak mu posmutniały, że zrobiło mi się go żal.

— Może za dwa, trzy dni pojechałbym do pana? — łagodziłem wrażenie.

Chavot, jak się okazało, mieszkał głęboko w puszczy, niedaleko wioski Saroya, o jakieś sto kilometrów od Daboli. Dziś jeszcze, najpóźniej za godzinę, musiał wracać swą kamionetką do domu i nie przewidywał powrotu do Daboli przed upływem czterech, pięciu dni.

— Ale gdyby pan dziś pojechał ze mną — mówił — i chciał wracać do

Daboli po dwóch lub trzech dniach, to oczywiście natychmiast

odwiózłbym pana...

Z wyrazu jego twarzy i oczu poznać było, że bardzo, jakoś wyjątkowo, zależało mu na ugoszczeniu mnie u siebie. Do kaduka! Domyślałem się, że — będąc człowiekiem kulturalnym a beznadziejnie odosobnionym w swej puszczy — łaknął towarzystwa gościa, świeżo przybyłego z szerokiego świata, ale żeby tak od razu, tak pochopnie, bez rozwagi zapraszać kogoś zupełnie obcego — to wydało mi się jakoś dziwne i narwane.

— A czy jest pan tak pewny siebie, że nie zawiedzie się na mnie? — rzuciłem żartobliwym głosem.

— Bardzo pewny siebie! — oczy roziskrzyły mu się wesołością. — Mam na to niezbity dowód!

— Niezbity?

— Proszę spojrzeć!

Wskazał palcem przez wielkie okno na podwórze. Szympanś spostrzegłszy, że na niego patrzę, zaczął ręką prosić mnie do siebie. Nie

88

ustawał w swym jednostajnym ruchu: stale wyciągał ku mnie dłoń i cofał ją pośpiesznie, jak gdyby wstydział się wabienia.

— Koko pana lubi! — rzekł Chavot.

— On pewnie wszystkich gości jednakowo lubi!

— Nic podobnego! Na widok niektórych facetów wpada zawsze we wściekłość i chciałby ich gryźć, a rzecz znamienne,

że są to typy, których lepiej unikać. Koko ma nieomyłne wyczucie...

Chavot zwrócił uwagę na jeden jeszcze szczegół: szympanś, wabiąc do siebie, wyciągał ku nam otwartą dłoń. Ludziom, których nie znosił, zawsze pokazywał pięść. Dla wszystkich był to wiadomy znak.

— Słowem, Koko wydaje o mnie dobrą opinię! — parsknąłem.

— Najlepszą, jaką może...

Ostatecznie, przyjmując gościnę u osobliwego Francuza, na co się narażałem? Na kupowanie kota w miechu? Przecież szukałem przygód. Dorzuciłem wprawdzie dwa, trzy dni do mego pierwotnego planu — ale czy to taka strata? A sam Chavot był dla mnie wielce ciekawą zagadką, okrutnie podniecał moje zainteresowanie. To pewne, że z jakichś tam przyczyn łaknął ludzkiego towarzystwa, w takim razie może było moim obowiązkiem mu pomóc?

— Więc za dwa, trzy dni przywiezie mnie pan na pewno do Daboli? — spytałem jeszcze.

— Ależ tak, przywiozę! Czy ma pan tu jakieś interesy?

— Chciałbym sfotografować Fulbejki z dziwacznymi fryzurami...

Chavot niepomierne się zdumiał, a gdy mu wytłumaczyłem, o co chodzi, oświadczył, że już od wielu lat tych fryzur tutaj nie widział i zwyczaj poszedł do cna w zapomnienie, co potwierdzili wszyscy mężowie siedzący przy barze.

— Kłapa! — uśmiechnąłem się. — Wobec tego będę tu śpieszył do innej pociągającej istoty, do małpiszona Koko!

Chavot, poważniejąc, zapytał:

— Czy pan lubi przyrodę?

Gdy potwierdziłem, zaczął mnie namawiać:

— U mnie można jeszcze zobaczyć ostatnie bogactwo dawnej Afryki. Są dzikie zwierzęta. Nawet słonie nie wyginęły. Mają swe żerowiska o piętnaście kilometrów ode mnie...

Nie było rady, nie miałem wyjścia," dałem się skusić. Szimpans mógł czekać. Zgadząc się, postawiłem jeden tylko

138

warunek, mianowicie, że w Daboli Chavot będzie moim gościem, jak w Saroyi ja będę jego — i wkrótce zasiedliśmy do kolacji.

Nie szczędziłem jemu i sobie wina, wyjątkowo smakowitego vin de table, ażeby tym łatwiej lody pękły, a języki się rozwiązały. Nie tylko chciałem wyniuchać, jakie w nim siedziały chimery, ale i samemu się rozkręcić i rozgrzać do zwariowanego wyskoku.

Chavot nie był dziwakiem. Żadnej klepki mu nie brakowało. Posiadając pewne wykształcenie i oglądę, umiał przyjemnie i rozumnie gawędzić na wiele tematów. Lubił Afrykę, powodziło mu się niezłe, bo nie miał wygórowanych wymagań; w swej brussie uprawiał ryż, miał także mały tartak i nie myślał o powrocie do Francji. Uwielbiał przyrodę, kochał zwierzęta, ale kochał jak normalny człowiek w puszczy żyjący:

89

podczas swych licznych rozjazdów kamionetką po brussie zawsze obok kierownicy miał nabity mauzer i dubeltówkę. Słowem, był to udany

w'eczór.

Przy sąsiednim stole spożywało kolację małżeństwo hotelarzy w towarzystwie Koka. Szympanś siadł do stołu jak człowiek i zachowywał się całkowicie jak człowiek, bez najmniejszej różnicy. Zjadł zupę łyżką, nalał sobie ćwierć szklaneczki wina, do pełnego rozcieńczył wodą, a popiwszy łyk wyraził uznanie zadowolonym cmoknięciem jak wytrawny znawca. Następnie nałożył sobie na talerz mięsa, ziemniaków i jarzyn i jadł z nie ukrywanym apetytem. Chciał potem zrepetować, ale hotelarka spokojnie zwróciła mu uwagę, żeby się nie obżerał, bo będzie jeszcze legumina. Markotnie wykrzywił twarz, jednak usłuchał.

Gdy jego pani i pan zajęci byli rozmową, zdawało mu się, że nikt na niego nie patrzył, więc migiem sięgnął po butelkę wina i wlał sobie całą szklankę. Hotelarka łając go, chciała mu odebrać trunek, ale on zwinnie uniknął jej rąk. Podnosząc szklaneczkę ku naszemu stołowi i jakby przepijając do nas, łapczywie pociągnął potężnym haustem. Upił dobre pół szklanki, zanim mu ją wyrwano. Splatanie tego figla wprawilo go

139

w tak dobry humor, że zaczął stroić do nas fantastycznie śmieszne miny i machać triumfalnie rękoma.

Patrzałem na niego z podziwem, znowu przejęty do głębi. Przejęty wąskością przegrody, dzielącej umysł szympanśa od naszego, ludzkiego. Przecież małpa posiadała nie tylko wyjątkowy dar naśladowania oraz inteligencję, przetapiającą ów dar w rozumne

myślenie, ale ponadto jakże żywy zmysł humoru!

Okolo godziny dziewiątej wyruszyliśmy w gęstą, czarną noc. Zrazu jechaliśmy na wschód dobrze utrzymaną szosą, wiodącą w kierunku miasteczka Kurussa nad Nigrem, lecz w połowie mniej więcej trasy, o jakie osiemdziesiąt kilometrów od Daboli, opuściliśmy bity trakt i zboczyliśmy w prawo na zapuszczone, wyboiste drogi. Brussa, trzymana dotychczas w przyzwoitej od szosy odległości, tu nabrała tupetu, przy-skakiwała do nas i napierała, bijąc gałęziami o szyby samochodu. Na bowalach, obszernych wypaleniskach, knieja odbijała się daleko w bok. Wtedy na jałowych polanach wyrastała w świetle reflektorów nieprzejrzana rzesza grzybów-termitierów niby szarych krasnoludków z kapturami, znajome kształty z podróży do Jukunkunu. Niewiele ze sobą rozmawialiśmy, Chavot zajęty zawilocią drogi, ja półsenny. Ale raz gwałtownie otrzeźwiałem: jechaliśmy wąskim korytem między dwiema żółtymi ścianami zbitej trawy, wysokiej na trzech co najmniej chłopa. Fantastyczna roślinność przerzucała nas jakby w inny, niezemski świat albo w inną epokę: tak gigantyczna trawa mogła rosnąć za czasów dinozaurów i ukrywać w sobie zamierzchłe potwory. Tchnęło to pra-Afryką.

— Dobra kryjówka dla słoni! — zauważyłem.

— Nie — odrzekł Chavot. — Słonie nie lubią szeleszczącej trawy, zresztą brak im tu żeru. Potrzebny im las, drzewa.

— A inne zwierzęta?

— Mogą być. Lampart, antylopy, dziki, wszelki drobiazg...

Jakby na potwierdzenie jego słów, daleko przed nami, dokąd światło reflektorów docierało już tylko przyćmione, srodze zaroilo się w wąskiej gardzieli drogi od jakichś zwierząt, skłę-

140

biło się tłumnym ruchem. Chavot dodał mocno gazu, prawą ręką sięgając w dół, gdzie leżały strzelby. Przed nami tłoczyło się tak wielkie stado, że zrazu nie mogłem rozeznaczyć, jakie zwierzęta sadziły przez drogę.

— Kob! — szepnął towarzysz.

Teraz i ja poznałem: wielkie antylopy o lirowato zagiętych rogach były wspaniałe. Samochód pędził, zbliżał się, widzieliśmy coraz wyraźniej głowy, ciemne grzbiety, białe brzuchy. Gdyśmy dopadli na odległość około stu kroków od stada, Chavot pośpiesznie zahamował i wyskoczył z auta z mauzerem w garści.

Niestety, za późno. Na drodze nie było już antylop. Albo całe stado przebiegło, albo ostatnie sztuki, nie wychodząc na drogę, cofnęły się w gąszcz, strwożone zatrzymaniem samochodu.

Staliśmy bez ruchu. Serce biło mi młotem. Drogowa gardziel przed nami, tak kipiąca życiem i ruchem kilka sekund temu, zionęła nagłą pustką. Kępy zwichrzonej trawy, wiszące nad drogą, jeszcze się chybotwały. Przez chwilę słyszeliśmy oddalający się tupot racic i szum gąszczu, potem ucichło. Tylko świerszcze, jak zwykle, ciężły powietrze zgryźliwym sykiem.

Ile było antylop? Sto? Dwieście? Przyroda puściła wodze fantazji i na chwilę rozpostarła przed nami przepych swego repertuaru.

Wystarczyło, żeby wyczarować człowiekowi powabne majaki, wywołać w nim niepokojącą tęsknotę.

Kilka kilometrów dalej samotna antylopa o olbrzymich łyżkach, po prostu dobra znajoma, mina, stanęła na drodze, wpatrzona w nasze światła bez lęku, jakby z wiarą w człowieka.

— Miny lubią trzymać się niedaleko ludzkich siedzib — objaśnił Chavot.

— I nie boją się człowieka? — zapytałem.

— Boją się mniej niż lamparta.

— A człowiek jak reaguje na ich ufność?

— Strzela, rozumie się...

Tym razem jednak Chavot nie sposobił się do strzału. Mina

141

jeszcze chwilę stała, zanim znikła w zaroślach, a kilkaset kroków dalej zamajaczyły przed nami wśród drzew zarysy budynku, przed którym stanął samochód. Byliśmy u celu. Zegarek wskazywał północ. Chavot zaczął wołać; z domu wyszła rozespana postać niewieścia.

— *Moja żona!* — przedstawił ją.

Pomimo nocnego mroku zauważyłem, że była to Afrykanka.

Tahiti

Nie wiem, czy antylopy koby wydają jakieś głosy, ale gdy pojawiały mi się tej nocy we śnie, strasznie było ich słuchać. Niczym echa z piekła.

Śniące się zwierzęta, potężniejsze niż w rzeczywistości, biegały dokoła mnie zbitą, zwariowaną masą, a że były wystraszone, dobywały potwornych skrzeków. Wyły, warczały, chrząkały, często jęcząc jak potępione dusze. Nawet we śnie uprzytamniałem sobie, choć mgławo,

91

absurdalną sprzeczność: wyglądem uosabiały niesłychany wdzięk, głosem — przerażające straszydła. Głosy ich były tak wstrząsające, że gdy chwilami się ocykałem, w półśnie jak gdybym wciąż nadal słyszał skowyt. Dziwne antylopy!

Przy śniadaniu rzecz się wyjaśniła: tak szkaradnie wydzierają się w nocy nie złudne majaki, lecz żywe bestie, hieny natrętnie podchodzące w ciemności pod dom. Drapieżniki szperały po okolicy w poszukiwaniu żeru, zwłaszcza odpadków z kuchni ludzkiej, ale gdyby mogły dopaść, nie gardziłyby i żywą zdobyczą: psem, kurą, baranem, krową, nawet bezbronnym człowiekiem w wyjątkowych wypadkach. Na noc należało wszystko, co jadalne, szczelnie przed nimi zamykać. Tchórzliwe, na krzyk ludzki zazwyczaj zmykały, lecz napadając większą zgrają, okazywały czasem opętane zuchwalstwo. Człowiek, nocujący w brussie, nie tylko obawiał się lwa i lamparta, ale także czelności hien,

gotowych podczas jego snu wyciągnąć spod głowy tłumok lub wyrwać mu kawał żywego ciała. Były

142

okropnie żarłoczne, a silne szczęki jak nic miażdżyły z łatwością najgrubszą kość.

O nocnych gościach dowiadywałem się ciekawych rzeczy podczas śniadania, które spożywaliśmy na rozległej werandzie przed domem.

Spożywaliśmy we czwórkę: Chavot, jego dwaj synowie, trzynastoletni

Paul i dziesięcioletni Jean-Paul, układne Mulaciatka, i ja. Żona

Chavota, szczupła i dość młoda jeszcze Fulbejka, milcząco usługiwała

nam wraz z boyem, który zwał się Mansale Kuli.

Jakże miło było siedzieć w tym przyjaznym gronie na świeżym

powietrzu,

w

bajecznie

chłodny

poranek,

śluchać

Chavota

opowiadającego o kłopotach z hienami jak o codziennej racji

powszedniego chleba, cieszyć wzrok promienną grą szmaragdowych

cieni w gaju przed nami i pochłaniać smaczne śniadanie: dobrą kawę w

miseczkach i jakieś wymyślne afrykańskie naleśniki, smażone tuż obok

na żelaznym piecyku przez Fulbejkę: egzotyczne otoczenie, obce a

dziwnie przyjazne i darzące ciepłem.

Dom Chavota do złudzenia przypominał dworki szlachty zagonowej na Podlasiu. Był rozłożysty a stosunkowo niski, parterowy; dach, grubą strzechą kryty, kończył się na dole szerokim okapem, zacieniającym białe, świeżo tynkowane ściany. Tylko bardzo szerokie wejście i szerokie okna były inne niż w Polsce, tropikalne. Wrażenie skromnej przytulności jeszcze się potęgowało po wejściu do środka: połowę domu zajmowała bawialnia, gdzie przyjmowano gości i najczęściej przebywano za dnia. Niski okrągły stół, otoczony klubowymi foteliskami, był duszą izby i kusił nastrojem aperitifowym. W jednym z narożników stał drugi stół, czworoboczny, grubo ciosany, z ławkami równie surowymi; tu jadano obiady i kolacje. W tej bawialni nocowałem pod ścianą na kozetce, posłanej do spania.

W drugiej połowie domu mieściła się sypialnia małżeńska oraz obszerna łazienka z prysznicem i basenem wmurowanym w podłogę. Wodociągu w domu nie było. Synowie i boy sypiali w osobnej, okrągłej lepiance, o jakieś sto kroków od domu,

145

92

i tam też znajdowała się chata kuchenna. Wszystko świadczyło o schludności i unikaniu wystawności, przede Wszystkim zaś chęci zapewnienia sobie prostymi środkami jak najznośniej-szej wygody.

Tego dnia była niedziela, w tartaku nie pracowano, Chavot miał wolne.

Mogliśmy się rozgawędzić. Gwarzyliśmy o dziwach brussy i

dziwactwach ludzi, o ptakach-hektiakach, zwanych turako, o wielkich

lelkach-proporczykach,

o

orle-akroba-cie,

nazywanym

przez

Afrykanów małpą niebios, bo takie wyprawiał harce w powietrzu, o

rudych małpach na skraju zarośli, o ponętym gaju przed nami i

groźnej brussie za domem, o Mandingach i Fulbejach, dobrych

sąsiadach, ale okrutnie kapryśnych, o tartaku i ryżowisku Chavota.

Ale najwięcej gwarzyliśmy o losie mego gospodarza i jego bliskich,

wciągniętych w ten barwny, zapalczywy świat. Cha-vot wrósł w

tutejszą ziemię, na równi z innymi mieszkańcami czuł się uwikłany we

wspólną sieć, która, chocia[^] nierozzerwalna, nie była dla niego

złowrogą matnią, nie dławiła. Przeciwnie, dawała mu świadomość

pełni życia i świadomość szczęścia, jakiego — zapewniał mnie — z

pewnością nie doznałby w innym otoczeniu ani w innym kra[^]Uj nawet

we Francji.

Gdy przerwał na chwilę swe ujmujące zwierzenia, odezwa-, łem się:

— Przed laty byłem na Tahiti, rzeczywiście E[^]mpiękniejszej z wysp

pomimo oklepanej propagandy. Mieszkssuicy żyją tam do dziś w

*rajskiej beztrosce wśród niezwykle ho*onej przyrody, oddani tańcom,*

śpiewom, amorom. Wielu Franct[^]zów, poszukiwaczy sielankowego

szczęścia, osiadło na Tab-irti, mieszkał u w tubylczych chatach,

żeniło się z mieszkankaroiij wyspy, żyło, jadło, ubierało się jak krajowcy, ba, przyswajało sobie ich zwyczaje i ich mentalność, chcieli być tak szcz»; ęśliwi jak oni ale gdy zdawali się dostępować szczytu szczęś#a,cia — coś w nich haniebnie załamywało. Po niewielu lata^{trfc^} a najczęściej już po kilku miesiącach, sielankowcy przegrywacie z kreteś mnóstwo takich znaleff. Gardłem wychodziło im ; r-zekomo szc | ście, zrażali się do prymitywu, u żon z Tahiti odkrywali beznadziejną pustkę duchową — i gorzko zawiedzeni, nieraz naprawdę złamani, uciekali do cywilizacji, do swoich... Czy?... Figlarnie zadrgała twarz Chavota i powieki mu się zwężyły, gdy żywo wpadł mi w słowa:

— Ach, chodzi pewnie o to, czy tu, w gwinejskiej brussie, nie zanosi się na coś podobnego jak na Tahiti? Czy ktoś nie gotuje sobie rozczarowania i smutnego losu na wzór tamtych miłośników idylli? O to chodzi?

Mówiąc o tym „kimś”, Chavot ucieszenie wskazywał na siebie palcem. Przeciw tak krańcowemu porównaniu zastrzegalem się z przesadnym zapalem, lecz on, rozweselony, bił pięścią o swą dłoń:

— Czy mam przytoczyć niezbity dowód, że tu jest zupełnie inaczej niż na Tahiti?

— Proszę, słucham!

— Prosta rzecz: dtoyen Charles Chavot siedzi w Gwinei z dobrej woli już przeszło dwadzieścia lat i, daj Boże, posiedzi tu jeszcze drugie tyle!...

Po czym, poważniejąc, jął wyluszczać, na czym polegała różnica i dlaczego był tu szczęśliwy. Entuzjaści Tahiti to przeważnie pustacy,

*erotomani, którzy jechali tam, by urzeczywistnić swe chorobliwe,
wyuzdane marzenia o miłości. Co oni wnosili w życie wyspy? Chęć*

93

*własnego wyżycia się wyłącznie zmysłowego, własne samolubstwo,
płytkie pojęcia zaczerpnięte z sentymentalnych filmów, prostacką
rozwiązłość. Co dawali wyspie? Nic, chcieli tylko brać — brać najtańsze
rzeczy. Czy nie jasne, że musiało skończyć się znudzeniem, niesmakiem,
zupelnym zawodem? Uwielbiali oni bowiem nie Tahiti, lecz jedynie
własne, niewybredne popędy.*

*A Chavot? Jakże inaczej podchodził do Afryki. To może brzmiało
górnolotnie, ale kochał Afrykę. Fakt pojawienia się takiego uczucia był
dość niepospolity, romantyczny, może zgoła fantastyczny, ale samo
uczucie Chavota okazało się proste, zdrowe i praktyczne. Kochał Afrykę,
służąc jej po prostu wysiloną pracą, szczęśliwy, że swym wysiłkiem
przyczynia się*

10 — Nowa przygoda

145

*lo jej dźwignięcia. Był, można powiedzieć, gorącym patriotą
ifrykańskim, rzecz u Europejczyków nadzwyczaj rzadka, a je-So
patriotyzm obejmował serdecznym, co tam, tkliwym, choć nęskim
uczuciem różne elementy Afryki: ludzi, ziemię, rośliny, zwierzęta.
Była to jego wielka miłość, jakaś irracjonalna miłość. Odnio-ilem
wrażenie, że Chavot, pojmując Fulbejkę za żonę, brał ją nie tylko dla jej
urody i osobistych zalet, lecz także dlatego, że zapewne w jego pojęciu*

była uosobieniem afrykańskości, żywym nadobnym wcieleniem Afryki.

Wyraziłem głośno zdziwienie, że Chavot, zaszyty od przeszło lwudziestu lat w brussie, tak doskonale umiał scharakteryzować wielbicieli powabów Tahiti. Świadczyło to o jego oczy-aniu. Czy miał dobrą bibliotekę?

— Niestety, mizerną! — odrzekł, a że już dawno skończy-iliśmy śniadanie, zaprowadził mnie do domu. W kącie bawialni wskazał niewielki regał, wypełniony książkami. Na stoliku >bok leżała kupa ilustrowanych czasopism francuskich, sto-unkowo świeżej daty.

— Czytałem to wszystko uważnie, z przejęciem — rzekł ^havot. — Helas, najwięcej rozpisują się ostatnio o łonie dzie-vuszki Farah Dibah, czy szachowi Iranu urodzi następcę, ale :zasem można dowiedzieć się także o kiepskich zapaleńcach ta Tahiti...

Zaraz pierwsza z brzegu książka, po którą sięgnąłem, ogrom-lie mnie zaciekawila: dr Emile Gromi er pisał o faunie Gwinei.

— Niezła! — oznajmił Chavot. — Tylko trochę amatorska, >elna luk...

— Chciałbym ją przeczytać!

— Ależ wszystko tu do dyspozycji pana!...

Wtem ze dworu przyszedł do nas Paul, starszy syn gospo-iarza, chwilę grzecznie odczekał, aż skończyliśmy rozmowę i książkach, potem zdał ojcu sprawę przyciszonym głosem:

— Przyleciał orzeł!... ,,

— No, to chodźmy do niego! — zwrócił się gospodarz do inie. — Jest to stary, zły znajomy! Dziś wczesnie się zjawil.

OrzeKongler

Zanim opuściliśmy dom, Chavot polecił synowi przynieść z sypialni dubeltówkę i dwa naboje z najgrubszym śrutem. Nie czekając na broń, wyszliśmy obaj bez pośpiechu na dwór i udaliśmy się w kierunku

94

gospodarskich chat, oddalonych, jak już wspomniałem, o blisko sto kroków.

Właściwy gaj zieleńił się z drugiej strony domu, tu natomiast było przestrzennie], rosło tylko kilka mniejszych man-gowców z dala od siebie, widziało się wiele nieba, a nieco dalej, z boku, jaśniała całkiem już otwarta golizna, zapewne ogród warzywny z pory deszczowej. Za tym półkiem zaczynała się dzika brussa, z której nocą podchodziły pod dom głodne ha-laburdy, hieny.

Wyszędłszy na dwór, zastaliśmy niemałe podniecenie, istny raban przed Dniem Sądnym. Stado kur, żerujących dotychczas niefrasobliwie na rozłogu, biegło na łeb na szyję w stronę chaty kuchennej, popędzane przez Fulbejkę. Boy Mansale Kuli i Jean-Paul, młodszy syn Chavota, pędzili kilka beczących owiec ku schronisku. Dwa kundle, jakby oszalałe z przerażenia, czekały z furią i półprzytomnie ganiając to tu, to tam, co rusz plątały się pod nogami. Ludzie śpiesząc się, wciąż zadzierali głowy do góry. Sodoma i Gomora.

A oto i sprawca zamętu. Odkryliśmy go lecącego wysoko nad skrajem brussy, niedaleko naszego półka. W przeciwieństwie do popłochu, jaki

szerzył na ziemi, sam szybował dumnie, obraz majestatycznego spokoju. Olbrzym jakiś. Ile metrów rozpiętości mogły mieć jego potężne skrzydła? Dwa i pół, może trzy? Odznaczał się małym ogonem i uderzając dużym łbem. Wyjątkowo silny, straszny dziób, frapujący nawet z takiej wysokości, dosadnie świadczył, jaki to zabijaka.

Orzeł nie zataczał w tej chwili kół zwyczajem innych drapieżników, lecz leciał w jednym kierunku, następnie czynił wielki krąg i wracał tą samą drogą.

Śledziliśmy jego lot spod drzewa, zakryci listowiem.

— Wróg numer jeden! — zauważył Chavot.

147

Właśnie Paul, klucząc, przyniósł strzelbę. Chavot sprawdził, czy nabita właściwymi nabojami.

— Wróg numer jeden! — powtórzył. — Zaledwie przed tygodniem porwał nam pokaźne jagnię. Teraz pojawia się prawie co dzień, chociażby na kilka minut. Czy widzi pan jego dziób?

— Widzę.

— Jednym uderzeniem przebija czaszkę wyrosniętego barana. Jak łupinkę orzecha.

— I udźwignie go potem w powietrzu?

— Jak przepiórkę.

Ponieważ ptak unosił się głównie nad rozłogiem, ruszyliśmy w tę stronę, chowając się, ile można było, pod zastoną drzew. Chavot skradał się pierwszy, ze strzelbą gotową do strzału.

Wtem stanął jak wryty, osłupiony zachowaniem się orła. Olbrzym, postępujący do tej chwili godnie, jak na króla ptaków przystało, naraz zamienił się w cyrkowego kłowna. Zachciało mu się błazeństw. Ni z tego, ni z owego przestał trzepotać jednym skrzydłem, które przywarło nieruchomo do ciała, a nadal mocno uderzał tylko drugim. Wskutek tego, lecąc wciąż naprzód, zaczął okręcać się dokoła własnej osi, jak gdyby wwiercał się śrubowym ruchem w powietrze. Do złudzenia przypominało to manewr lotników myśliwców, zwany „beczką”.

— Ależ to pocieszny typek! — zdumiałem się.

95

— Przezywamy go też orłem-żonglerem i, zdaje mi się, taką nosi oficjalną nazwę — wyjaśnił Chavot. — Pochodzi z rodziny orłów, przebywających najchętniej nad wielką wodą, raczej ry-bożernych...

— Ale tu nie ma takiej wody!

— Jest Niger o trzydzieści kilometrów stąd. Przypuszczalnie przylatuje znad Nigru...

Teraz, gdy orzeł obracał się dokoła siebie, widziałem, że nie tylko był czarniawy:

powierzchnię

skrzydeł

miał

ślicznie

brązową.

* | :-- -4l'\

Po chwili sprzykrzyło mu się robienie „beczek” i przeszedł do innej sztuczki. Skrzydła na przemian to zwijał, spadając jak kula w dół, to je rozpościerał, szybując wówczas poziomo, co sprawiało wrażenie, że opada na linii powietrznych schodów. Ale nie dość tego: wkrótce zaczął wywijać koziółki, najprawdziwsze koziółki, wywracając się łbem naprzód.

Tak swawolił i dziwaczył w powietrzu nie wyżej niż kilkadziesiąt metrów nad ziemią, więc biegiem skoczyliśmy naprzód, mało już zważając na osłonę. Spodziewaliśmy się zaskoczyć go, gdy jeszcze strugał wariata i wyprawiał baraszki. Ale, chytra sztuka, miał nas na oku i nie dopuścił do siebie. W pewnej chwili przestał fikać i natychmiast się uspokoił. Był znowu dostojnym władcą, bystro wypatrującym ofiar. Dostojny i diablo przezorny, omijał nas z daleka. Już nie dał się podejść.

— Nie uwierzyłbym — szepnąłem do Chavota — gdybym tego nie widział na własne oczy. Jak sobie wytłumaczyć podobne harce? O co ptakowi chodzi?

— Nie wiem! — wzruszył gospodarz ramionami. — Nie znam rozumnego wyjaśnienia. Po prostu kaprys natury. Zwierzęta odczuwają często potrzebę zabawy: może orla nachodzi chęć dziwaczego wyigrania się — i to wszystko.

— Czy zdarza się to często?

— Odwiedza nas już od dwóch tygodni, ale szalał tylko trzy, cztery razy... Trzeba strzelać do niego z mauzera. Powtarzam: to wróg numer

jeden!

Orzeł tymczasem podjął nad nami stateczny lot i jak przedtem zakreślał na niebie złowieszcze linie. Tam, u góry, pisał dla ziemi swe Mane-Tekel-Fares, zapowiadając śmierć wszystkim słabszym od siebie stworom.

Słabi mieli tylko jedną obronę: chować się. I tylko chwilę wytchnienia: gdy skrzydlaty władca oddawał się tajemniczej zabawie.

Orzeł niebawem przekonał się, że nic u nas nie upoluje. Można było zmiarkować, że zabiera się do odlotu.

Wtem coś odkrył na ziemi. Gdy ważył się nad chaszczami, przylegającymi do pólka, nagle zwinął skrzydła, jak błyskawica śmignął na dół i wpadł w krzewinę. Po kilku chwilach wzbił się w powietrze, ale tym razem trzymał w szponach coś gwał-

148

149

townie się wijącego: solidnego węża. Z tym łupem zniknął nam z oczu, lecąc rzeczywiście na południe, w kierunku Nigru.

96

— Nie wróg, lecz przyjaciel numer jeden! — zawołałem ubawiony, wiodąc palcem za odlatującym ptakiem.

— Eh bien! Niech i tak będzie! — zgodził się Chavot. — Ale kulę jednak dla niego przygotuję!...

W następnych dniach zapowiadało się więc ciekawe polowanie na orła, a raczej czyhanie człowieka na orła. Tymczasem Chavot odłożył strzelbę, dobył długiego noża i poszedł zarżnąć jedno z podrostłych

jagniąt.

Była niedziela i był gość w domu.

Mandingowie

Dość późno po obiedzie — po pysznej wątróbce i wspaniałym schabie jagnięcym — wyruszyliśmy kamionetką Chavota na polowanie.

Podjechać samochodem — tłumaczył gospodarz — można było do antylop na dwadzieścia kroków, gdyby natomiast podchodzić pieszo — wyrywały z daleka, aż się kurzyło.

Kamionetką była nieoceniona, na medal, deux cheveaux citroena. Sześć litrów zużycia na sto kilometrów, nośność jednej tony, a własna waga pół tony, piórkowa: przeciętny śmiertelnik, wcale nie siłacz, mógł łatwo unieść tył auta i przesunąć go w bok. Rzekłbyś zatem, że to tylko blacha, ale blacha wytrzymała jak beton.

Okolo pół kilometra od siedziby Chavota zauważyliśmy na jego dawnym polu ryżowym dwie rude małpy, pocieszne stworzenia, dość duże i o gębach arlekinów. Później, kiedykolwiek przejeżdżaliśmy tędy w ciepłej porze dnia, one zawsze, niezmiennie tu figlowały o sto metrów od drogi, szukając jakiegoś żeru, zapewne owadów. Za każdym razem cieszyliśmy się miłym widokiem rudasów; były punktualne jak zegarki i niezawodne jak sumienni urzędnicy.

Zwierzyna przebywała zwykle na skrajach bowalów, tam gdzie wypaleń izny przechodziły w gąszcz, ale dziś nie napotkaliśmy nic: kapryśny urok łowiectwa. Przejechaliśmy natomiast przez kilka wiosek i Chavot opowiadał mi o ludności. Zżył się z nią od lat, cenił ją wysoko i

sam był nader lubiany. Z nowymi władzami szedł zgodnie ręka w rękę; gdy w którejś wiosce ujrzelśmy opodal drogi nowiuteńki gmach z cegiel, biało tynkowany, okazały choć parterowy — Chavot wyjaśnił, że to ludność sama sobie wybudowała tak śliczną szkołę dobrowolną pracą w ramach tak zwanej inwestycji ludzkiej, ruchu obecnie bardzo popularnego w Gwinei, a on, Chavot, dostarczył tu desek ze swego tartaku.

Chciałem wysiąść i podejść do szkoły, by ją z bliska sfotografować, ale Chavot ostrzegł, żebym tego nie robił. Mogłyby spotkać nas przykrości. Mieszkańcy tej wsi, przejęci swym nowoczesnym posłannictwem, nawet jemu dawali się we znaki. Teraz gotowi krzywym okiem ocenić fotografowanie nowego obiektu przez obcego Europejczyka i zatrzymać go na kilka godzin, albo i dłużej.

— Dlatego że szkoła to tajemnica państwowa? — zapytałem rozweselony.

— Nie — odparł — niezupełnie tak, chociaż może trochę...

— Albo że biały człowiek zaczaruje im budynek?

— O, to już bardziej możliwe! — wykrzywił jowialnie usta. — Niedarmo od kilku wieków biali ludzie dokładali tu tylu starań, żeby wyrobić sobie markę złych czarowników...

97

Więc z zatrzymanego na chwilę samochodu tylko z daleka, ukradkiem, zrobiłem zdjęcie szkoły i szu! jazda dalej.

— Szkoła — objaśnił Chavot — od pół roku stoi gotowa, ale wciąż

nieczynna. Bolączka Gwinei: brak nauczycieli...

W innych wsiach mieszkańcy odnosili się do nas bardzo życzliwie:

Chavota, dobrego znajomego, wszędzie przyjaźnie witali, mnie również.

Kształtny typ ludzi, roslých, o otwartym, bystrym spojrzeniu, ogromnie

mi przypominał przystojnego Kondego Alseny, starostę Kundary;

pochodził on z tego samego ludu Mandingów. We wsiach, przez

nas odwiedza-

150

151

nych, mieszkali przeważnie Mandingowie. Tu zaczynał się ich kraj.

Utkwiło mi w pamięci, jak zarozumialec Diallo traktował wtedy

Kondego z lekka przez nogę nie tylko dlatego, że on sam, szlachcic

fulbejski, uważał się za pana, a Konde pochodził z gminu, ale przede

wszystkim dlatego, że on należał do dumnego narodu Fulbejów, Konde

zaś tylko do Mandingów.

Jakaż niesprawiedliwość, jaka nieznanomość historii! Kto wbijał

Fulbejów w taką bzdurną pychę, Francuzi? Już pomijam fakt, że Sęku

Turę, dzielny prezydent obecnej Gwinei, jest Mandingiem, tak samo jak

był nim Samori, jego dziadek, wielki wódz i twórca w tych stronach

ostatniego w dziewiętnastym wieku państwa afrykańskiego. Ale

dłaczego zapominać o pełnej chwały dawnej przeszłości. Przecież jedną

z trzech dawnych wielkich potęg afrykańskich, obok Ghany i Songhoj, i

to najświetniejszą, było mocarstwo Mali, stworzone przez Mandingów,

a istniejące nad górnym i środkowym Nigrem od XI do XVI wieku. Jego

wysoki poziom dobrobytu, cywilizacji i kultury, bodaj czy nie wyższy niż w ówczesnej Europie, z podziwem opisywali kronikarze arabscy, zwiedzający słynne państwo. Ich opisy dokładne i rzetelne, jak stwierdziły badania uczonych, dają rewelacyjne świadectwo wyraźnym zdolnościom Mandingów do tworzenia dóbr kulturalnych i złożonych organizacji państwowych, a że uzdolnienia nie przepadły z upływem wieków, dowodzi tego historia ostatnich czasów.

Przemierzane przez nas wioski sprawiały wrażenie ubogich dziur, zagubionych w bruzie, i trzeba było żywej wyobraźni, by uzmysłwić sobie wielką przeszłość Mandingów. A była wielka, bujna i burzliwa, naładowana niebywałą namiętnością. Z natłoku przedziwnych wydarzeń, wzlotów, postaci patetycznych, szaleństw niezmiernych wybierzmy choćby dwa epizody.

Niewielkie królestwo Mali istniało już dwa wieki nad górnym Nigrem i, podobne do dziesiątków innych państewek afrykańskich, żarło się lub na przemian kumało z sąsiednimi królestwami. Jeden z tych sąsiadów, władca krainy Soso, porósłszy w XIII wieku w piórka i w butę, zamarzył o sławie

152

i podboju ziem nad Nigrem. Nieudolność ówczesnego króla Mandingów ostrzyła zaborcze apetyty sąsiada, ale król ten, aczkolwiek sam fajtlapa, miał silny atut: całą furę synów w liczbie dwunastu, srogich wojaków i rębaczy z wyjątkiem jednego tylko niedojdy. Władca Soso lubił solidną robotę: podstępnie nasłał na Mali siepaczy i ci ukatrupili

jedenastu królewskich junaków, przy życiu pozostawiając jeno dla śmiechu dwunastego, kalekę, połamańca, jakieś chuchro, z którym nikt sensowny się nie liczył.

Aż tu okazało się niezadługo, że robota władcy Soso była jednak fatalnie partacka. Ów dwunasty, rzekomy charłak za młodu, wyrósł nad podziw na lwa, lamparta, orła i węża. Straszłą zemstę poprzysiągł zabójcy braci i wywarł ją po kilku latach; zwoławszy gromadę kumpli, natchnął ich żądzą walki i poprowadził na Soso. Starł wroga na proch, nikczemnego króla kazał zakłuć.

Porwany zwycięstwem, zapalał chęcią udowodnienia światu, do czego był zdolny. Na południu istniało rozległe mocarstwo Ghana: rzucił się na nie, zdruzgotał, zadając mu śmiertelny cios, i wcielił do swego państwa. Podobną dolę zgotował innym sąsiadom, a gdy umierał, imperium Mali, jakie stworzył, było największym państwem w Afryce: przeniesione na nasz kontynent objęłoby swymi granicami całą zachodnią i środkową Europę.

Bohaterski zdobywca przeszedł do historii jako Sundiata Keita i jeszcze dziś grioci Mandingów wyśpiewują hymny na jego cześć. Był niezawodnie genialnym wodzem i wielkim twórcą państwa, jakimś afrykańskim Napoleonem, ale czy zostałby nim, gdyby nie tragiczne wypadki za młodych lat? Napiętnowano go wówczas mianem safandudy: przez całe życie zmywał z siebie to piętno, a zmywając, dokonywał wiekopomnych czynów.

Dzięki sprawiedliwym i mocnym rządom państwo Mali rosło w potęgę przez następny wiek. W niespełna sto lat po Sundia-cie Keita panował najgłośniejszy

z

władców,

Kankan

Mussa,

prototyp

owych

legendarnych władców z bajek wschodnich.

153

A może Kankan Mussa sam wzorował się na tych bajkach i w swym szlachetnym dziwactwie wprowadzał je w czyn, nie stroniąc od uroczego absurdu?

Mandingowie już od trzech wieków byli mahometanami — o wiele wieków wcześniej niż pyszałkowaci pod tym względem Fulbeje — i znakomity Kankan Mussa postanowił, ówczesnym zwyczajem, uwieńczyć swe chlubne życie pielgrzymką do Mekki. Wybrał się w 1324 roku z pompą i przepychem, zaćmiewającym wszystkie słynne dotychczas pielgrzymki. Sześćdziesiąt tysięcy osób liczył jego orszak, a co było w Mali najszlachetniejszego, najcelniejszego — dostojni wodzowie, piękne kobiety, bogactwa nieprzebrane — szło razem z nim. Pięciuset krzepkich niewolników uginąło się pod ciężarem samych sztab złota, a ile było innych kosztowności?

Do dziś przechowało się wiele opisów słynnej pielgrzymki w kronikach arabskich, a między innymi Tarik el Fetach pisał o zdumiewającej fantazji władcy: gdy od wielu tygodni pielgrzymka brnęła przez okropną pustynię, cierpiąc coraz bardziej na brak wody — pewnego dnia ulubiona żona Kankana żaliła się, że jest cała brudna od kurzu i tęsknie wspominała piękne dni, gdy mogła kąpać się w nurtach Nigru. Rozczulony władca bez wahania rozkazał wykopać w piasku głęboki i długi rów i wlać do niego tysiąc bukłaków z ostatnich zapasów wody, aż powstała mała rzeka, w której pławić się mogła uszczęśliwiona wybranka oraz liczne jej służebne. „Daleko słychać było — pisał

99

sumienny kronikarz — objawy zadowolenia i rozkoszy ochoczych niewiast”.

Kankan Mussa, straciwszy tylko połowę orszaku, z resztą pątników szczęśliwie dotarł do Mekki, po drodze i u świętego celu hojną ręką sypiąc dokoła złotem. Po dokonaniu należnych modłów wracał przez Kair, gdzie zabrakło mu funduszy. Taka była sława jego hojności, że tysiące wielbicieli i darmozjadów garnęło się do jego świty, by ogrzać się w szczodrym blasku, a wielkoduszny władca nikomu daru nie odmawiał. Na szpę-ście znaleźli się w Kairze ufni bankierzy, którzy wyłożyli mu tyle pieniędzy, ile sobie życzył.

154

Gdy zbliżał się do ojczystych krain nad Nigrem, miał tylko wygłodniałą garstkę towarzyszy, a zupełną pustkę w trzosie. Jednak dziękował Allahowi, że pozwolił mu zaprzyjaźnić się z poetą Ibrahimem es Saheli: poznał go w Arabii, polubił i prowadził do Mali. Kankan Mussa, ujmujący ekscentryk, był równocześnie opiekunem nauk i sztuk. Allah naprawdę błogosławił: w czasie nieobecności władcy wierne mu wojska rozszerzyły granice państwa, zdobywając ważne miasta, Timbaktu i Gao. Ibrahim es Saheli zaś okazał się nie tylko poetą, lecz twórczym architektem. On to wprowadził w państwie Mali nowy styl meczetów w kształcie olbrzymiej kopuły.

Taki kopulasty meczet widziałem we wsi Kamabi w okręgu Jukunkun, a później w mieście Dingiraj.

Strach

Godzinę przed zachodem słońca jeszcze ciągle oddalaliśmy się od domu, wypatrując w brussie zwierzyny. Przed nami na niebie zamajaczył wysoki słup dymu; palił się szmat lasu.

Chavot na ten widok zrobił zdziwioną minę, co było dla mnie niespodzianką: w ostatnich tygodniach wszędzie widziało się tyle pożarów lasu, wznieczanych rozmyślnie przez ludność, że już do tego się przyzwyczaiłem.

— To dziwne, że pożar? — spytałem wręcz.

— Trochę dziwne! — odrzekł. — Dziś trzeci stycznia, a od pierwszego

istnieje ostry zakaz palenia lasu, wydany przez władze.

— Więc z tego wynika, że w tej głuszy ludzie bimbają na zakazy władz!

— stwierdziłem pogodnie, a Chavot przytaknął mi kiwnięciem głowy i

rzecz, mało nas zresztą obchodząca, poszła w zapomnienie.

Jadąc dalej, dotarliśmy wnet do wsi dość ludnej, Bunu, a że było już

późno, postanowiliśmy stąd zawrócić. Pośrodku

155

wsi ujrzałem niedaleko drogi palmę oleistą z licznymi gniazdami,

zawieszonymi na gałęziach. Były to gniazda tkaczy. Wskoczyłem z

kamionetki, pośpieszyłem do drzewa, sfotografowałem gniazda z bliska

i po trzech, czterech minutach wracałem do samochodu.

W tym czasie zbiegło się uderzające mnóstwo mieszkańców wsi,

kilkudziesięciu mężczyzn i wyrostków, i toczyło z Cha-votem

podnieconą, jakby kłótliwą rozmowę. Francuz wysiadł z auta, i stojąc

obok drzwiczek, coś im żywo tłumaczył. Obstąpili go ciasnym kołem,

byli podrażnieni i wskazywali często to na samochód, to na Chavota, a

100

najczęściej na mnie. Coś im się nie podobało. Czy to, że bez ich zgody

fotografowałem niewinną palmę?

Chciałem już wyciągnąć z portfela czcigodny a niezawodny glejt, mój

list żelazny, pozwolenie gwinejskiego Ministerstwa Informacji na

popętnianie zdjęć — gdy podszedłszy do samochodu dowiedziałem się, że

nie o to chodziło. Mieliliśmy inne przewinienia na sumieniu. Ale jakie,

czego się dopuściliśmy, w czym tkwił nasz grzech? Kaci wiedzieli.

Zastalem Cha-vota żarliwie się uniewinniającego, że przybyliśmy tu tylko przypadkowo, nic nas nie przywiodło, naprawdę nie mieliśmy żadnego celu i chcieliśmy zaraz wracać.

— Czemu akurat stąd chcieliście wracać, czemuście nie jechali dalej?

Powiedzcie prawdę! — domagali się zebrani w ich rodzinnym narzeczu.

Chavot znał ich język, ale wolał rozprawiać z nimi za pośrednictwem

tłumacza, co zawsze łagodziło ostrość sporu. Tłumaczem był

siedemnastoletni mniej więcej młodzian, jedyny w całym Bunu, który

nieco władał francuskim.

Owże młodzian szczególnie się zachowywał. Mocno dygotał na całym

ciele, a szczęki tak mu latały, że to wielce utrudniało mówienie i

nieborak potwornie się jękał. Na to zjawisko, bijące w oczy, zwróciłem

głośno uwagę, chcąc jakoś odciągnąć mieszkańców od kłótliwych,*

zapędów.

— Co tobie? — dopytywałem się tłumacza współczująco. — Czemu się

tak trzęsiesz?

156

Chłopak stropił się. Przestał drzeć, ale tylko na chwilę. Dłużej nie mógł

opanować drgania; było silniejsze niż jego wola.

— To pewnie malaria! — podjął Chavot skwapliwie.

— Oui, monsieur, oui! — zawtórował młodzieniec z przejęciem. — Ja

chory na malarię!

Znałem objawy malarii, ale to nie przypominało mi tej choroby,

wyglądało na coś innego. Na strach? Ale przed czym? Ze swym

niezrozumiałym podnieceniem ludzie robili wrażenie dotkniętych jakimś niebezpiecznym bzikiem. Gdy tłumacz zajęty był przemawianiem się z nimi i swarzeniem, zerknąłem na Chavota.

— O co im właściwie chodzi? — szepnąłem.

— Nie wiem! — odrzekł półgębkiem. — Coś mi się zdaje, że jakieś wielkie zło zaszło dziś we wsi i tak ich wyprowadziło z równowagi...

— Zbrodnia?

— Może i zbrodnia. Ale myślę, że chodzi im o ten pożar lasu. Obawiają się może drakońskiej, przykładowej kary...

— Ale co my mamy do tego?

— Oo, bardzo wiele! Biorą nas za urzędową komisję śledczą, stąd ich wrogość...

— Nas, białych, za komisję?

— W takie subtelności oni nie wchodzi. Są nieprzytomni ze strachu.

Można się po nich wszystkiego spodziewać...

— Ale przynajmniej nie zaaresztowania nas... — zażartowałem.

— Nie, natomiast czegoś gorszego!... — zaśmiał się nerwowo.

W istocie byliśmy w kaducznym położeniu. Wieśniacy obiegli nas tak szczelnym kręgiem ciał, że ledwo zdołaliśmy się ruszać; nawet odwrót do drzwiczek samochodu był odcięty. Niektórzy, rozgorączkowani,

101

wymachiwali rękoma i głośno wmawiali tłumaczowi swe domysły, inni mieli zacięte miny, ponure spojrzenia, a ręce trzymali pod fałdzistymi bubu, jak gdyby tam coś ukrywali.

Średnia przyjemność — pomyślałem sobie z szubienicznym humorem —

gdyby nagle spod bubu dobyli broni...

157

Tymczasem tłumacz uporczywie powtarzał nam swą utartą litanie,

trzęsąc się coraz bardziej:

— Dlaczego, ach, dlaczego przyjechaliście do naszej wsi?

— Przechadzka, polowanie...

— Czemu akurat do nas, a nie gdzie indziej? Czemuście się tu

zatrzymali, a nie jechali dalej?

— Żeby fotografować palmę z gniazdami...

— Czy gdzie indziej nie ma palm?

— Są, ale ta najładniejsza...

— Czy najładniejsza, bo w naszej wsi, właśnie w naszej wsi?

I tak bez końca. Podziwiałem anielską cierpliwość i niezmacony takt

Chavota.

Najposeępniej wpatrywał się we mnie sołtys, starszy Man-dingo z siwą

bródką i w białym, odświętnym bubu. Nie spuszczał ze mnie surowego

wzroku. Czego nie wyrabiałem, żeby wywołać na jego licu chociaż cień

przychylnego grymasu. Nic. Stałem mu cały kuszący wachlarz

najśłodszych uśmiechów — bezpłodne zaklęcia, daremne umizgi, plajta.

W końcu sami mieszkańcy wsi zmęczeni się własną podejrzliwością i

wyraźnie nastąpiła odwilż w zawziętości wobec nas. Wtedy, chcąc

widocznie zyskać na czasie, poprosili nas, abyśmy poszli do jednej z ich

chat. Ale grzeczna odmowa Chavota tak ich od nowa rozdrażniła, że w

oka mgnieniu zaostrzył się kurs i posypały się znów dochodzenia.

W pewnym momencie Chavot zamierzał zbliżyć się do drzwiczek

kamionetki, ale oni, niby od niechcienia, zagradzali mu drogę.

— Do licha! — zawołał. — Chyba mnie dobrze znacie?!

— Ciebie znamy, ale tego drugiego nie! — i bez ogródek pokazywali

palcem "na mnie.

— To mój przyjaciel z Polski, przyjechał tu polować.

— Polować? A strzelby własnej nie ma!

*— Nie ma: moją mu pożyczam! **

— Może on przyjechał polować na palmy, i to koniecznie w naszej wsi?

158

Niektórzy razem z Chavotem zaśmiali się z dowcipu.

Nie wiadomo, jak długo trwałyby jeszcze indagacje, gdyby w obozie

naszych dręczycieli nie wybuchły niesnaski. Jak to często bywa, doszło

tam do jakiejś różnicy zdań. Jedni chcieli do lasa, inni do Sasa.

Nieporozumienie nabierało rozmachu, urastało do sprzeczki. O co się

kłócili, Chavot nie mógł wy-miarkować. Dość, że rozluźniło się dokoła

nas.

— Dobra okazja! — bąknął mój towarzysz i popychał mnie w stronę

auta. — Wiejmy.

Spokojnie, bez przeszkód, doszliśmy do drzwiczek i wsiedliśmy do

samochodu. Ludzie dokoła nas widzieli to, ale teraz tak byli

102

zacietrizewieni wyklócaniem się między sobą, że nami i sprawą naszego

odjazdu przestali zaprzętać sobie rozgorzałe lepetyny.

Nagły przeskok w ich zainteresowaniu zadziwił mnie niemało i wydał się wręcz komiczny.

— Ależ to temperamentne chłopcy! — roześmiałem się.

— To, co pan widzi, jest ogromnie znamienne dla wielu Afrykanów: zdolni do wariackiej zmiany frontu. Jakaś szczególna właściwość usposobienia...

Gdy tamci wciąż zajęci byli sobą, Chavot najpierw wycofał samochód — pomaleńku, żeby nikogo nie najechać — swobodnie nawrócił, a potem wyrwał co gazu naprzód. Podczas nawracania spojrzałem do tyłu:

tlumacz już się nie trząsnął, wyraźnie to dostrzegłem. Minął jego strach.

Wieść o naszej przygodzie rozeszła się szybko po okolicy i w dwa dni później dotarły do nas słuchy o wojowniczych zamiarach mieszkańców

Bunu: ponoć niewiele brakowało do sprzątnięcia domniemanej komisji śledczej. Chodziło rzeczywiście o wzniecony pożar lasu.

Czy godziło się zejść z milego świata w tak szkaradnej głuszy?

Pocieszna ironia strachu: oni bali się za bardzo, my za mało, a jedni i drudzy byliśmy w błędzie.

Tomek

Z objazdu wróciliśmy raczej zwarzeni. Nie zajściem we wsi Bunu, bo to była ciekawa przygoda, ale zgnębieni brakiem zwierzyny. Po nocnej efektownej rewii, zgotowanej nam przez antylopy koby, można było się spodziewać, że za dnia więcej doznamy wrażeń i niespodzianek. Tak zapowiadał Chavot.

Tymczasem nic nie nastąpiło, żadnej zwierzyny nie ujrzeliśmy.

Zjechaliśmy dobre kilkadziesiąt kilometrów brussy, Chavot wskazywał mi miejsca, gdzie trzy dni temu żerowało stado antylop krowich, w innym ustroniu, na błotnym grzęzawisku, tarzała się niedawno wataha dzików guźców, na tamtym bowalu zaś stały przedwczoraj koby o sto kroków od drogi. Miły gospodarz ożywiał ostępy wspomnianiem napotykaney w ostatnim tygodniu różnorakiej a licznej zwierzyny, lecz dziś, jak na złość, knieja ziała pustką. Z wyjątkiem oczywiście wszędobylskich małp.

W Daboli Chavot obiecywał mi, że doświadczę bogatych przeżyć w jego brussie, więc naszym niepowodzeniem owego dnia przejmował się więcej niż było warto. Moje zapewnienia, że doskonale znam chimery przyrody, nie uspokajały go; po prostu nie chciał uchodzić w mych oczach za blagiera. Rozmawialiśmy o tym już w czasie powrotnej jazdy i następnie przy kolacji. Chavot, usprawiedliwiając się, opisał mi ludzką i zwierzęcą geografię okolicy.

Jego dom leżał o jakieś dziesięć kilometrów od miejsciny Saroya, gdzie był dworzec kolei żelaznej, wiodącej w kierunkach zachodnim i wschodnim, od Konakri i Daboli do Kurussy i Kankanu. Otóż linia kolejowa przecinała tutejszy kraj na dwie części, różniące się między sobą: na północ od linii była brussa i — mówiąc z grubsza — cywilizacja, bo tu ciągnęła się bita droga z Daboli do Kurussy i gdzieś tam znajdowały się wioski; natomiast na południe od kolei rozpleniały się jedynie dzikie leśne wertepy, przecięte Nigrem, rzadko tylko zaludnione

lub prawie bezludne.

Z powyższego wynikał prosty wniosek. Na północy, gdzie

103

160

WER

suszących

znajdował się dom Chavota, jeszcze co prawda koczowała stadami zwierzyzna, ale z natury rzeczy ostrożna i z lekka przetrzebiona. Za to niepomernie więcej było jej na południu: tam nierzadko słonie, dzikie bawoły, lamparty i przeróżne antylopy buszowały zuchwale w chaszczach, a w Nigrze swawoliły hipopotamy, czaiły się krokodyle.

— Do Nigru niedaleko — mówił Chavot. — Trzydzieści kilometrów z okładem.

— Czy można by dojechać samochodem?

— Nie, dróg tam nie ma, są tylko ścieżki. Można by rowerem...

Kolację jedliśmy w piątkę: Chavot i ja siedzieliśmy z jednej strony stołu, Fulbejka, Paul i Jean-Paul z drugiej strony. Rozmawialiśmy tylko my dwaj, zmiatając śmieie jagnięcinę z ryżem i popijając cienkim winem stołowym. Przypomniałem sobie, że z Konakri przywiozłem smaczne keksy francuskie. Skoczyłem do mego worka podróżnego i oprócz paczki keksów wyciągnąłem manierkę z wódką.

Keksy ofiarowałem żonie Chavota, ale ona, przyjąwszy dar, zaraz wręczyła go synom, którzy do smakołyków zabrali się ochoczo i z miejsca, wszakże z godną uznania powściągliwością: zakąsili tylko po jednym czy po dwa keksy, następnie, dobrze wychowani w duchu jakiegoś leśnego protokołu, resztę paczki oddali matce. Wszystkie trzy osoby, biorące w tym udział, miały uroczyste miny, jakby przejęte

ważną ceremonią.

Tymczasem więcej życia toczyło się po naszej, Chavota i mojej, stronie stołu. Manierka, w której miałem wódkę, była z plastyku.

Bardzo piękna z wyglądu, zażywała u mnie idiotycznego szacunku, stanowiła bowiem pamiątkę z Kambodży, gdzie ją kupiłem za dolara na targowisku w Pnom Penh — ale równocześnie była ona plugawym, niewdzięcznym ladaco: plastik zawzięcie od trzech lat śmierdział chemicznym świństwem i każdy płyn nasycił smrodem lizolu. Toteż i wódka trąciła przedpiekłem, ale, dziw, Chavot przyjął ją z miłą chęcią, żądny widać mocniejszego trunku. Piliśmy więc, krzy-

11 — Nowa przygoda

161

wiliśmy się a pili, kręciliśmy nosem a pociągali, odważni, skrzydlaci i coraz weselsi.

Chavotowi nie dawały spokoju południowe ustronia obfitujące w zwierzynę. Tam roilo się od niej, to nie ulegało wątpliwości, i tam można było jeszcze doznać prawdziwej, dawnej Afryki. Nad Nigrem leżała miła wieś, którą Chavot znał, choć nie pamiętał jej nazwy. Do wioski ścieżkami można byłoby dotrzeć na rowerach, zamieszkać w niej przez trzy, cztery dni i polować w pobliżu. W Saroyi łatwo pożyczyć rowery, z Saroyi też warto by zabrać na wycieczkę Mamadu Omara, najlepszego w tych stronach myśliwego i tropiciela — a wyruszywszy za dwa lub trzy dni, można by wrócić za tydzień. Raptem kilka dni straty, a ileż wrażeń, przygód!

Mówiąc to Chavot nie przyrzekał mi złotych gór, jak ognia wystrzegał się przesady, ale właśnie z jego wstrzemięźliwych słów i szczegółów wyrastał obraz bogaty i okrutnie kuszący. Ostatecznie czasu miałem dość, tych kilka dni nie ważyło wiele, a sposobność nastroczała się nad wyraz dogodna i może jedyna: należało z niej skorzystać. Poznać dziś okolice Nigru w takich warunkach, w jakich rzeka istniała przed stu czy więcej laty, za czasów jej pierwszych europejskich odkrywców, mogło stać się arcywycieczką przeżyciem.

— Więc jedźmy tam! — przystałem.

— Świetnie! — szczerze ucieszył się Chavot. — Jutro wydam w tartaku bieżące polecenia i pojutrze kopniemy się nad Niger!

Na chwilę wyszedłem z domu. Na dworze panował wciąż tęgi upał, choć dawno już zaległy gęste ciemności. Świerszcze rozwydrzyły się w drzewach gaju i na razie słychać było tylko ich metaliczny świst, nic więcej. Później, w nocy, nadejdzie chłód i zjawią się hieny.

Wróciwszy do domu, wydobyłem z mego worka płaską, ćwierćlitrową butelkę węgierskiej śliwowicy, którą dostałem przed wyjazdem z Polski od jednego z mych przyjaciół, Tomka.

— Miałem ją wypić przy podniosłej okazji, gdy będę

dzielić z kimś radosny nastrój! — wyjaśniłem. — To zatem dzisiaj!

Śliwowica, według mego smaku, trąciła zanadto bimbrem, ale Chavot wpadł w nie tajony zachwyty, gdyż akurat taki tru- nek przypominał mu*

jakieś szczęśliwe dni z dawnych, młodzieńczych lat, gdy przebywał w Czarnym Lesie w Niemczech, gdzie rozkoszował się podobną w smaku nalewką. Widząc jego wzruszenie oświadczyłem, że nie będziemy już dziś pili; niech resztę sobie schowa na później.

— Natomiast temu Tomkowi warto by kilka słów poświęcić! —
zapowiedziałem.

I jak Chavot przed chwilą wybiegał myślami na południe, a ja dążyłem za nim olśniony wizją obfitości zwierzyny, tak teraz, na odwrót, ja jego ciągnąłem na północ i czarowałem tęczowym widmem niepowседневnej postaci. Na czym polegał wyjątkowy wdzięk tego człowieka?

Gdy kiedyś, darując mu książkę, napisałem w dedykacji dość szumnie:

„największemu kochankowi życia”, była to święta prawda: życie

kochało Tomka, ale i on kochał je płomienniej niż większość ludzi.

Stwarzając przedziwny stop ludzki, umiał łączyć w sobie trzeźwą

praktyczność z niezmożonym darem młodzieńczego zapału i uniesień.

Stał mocno na szarej ziemi, oj, i jak mocno! a przecież to mu nie

przeszkadzało widzieć świat w barwach tak powabnych, że ciągle

zachwycał go na nowo. Przy tym, rzecz znamienne, nie był samolubnym

pięknoduchem, estety żującym Petroniuszem, lecz czymś w rodzaju

radu, bezustannie promieniującego dokoła uciechą, dobrocią i

entuzjazmem.

Co go cechowało najbardziej, to niewyczerpana uczynność, jakaś pasja

pomagania ludziom i sprawiania im przyjemności.

Widać byłOj że moja opowieść zaciekaWiła Chavota. Na tym

afrykańskim odludziu zapewne nie miał druhów, bliskich sercu, więc obraz dalekiego przyjaciela spadał tu jak kropla wody na suchy piasek.

Czy na tym właśnie mi zależało, by rozpaścić wyobraźnię gospodarza?

— Niezwykły typ, szczęśliwy człowiek! — przyznał Cha-

105

163

vot i stał się nieśmiały, jakby oszołomiony wizją czegoś pięknego.

Prosił, żebym opisał dokładniej wypadki poświęcania się, przytoczył szczegóły z życia Tomka. Istniało ich mnóstwo i trudno było wybierać, ale chociażby takie dwa przykłady dawały o nim pewne pojęcie:

podczas okupacji hitlerowskiej w okresie wojny Tomek oczywiście należał do tych Polaków, którzy, pomimo że sami w opałach, z narażeniem życia pomagali prześladowanym Żydom. Przez całą wojnę ukrywał u siebie małą dziewczynkę, sierotę Żydówkę, i w istocie udało mu się ocalić ją od śmierci.

Rzecz prosta, że taki człowiek jak on, serce gołębie i czułe, przez całe życie szukał swego ideału. Gdy znajdował godną uczucia, jak mu się zdawało, dziewczynę, niezależnie od tego, czy zasługiwała na to czy nie, zamieniał się w jakiegoś kapłana poświęcenia, ofiarowywał jej najpiękniejsze uczucia, był wzruszająco troskliwy, wychodził z siebie, żeby jej ułatwić życie, pragnął dawać wszystko, co było w nim najcenniejszego^ Gdy jej wykształcenie szwankowało, odczuwał nieprzepartą ambicję i równocześnie przyjemność w tym, żeby

umożliwić jej dalsze studia, posyłać ją do szkół i zrobić z niej

wartościowego człowieka...

— A czy spotykała go za to należyta wdzięczność? — zapytał Chavot po chwili milczenia.

— Różnie bywało! — odrzekłem. — Ale to nie było istotne! Znacznie ważniejsze okazywało się jego własne, ludzkie zadowolenie, że mógł być dobry dla kogoś, że mógł coś dawać. I to dawać — podkreślam — nie jako mazgaj czy dobro-duszniak, lecz w poczuciu swej szlachetnej, twórczej, męskiej siły.

— Jakże pan ślepo za nim przepada! — zawołał Chavot, serdecznie przejęty.

— Chyba nie ślepo, bo przy wszystkich jego zaletach widzę także minusy. Ta uczuciowa wrażliwość[^] platała mu czasem figla, wywoływała u niego samego, rzadko co prawda, pewne zgrzyty, co było chyba dość zrozumiałe przy jego uczucio-

164

wości. Otóż takie zgrzyty odbijały się na bliskim mu" otoczeniu. Jednak były to tylko krótkie spięcia: znikome, nieczęste, szybko przemijały i mało znaczyły wobec ogromu jego prawdziwych walorów.

Gdy zamilkliśmy na chwilę, słychać było ze dworu odległe szczekanie, niby psie i niepsie.

— Hieny! — rzekł Jean-Paul.

Chavot wziął ze stołu butelkę śliwownicy i wstrząsając nią spojrział na jej zawartość pod światło lampy.

— *Jaki piękny złoty płyn!* — rzekł z uśmiechem. — *Przez złoty kolor
widzę owego przyjaciela w Polsce... Jakże chciałbym go widzieć na
jawie!*

— *Na to tylko jedna rada: przyjechać do Polski i skorzystać z naszej
gościny...*

*Chavot był tak wzruszony, że przyjazd do Polski nie wydał mu się rzeczą
niemożliwą. W tej chwili zapomniał o południu i Nigrze, głowę*

106

*zaprzątnęła mu północ. Oczy jego błyszczały zapalem. Stwierdziłem to z
zadowoleniem: oddałem mu pięknym za nadobne.*

Dzioborożec

*Następnego dnia rano, jeszcze przed moim śniadaniem, Chavot odwiózł
synów do szkoły w Saroyi, a wracając, zastrzelił po drodze wielkiego
dropia. Sfotografowałem myśliwego i zdobycz, po czym boy, Mansale
Kuli, wziął na odwagę i również poprosił o uwiecznienie go. Spełniłem
jego życzenie, a że i *l'appetit vient en mangeant* *, życzenie także i żony
Chavota. Wczoraj jeszcze mocno przeczyła głowę i odpędzała się jak od
szatańskiej pokusy, dziś natomiast, obwarowana nową suknią,
barwnym turbanem tudzież zegarkiem męża na ręku — z takimi
amuletami już nie strachała się rolleiflexa.*

*Potem z Chavotem wyruszyłem kamionetką do tartaku. Słońce zdążyło
tymczasem osuszyć rosę, więc na ściernisku*

(fr.) Apetyt wzrasta w miarę jedzenia.

165

ryżowym ujrzeliśmy nieodzowne stadko rudych małp. Od ich bladych twarzy śmieszno-groźnie odcinały się czarne jak węgiel krzaczaste brwi, co wyglądało, jak gdyby aktor zaczął, lecz nie dokończył, charakteryzować się na zbója. Doskonała pogoda świetnie usposabiła małpy i mnie. One swawoliły rozbrykane i straszyły na nas imponujące brwi, mnie zaś chciało się ciągle nucić skoczne wariacje i powtarzać na różne tony haleluję: Piękny dzień, pyszny dzień!

Do tartaku mieliśmy dobre dziesięć kilometrów i po drodze napotykailiśmy tego dnia wyjątkowo wiele figlarnych i słynnych zwierzątek, wiewiórek ziemnych. W całej Gwinei, także w okolicach Konakri, było ich zatrzęsienie i, co dziwne, miały one zwyczaj pokazywać się zawsze przy drogach. Przezywano je też dlatego „podróżniczkami”. Zwinne filutki, równie pospolite jak gwinejskie rrfałpy, rzucały się wszystkim samochodziarzom w oczy. Znane jak zły szeląg i serdecznie lubiane, stanowiły utartą, niezbędną doprawę tutejszej przyrody. Przepraszam: lubiane były tylko przez Francuzów, Afrykanie natomiast, właściciele pól arachidowych, mieli co do nich wielkie zastrzeżenia i przylepiali im miano „złodziejek orzeszków ziemnych”, ponoć diablo słusznie.

Wiewiórki te cieszyły się wśród Francuzów tak wielkim wzięciem i sławą, że dostały jeszcze jeden przydomek, „szczurów palmowych” — rats palmistes, ale tu grubo przeholowano: jak bowiem zapewniali mnie przyrodnicy, wiewiórki ziemne nigdy nie wlażyły na palmy, ziemia im wystarczała. Ale nie triumfujmy zbyt pochopnie nad nieuctwem obcych,

skoro na własnym podwórku, i to w czcigodnym organie oficjalnym

Związku Literatów Polskich, bezceremonialnie kazano kiedyś uczciwej

rzece Orinoko włączyć się po puszczy brazylijskiej.

Wiewiórki ziemne są szare, poza tym jednak z postaci i zadartego ogona

podobne jak dwie krople wody do naszych, europejskich. Podróźni lubili

je, gdyż na drogach stanowiły duże urozmaicenie. Miały osobliwy

nawyk: gdy nadjeżdżał samochód, a wiewiórka siedziała, zwykle

ukryta na skraju zarośli, to zamiast przyczając się w gąszczu,

wyskakiwała na

107

otwartą drogę i zaaferowanym truchcikiem uciekała przed autem

kilkadziesiąt kroków. Potem niezmiennie na chwilę przystawała, by

doganiającego ją olbrzyma zmierzyć obrażonym czy pogardliwym

spojrzeniem — i w ostatniej chwili dawała nura w krzewy.

Owego

poranka

widzieliśmy

chyba

kilkanaście

wiewiórek.

Wypryskiwały zawsze w pojedynkę. Wszystkie wypłoszone zwierzątka

wykonywały za każdym razem, kubek w kubek, te same ruchy,

powtarzając skrupulatnie cały ceremoniał aż do śmiesznego spojrzenia

na końcu. Komiczne wisusy.

Tartak był niewielki. Składał się z kilku bud i jednej lepszej chaty, okrągłej, w stylu afrykańskim, służącej za sypialnię dla dwóch pracowników i zarazem za coś w rodzaju biura. Urządzenie do tarcia drewna zbudowano dowcipnie z najróżnorodniejszych części starego traktora, karabinu maszynowego i wyaranżowanego działka polowego. Sklecona tak maszyna wyglądała jak ostatnie nieboże, ale podobno od lat pracowała całkiem dorzecznie i prosto cięła tarcicę.

Przywitało nas głośnym „halo” pięciu młodych dziarskich robotników, Mandingów z okolicznych wsi. Stale tu zatrudnieni, tworzyli z Chavotem zgraną paczkę, pełną życia i życzliwości. Jako mechanicy zarabiali na pewno znacznie więcej niż wszyscy chłopi dokoła, więc uważali się za nowoczesną arystokrację pracy i byli wesoło zuchowaci, a zwłaszcza ich malowniczy prowodyr.

On też sam się naprosił, żeby go sfotografować, i miał rację. Młody elegant nosił fantazyjny amerykański sweter z grubego manczesteru i piękny napis „Kenny” na jednej stronie piersi, a tajemniczą okrągłą naszywkę i wieloznaczną na niej nazwę „Morrisville” na drugiej: głowę ozdobił sobie junak dumnym zydwestrem, zatem doskonałą aparycją nawiązywał do najlepszych tradycji filmów Dzikiego Zachodu, do chępliwej krzepy Toma Mixa, słowem: do Teksasu. Rozkoszą było fotografować go.

Przy pomocy swej czeladzi Chavot uruchomił wielki traktor i pojechał nim do lasu po drzewo, a pomocnicy hurmem po-

dążali za nim na rowerach. Na miejscu zostało tylko nas dwóch, ja i jeden z robotników, który zresztą wsiąkł gdzieś na dobre. Po ogólnej wrzawie uroczysta cisza zaległa zakątek. Udałem się do chaty mieszkalnej, by poczytać zoologię Gromiera. Ale tam przyjemny chłód tyle zwabił muszek, natrętnie włączących do oczu i uszu, że nie sposób było czytać. Nie zagrzałem kamyczka, a już wezbrała we mnie tęsknota do słońca, powietrza i drzew. Prędko opuściłem chatę.

Stała ona nieco z dala od zabudowań tartacznych, otoczona rzadkim lasem o drzewach tylko niektórych w pełnym listowiu. Po wyjściu z chaty ucieszyłem się na widok wielkiego ptaka — dzioborożca, siedzącego na wierzchołku pobliskiego drzewa. Było to dziwadło, któremu kaprys przyrody doczepił jak gdyby dwa olbrzymie dzioby, jeden nad drugim. Po chwili ptaszysko zerwało się i poleciało niedaleko, na szczyt innego drzewa. Opadło tam z widoczną ulgą, jak zmęczony starzec opada na fotel. Lecąc, biło mozolnie skrzydłami z donośnym szelestem — widocznie skrzydła miało zbyt słabe dla tak ciężkiego ciała.

108

Coś nie zgadzało się w tym ptaku. Był najwyraźniej przeżytkiem, skazanym na wymarcie. Ród jego w przeszłości albo zatrzymał się z jakichś przyczyn w swym naturalnym rozwoju, nie postępując naprzód odpowiednio do zmian w otoczeniu i w warunkach swego bytu — albo nie otoczenie ptaka się zmieniło, lecz on sam jakoś wynaturzał się,

niedoleźniał, podupadał. Ale zaraz wyłaniało się niepokojące pytanie:

dlaczego tak się stało? Dlaczego ten właśnie ptak tracił żywotność?

Dlaczego przyroda tysięcy innych gatunków stworzeń wyposażyła we

wszystko niezbędne do życia i rozwoju, umożliwiła im postępowanie,

że tak powiem, z duchem czasu, a tu naraz, w przypadku tysięcznym

pierwszym, jak gdyby strzeliła byka, jak gdyby zabrakło jej sił

twórczych, zawiodła jej żelazna konsekwencja, tak doskonale

stosowana do innych istot?

Kto dociecze przyczyn tego wyjątku? !"

Co tęższe mózgi ludzkości od wieków wysiłały się, by poz-

168

nać prawa przyrody i ujarzmić jej siły. A przecież jak wstydliwie mało

dotychczas działały, ile tu jeszcze do odrobienia! Niewykluczone, że

wkrótce będziemy użerali się między sobą o wysłanie konsulów na

Marsa. Tymczasem jednak sprawy naszej starej Ziemi, najistotniejsze,

najbardziej bezpośrednio związane z naszym bytem, najbliższe nam,

ciągle jeszcze pozostaną dręczącą tajemnicą. Wczoraj ginęły różne

dinozaury nie wiadomo jak; dziś przyroda obcina poczciwym

dzioboroż-com życionośne skrzydła i trudno nam zrozumieć dlaczego, a

jutro — komu pisana zagłada?

Pomyłka

Machnąłem ręką: śliczny, złocisty dzień nie nadawał się do

hamletyzowania. Ptak-dziwoląg już odtelepał się wśród drzew i znikł z

oczu. Zarzuciłem na ramię nieodłączną torbę z rol-leiflexem wewnątrz

(Hej, czasy! Dawniej, w okresie krzepy barbarzyńskiej, zarzucało się strzelbę!) i poszedłem na przechadzkę w stronę widniejącego w dali bowalu.

Gruchały gdzieś dzikie gołębie. Widziałem ich wiele nie tylko w Gwinei, ale później i w Ghanie :— były równie pospolite jak w Azji, w wietnamskiej krainie Sipsong Czothai. Choćby więc dusza nie wiem jak pragnęła zatopić się, zatracić w tej pustoszy afrykańskiej, nic z tego: znajome, łagodne bębnienie gołębi płatało figla i człowiekowi, czy chciał, czy nie chciał, przypominało o istnieniu świata. Było to ptasie radio.

Gapiąc się na to i owo, kroczyłem skrajem lasu po spalonej ziemi bowalu. A gdzie małpy? — ocknąłem się nagle rozbawiony, zadając sobie to pytanie. Długo nie potrzebowałem szukać: o dwieście kroków przede mną hasało kilka zwinnych kocz-kodanów. Stadko przyjęło pojawienie się człowieka niezadowolonym gulgotem, dając upust małpiemu oburzeniu, i wśród ociągań się zaczęło uchodzić w las. Bez popłochu, ale w złym

169

sosie. Gdy całkowicie zginęło w gąszczu, od razu umilkło jak trusia.

W tym miejscu bowalu znajdowało się wiele grzybów-termi-tierów; jak to zwykle bywało na wypalonych goliznach. Wyjątkowo okazał

109

kopczyki nęciły do zdjęć. Wyjąłem aparat i zacząłem je fotografować, a także siebie na tle bowalu.

*Zaraz na początku przechadzki zauważyłem sępa zauszniaka, toczącego
wysoko na niebie swe kręgi — widok w brussie i na sawannie dość
powszechny. Podczas mej krzątania przy aparacie sęp zniżył lot i
niedwuznacznie zainteresował się moją osobą. Sądziłem, że to zwykła
ciekawość i ptak przekonawszy się, że padliny tu nie ma, poleciał dalej.
Ale nie. Sęp opadł do wysokości około stu metrów nad ziemią i nadal
uporczywie krążył nade mną, nie spuszczając ze mnie pożądanego
ślepia. Krążył i krążył.*

*Zwariował, czy co? Sępy zazwyczaj szybują tak nisko wtedy, gdy
odkryją na ziemi ścierwo, ale jakiego żeru dopatrzył się tu ten hultaj?
Czyżby wziął mnie za trupa, czy myślał, że to jakiś zdychający
dzioborożec i tu mu kipnę? Może niecnota znał datę mego urodzenia i
stąd wysnuł pobożne nadzieje? Klnę się na wszystkie święte brody, że
tak wcześnie wykito-wać nie miałem chętki.*

*W przystępie dobrego humoru jeszcze raz się sfotografowałem, by
dokumentnie stwierdzić, czy wyglądam na truposza. Do kaduka! Nie
wyglądałem. Na zdjęciu, które później wywołałem, szedł między
termitierami sprężystym krokiem żywy, zdrowy mężczyzna, a nie żaden
łamaga ni umrzyk dla ścierwojada.*

*Jakże wtedy żałowałem, że nie miałem pod ręką Chavo-towego
mauzera. Olbrzymi sęp kołował powoli i na tej wysokości stanowił
niechybny cel. Był jeszcze potężniejszy niż orzeł-żongler, który pojawił
się nad domostwem "Chavota, i chyba dwa razy większy niż moje
znajome, południowoamerykańskie sępy urubu. Istny kolos, jasnoszary*

na brzuchu, nagi na głowie i szyi, o ostrym wielkim dziobie i okrutnych oczach — wydawał się wcieleniem brutalnej siły i drapieżności.

Gdy nieco później spakowałem manatki i ruszyłem w drogę

170

powrotną ku tartakowi, sęp rozluźnił swe powietrzne oblężenie i odleciał wyżej. Widać rozmyślił się; poznał swą pomyłkę, dał mi spokój. Przyznam się, że odczułem pewną ulgę: wariat, pomylenieć, ale mimo wszystko nie było to przyjemne wrażenie, gdy tak zawzięcie mnie okrężał.

Małpy, które przedtem spłoszyłem, musiały śledzić mnie przez cały czas zaczajone w gąszczu, bo gdy odszedłem kilkadziesiąt kroków, podniosły za mną zjadliwy krzyk. Zachłystywały się od szyderstwa, ze złośliwej radości beczwały jakimś niemałym głosem, rzucały za mną wymyślne obelgi, pewnie rozstawiały mi rodzinę po kątach.

— G...rze! — huknąłem na nie co sił. — Co ja wam złego zrobiłem?!

Naiwne pytanie! Nie trzeba robić nic złego, by być prześladowanym.

Małpy, stropione moim okrzykiem, trochę przycichły, ale tylko na chwilę. Potem od nowa posypał się za mną rześisty grad urągania i tak trwało dopóty, dopóki nie oddaliłem się na dobre. Cóż to było: nienawiść do człowieka czy tylko swawola małpiej łobuzerii?

Rozległo się donośne pykanie traktora. Chavot i jego czeladź wracali z głębi brussy. Traktor ciągnął na łańcuchu ogromnie gruby i długi pień, zapowiadający parę dni solidnej pracy w tartaku. Ludzie byli roześmiani i podnieceni, jak gdyby przytaszczyli z lasu najpiękniejszą

zdobycz. Pień znaczył dla nich chleb, ryż ostry sos „fonto” i pieszczotę żon. Więc ich radość życia była rzetelna, prężna i tak porywająca, że wobec niej wszelkie pomyłki w przyrodzie zdawały się schodzić na drugi plan, stawały się jakieś mniej ważne.

Omar

Pod wieczór tego dnia zjawił się u nas na rowerze wezwany Mamadu Omar, słynny myśliwy i tropiciel z bożej łaski, gotowy do wyruszenia z nami na polowanie. Przyprowadził ze

171

sobą trzy rowery, dla siebie i dla nas. Miał Omar pewnie czterdzieści lat, minę inteligentną, ciało żylaste, nędzną strzelbę kapiszonówkę i dawniej bardzo złą opinię.

Strzelba — przedpotopowy prymityw, lichota bez muszki i celownika — biła celnie co najwyżej na dwadzieścia kroków, zawsze równie niebezpieczna dla celu, jak i dla samego strzelca. W koloniach afrykańskich władze zakazywały posiadania lub sprzedawania krajowcom nowoczesnej broni ognistej. Pozwalały im posługiwać się tylko lichymi gruchotami i mieć niewiele zwykłego czarnego prochu, ażeby niewdzięczne bezecniki czasem nie wysadziły kontynentu w powietrze.

— Na czym polegała zła opinia Omara? — spytałem Chavota.

— Ach, to dawne dzieje! — gwiznął Francuz jowialnie. — Nie ma co głowy sobie tym zaprzętać! Dziś nie znam bardziej godnego zaufania

Afrykanina niż Omar!

— *A dawniej?*

— *Dawniej diabli wiedzą! Może to były tylko głupie plotki. Mianowicie podejrzewano go, że ludziom ucinał łby, ażeby osiąść ich czaszki i mieć dobre wyniki na polowaniu...*

— *O psiakrusz!*

— *Mandingowie są mahometanami od kilku wieków, ale dawne pogańskie zabobony siedzą u wielu z nich głęboko i chyba teraz dopiero nowoczesne szkoły wpuszczą tu powoli trochę świeżego powietrza. Ludzie, a szczególnie szczepy wyznające fetyszym, wierzą w różne uroki i tym podobne historie, które dla nas są bzdurstwem, a dla nich istotą rzeczy. Nie szukajmy daleko: tu w naszej Gwinei, pomimo że rządzonej przez postępową Partię Demokratyczną, na południu kraju w okolicach miasta Nzerekore, żyją szczepy fetyszy-stów, jak Toma, Gerce, Mano. Choć to dzielni plantatorzy kawy, dziś nawet dość zamożni, to przecież najważniejszą ich społeczną instytucją jest wciąż tak zwana szkoła leśna — wylęgarnia magii, czarodziejstw, swoistej mistyki, demonów, diabłów leśnych i tajemniczych obrzędów, podczas których o zabójstwo i .jakąkolwiek inną zbrodnię rytualną nie tak trudno było i może teraz jeszcze jest...*

172

— *A partia co na to?*

— *Nie od razu Rzym zbudowano. Partia zwalcza jaskrawe wybryki, ale do spraw religijnych trzeba przecież podchodzić w jedwabnych*

rękawiczkach — nie tylko w Europie, ale i w Afryce... — dodał

filuternie z porozumiewawczym mrugnięciem oka.

Cienie powoli wydłużały się między drzewami gaju przed naszym

domem; słońce stało już nisko na niebie. Była to dla nas chwila

111

wytchnienia. Chavot miał ochotę pogwarzyć na temat zawsze

porywający Europejczyków, mianowicie na temat umysłowości i

zwyczajów afrykańskich.

— Czy zna pan może historię ze złotem, zakopanym przez Niemca? —

zapytał z uśmiechem. — To ekscentryczna, ale i pouczająca heca! No, i

trochę niesamowita...

— Nie znam.

Działo się to pod koniec pierwszej wojny światowej. Cesar-sko-

niemieckie oddziały w kolonii Togo, przyparte do muru przez alianckie

wojska, musiały się poddać. Jeden z niemieckich oficerów nie chciał

dopuścić, by poważne zasoby złota wpadły w ręce przeciwnika, więc

postanowił je zakopać. Wybrał pięciu silnych tragarzy, obładował ich

skrzyniami złota i zaprowadził w ustronne odludzie w górach. Tam

kazał skrzynie zakopać i zatrzeć ślady. Ażeby nie pozostawić za sobą

żadnych w ogóle śladów, oficer w drodze powrotnej, o parę kilometrów

od schowka, zastrzelił wszystkich pięciu towarzyszy — praktyka

nierzadko stosowana także w czasie drugiej wojny światowej wobec

kłopotliwych świadków.

Zbrodnia dość szybko dotarła do wiadomości okolicznych szczepów, ale

— *dziw nad dziwy!* — *tylko u nielicznych ludzi wywołała oburzenie.*

Inni, i to przeważnie Afrykanie, odnieśli się do postępków oficera z uznaniem, ba, z podziwem: mądry człowiek, roztropnie postąpił!

Roztropnie, bo zabijając pięciu tragarzy w pobliżu złota, zmusił dusze do pilnowania skarbu. W mniemaniu okolicznych szczepów oficer nie mógł wybrać .sobie lepszych strażników niż te dusze.

Zresztą oficer w istocie wykazał roztropność, lecz nieco

173

innego rodzaju niż ogólnie mniemano. Mianowicie przewidział tok rozumowania ludzi i dlatego zastrzelił nieszczęsnych z dala od miejsca, gdzie zakopał złoto: obawiał się, że siaki taki zuchwalec, mniej lękający się duchów-stróży, gotów był szukać złota tam, gdzie leżeli zabici, więc zgładził ich o parę kilometrów od złota.

— *Se non e vero, e ben trovato!* * — *zauważyłem.*

— *Raczej e vero!* ** — *zapewnił Chavot. — A zwłaszcza,*

o ile chodzi o wierzenia pozagrobowe Afrykanów. Przecież do bardzo niedawna rozpowszechniony był zwyczaj — szczególnie w pasie puszczy tropikalnej — że po śmierci jakiegoś władcy lub w ogóle dostojnika zabijano jego niewolników, przyjaciół, żony. Zabijano, ażeby dusze ofiar służyły swemu panu również na tamtym świecie jak tutaj, na tym padole.

— *A jak wygląda sprawa ludożerstwa?*

— *Oczywiście, już nie występuje jako normalny zwyczaj,*

I nie chce mi się wierzyć, żeby gdziekolwiek istniało nawet w ukryciu,

*choćby w szczątkowej formie. Ale nie ulega wątpliwości, że żyje
jeszcze wielu starszych Afrykanów, którzy w dawnych czasach poznali
smak ludzkiego mięska...*

Nagle Chavotowi rozbłyły oczy, przypomniał sobie coś niezwykłego:

*— Gdy przyjechałem tu przed dwudziestu laty, krążyła wśród mych
rodaków bardzo osobliwa historia. Jednocześnie śmieszyła ludzi, ale też
i grozą przejmowała. Proszę posłuchać...*

112

W zachodniej części puszczy tropikalnej byłej" francuskiej kolonii

Wybrzeża Kości Słoniowej, dziś republiki w ramach Wspólnoty

Francuskiej, żyją w gąszczu plemiona dość prymitywne, u których

ludożerstwo najdłużej się zachowało i dopiero w ostatnich latach przed

drugą wojną światową dało się wykorzezić. W owym czasie, a zatem

mniej więcej w latach 1934-5, pewien francuski urzędnik kolonialny

odbywał w tych lasach podróż inspekcyjną^ w towarzystwie swej

** (wł.) Jeśli to nawet nieprawda, to przynajmniej niezły pomysł!*

•₁ (wł.) Prawda.

żony, Francuzki. Gdy znajdował się na terenie plemienia Góro, otrzymał rozkaz szybkiego udania się w inną stronę puszczy, więc na pewien czas powierzył żonę opiece wodza, znanego z uczciwości, a sam ruszył w drogę.

Nieszczęście chciało, że żona w jego nieobecności ciężko zachorowała na malarię czy coś podobnego, nabawiając wodza i całe plemię wielkiego kłopotu. Obawiali się, że kobieta gotowa umrzeć i tym samym przyprawić męża o stratę. Doszli do przekonania, że długo nie pociągnie, więc poderżnęli jej gardło, poćwiartowali ciało i pod kontrolą wodza i starszyny sprzedali okolicznej ludności półcie mięsa za dobrą cenę. Skoro Francuz po kilku tygodniach wrócił do szczepu Góro, wódz natychmiast uczciwie wyliczył się z całego dochodu ze sprzedaży mięsa i złożył mu kupę produktów.

Oniemiał, gdy zamiast podzięki spotkała go wściekłość białego męża. Jeszcze bardziej nie mógł pojąć, dlaczego wkrótce przybiegli żołnierze, skuli w kajdany jego i wielu innych Góro i zawlekli do więzienia. Wódz, świadomy swej uczciwości, a zamknięty na wiele lat w lochu, zupełnie stracił wiarę w sprawiedliwość i zdrowy rozum białych ludzi...

— Makabra, prawda? — zakończył Chavot opowiadanie. — Jednak taka rzecz mogła być zająć wtedy jeszcze...

— *A dziś?*

— *Jak mówiłem, raczej wykluczone, żeby gdziekolwiek w Afryce istniało jeszcze ludożerstwo. Zabójstwa rytualne natomiast — to inna para kaloszy. Rzadko, co prawda, ale zdarzają się ponoć...*

Wróciliśmy do pierwotnego przedmiotu naszej rozmowy, myśliwego Mamadu Omara.

— *Miał ongiś niemałe powodzenie, kiedy tu, nad Nigrem, było jeszcze wiele słoni. Nie wiem, ile ich ubił w życiu, ale zapewne więcej niż dwadzieścia...*

— *Tą swoją kapiszonówką?*

— *Innej strzelby nigdy nie miał. Ale ubicie słonia przez krajowców było dość zawiłą manipulacją, strzelanie to tylko jeden fragment łowów, ważny, ale jeden. Przede wszystkim*

174

175

chodziło o unieruchomienie bestii, więc kopano wielkie doły albo podkradano się do stada i przecinano upatrzonej ofierze żyły u tylnych nóg — a dopiero potem walono z pukawek aż do skutku. Przecinanie żył nie było łatwe: myśliwi, żeby uchronić się od biedy, uzbrajali się w przeróżne talizmany, gri-gri i tym podobne panacea, ale rasowi łowcy, wyruszając na słonia, używali

najskuteczniejszego

fetysza,

113

zapewniającego im władzę nad tym zwierzem: czaszki człowieka zabitego tuż przed polowaniem specjalnie na intencję powodzenia.

— I ludzie nie buntowali się przeciw temu?

— Ofiarą, o ile wiem, padali obcy wędrowcy, przybywający z dalszych stron, którzy nieopatrznie znaleźli się w pobliżu myśliwego; a ginęli zawsze potajemnie... Niedawno czytałem jedną z książek doktora Schweitzera, w której pisze, że podobne zdobywanie fetyszów myśliwskich w jego okolicy, w Gabonie nad rzeką Ogowe, dziś jeszcze bynajmniej nie należy do rzadkości.

— Więc nasz Mamadu Omar jest takim rasowym — jak pan powiada — łowcą?

— Był nim. Dziś jest już tylko zwykłym łowcą, ale mimo to dzielnym... Dzielny łowca, a dawniej „rasowy”, wyszedł właśnie z chaty kuchennej, gdzie żona Chavota suto nakarmiła go jagnięciną, i przystąpił do nas, by omówić program następnych dni.

Mauzer

Jeszcze nie ściemniało tego dnia zupełnie, gdy przyjechał do nas posłaniec z miejsciny Kurussa z wezwaniem, żeby Chavot za trzy dni stawił się u komendanta okręgowego w pilnej sprawie dostawy tarcicy budowlanej. Francuz siarczyście zaklął, ale jiiie wypadało mu odmówić komendantowi. Nasze piękne plany wycieczki nad Niger rozwiały się

szpet-

nie.

176

Tego wieczoru spożywalismy kolację w większym niż dotychczas gronie, bo razem z Mamadu Omarem. Myśliwy, władający dość płynnie francuskim, był równie strapiony jak my, pryskała mu bowiem nadzieja na spodziewany cadeau — datek — toteż zaraz przy kolacji podsunął nam drogę wyjścia: pojedziemy nad Niger bez monsieur Chavota, tylko on i ja; on pokaże mi wszystko, co ciekawe, i za cztery, pięć dni wrócimy do domu.

Zerknąłem na Francuza. Jak spiskowcy zamienialiśmy spojrzenia znaczące i pełne humoru. Przed chwilą przecież omawialiśmy dawne praktyki Omara i jego makabryczne zdobywanie fetyszów za pomocą obcinania głów obcym przybyszom.

— Obcy jest, ale brak w tym wypadku drugiego podstawowego warunku: skrytości! — ocenił Chavot niby poważnie i dość zagadkowo dla obecnych przy stole. — Więc nie ma ryzyka i radzę jechać!

— Bez strzelby? — zrobiłem żalospną minę.

— Dam mój mauzer i kilkanaście kul!

Więc stanęło na tym, że jednak pojedę nad Niger, jakkolwiek tylko z Omarem. Mauzer mógł się przydać na jakiegoś drapieżnika, gdyby zechciał nam zająć drogę. Polować na inną zwierzynę nie miałem ochoty, a poza tym, nie posiadając pozwolenia z Konakri, mógłbym

tylko napytać sobie wstrętów ze strony lokalnych kacyków.

O świcie następnego dnia wyjechaliśmy, bogato zaopatrzeni w walówkę przez żonę Chavota. Omar wsadził wszystko na swój rower i na plecy i chciał również zagarnąć pod swą opiekę mauzer. Stanowczo temu się oparłem: mauzer, chociaż zabezpieczony, był nabity. Ale, o słabości ducha ludzkiego!

114

O niestałości charakteru! Gdy słońce znalazło się wyżej i zaczęło doskwierać, zdrowe ambicje roztopiły się i pozwoliłem Omarowi wziąć mauzer na ramię. Sam zatrzymałem tylko lornetkę. Myśliwy ucieszył się i ja się ucieszyłem.

Po przejechaniu przez tor kolejowy dążyliśmy stale ku południowi.

Droga, a raczej ścieżka, nie była uciążliwa; pedałowaliśmy bez pośpiechu. Za torem minęliśmy dwie niewiel-

12 — *Nowa przygoda*

177

kie wioski. W drugiej, składającej się z mniej niż dziesięciu rodzin, stało przed chatą kilku wieśniaków. Zsiadliśmy z rowerów, by na chwilę odpocząć. Omarowi kazałem wypytywać ludzi o słonie i inną zwierzynę, ale myśliwemu nie było to w smak.

— To ostatnie tępaki! — obrzucił mieszkańców wioski pogardliwym wejrzeniem. — Ciemne lby baranie! Po co chodzić do nich? Nie pójdę! Patrzył na nich z góry, jak bufon, pyszałek, jak zwierzchnik, aż mnie to nie na żarty zdziwiło. Taktowny i mile zrównoważony dotychczas,

*odkrywał jakiś nieoczekiwany rys. Stał napuszony z mauzerem
przerzuconym przez ramię i trzymał w obydwóch rękach rzemień
strzelby niby godło władzy. Trzymał kurczowo, jakby stąd spływała na
niego magiczna moc.*

*Oczywiście, że spływała: jeśli w wyrafinowanej Europie podczas
kilkudziesięciu ostatnich lat posiadanie mauzera przewracało ludziom
kilkakrotnie we łbach, wywołując obłęd buty, to czy należy się dziwić,
że poczciwy Omar również upił się trzymaniem broni i uważał mauzer
za fetysz, uprawniający do pychy?*

*Ale dla świętej zgody wolałem, żeby myśliwy nie brał przykładu z
Europejczyków, więc wyjąłem mu mauzer z rąk, zawiesiłem sobie broń
na ramieniu i kazałem towarzyszowi iść ze mną do ludzi.*

— Pytaj się — warknąłem groźnym głosem — gdzie zwierzyna!

Próba sił wyszła mi na dobre. Omar zaniepokoił się moją miną i głosem.

*Można się było uśmieć: odbierając mu mauzer, jakbym rzeczywiście
odbierał mu berło, pozbawiał utajonej siły i wdrażał do posłuszeństwa.*

*Czyżby ci, którzy uchwalają miliardy dolarów na różne mauzery,
doznawali podobnej magicznej rozkoszy jak Omar przed chwilą?*

Kapiszonówka

*Mieszkańcy wioski zapytani, gdzie w pobliżu zwierzyna, wpadli od razu
w twórczy szal i zarzucili nas tysiącem pomyslnych wiadomości.*

*Zwierzyny było mrowie, huk, hej, była hurma wszelkich zwierzaków od
słoni do gazel; lamparty i bawoły, dziki i antylopy snuły się wszędzie,
tu, tam, ach, Allah U Allah, daleko, blisko, nie: jeszcze bliżej, i to*

*niedawno, wczoraj, dziś, tego rana, nieprawda: przed godziną, łesz
kumie, przed chwilą, to nie była cyweta, tylko lampart, za tym
pagórkiem, nie: w tych krzakach, przysięgam, za moją chatą stało
olbrzymie stado, to ja widziałem większe tutaj, z tej strony...
Istna lawina przebojowych rewelacji spadała na nas. Omar tłumaczył
mi potok słów tak długo, jak mógł, potem nie nadążył. Była to reklama
w lunatycznym stylu. Ludzie prześcigali się wzajemnie, wylazili ze
skóry, zaklinali się i pienili. Wpadali w trans. Niezawodnie mieli na oku
hojny cadeau, ale więcej jeszcze zależało im na tym, żeby nas oszołomić*

115

*swym temperamentem i bogactwem okolicy. To byli mężowie o
sportowym zacięciu, gracze, artyści i patrioci swej wioski. Okrutnie a
ucieszenie wabili i mamili nas swym zwierzęcym edenem. Gdy tak
nacierali natchnionym krzykiem, wywijali rękami, strzelali oczami,
wytrząsali nogami, na koniec zaś wpędzali się w wariacki rytm
opętanej tańca, można by pomyśleć, że to jakiś szczęśliwy gwinejski
aliens nowoczesnej poezji z rock and roilem. Jak żywo stanęły mi w
oczach malowidła przedziwnego artysty Thiama Sany w Konakri.
Wkrótce nieco wyszumieli. Nabierając tchu, zaczęli wzrokiem pełnym
czci i ciekawości ogarniać mój mauzer i lunetę. Wtedy Omar przybliżył
się do mnie i wydymając usta oświadczył z naganą w głosie:
— A nie mówiłem, że to kupa głupków i matolów?
— Ależ to poeci! — stwierdziłem rozpromieniony. Omar nie wiedział, co
to poeci, lecz widząc mój zapal, zbył*

go wzruszeniem ramion i burknięciem:

179

— *Kłamcy! Bujają nas! Fantazjują, hultaje!*

— *Mamadu Omarze!* — *jęknąłem uroczyście.* — *Toż to właśnie przywilej poetów!*

— *No, i co z tej gadaniny wynikło?* — *parsknął niechętny, że ich jeszcze brałem w obronę.* — *Wiele krzyku, wiele skoków, tysiące pustych słów i wszystko na próżno, bezskutecznie...*

— *Ach, świetny krytyku Omarze! Tak również bywa często z poezją!...*

Mieszkańcy wioski po poprzednim wybuchu uniesienia szybko ochłonęli, owładnięci jakby lekkim katzenjammerem. Otaczali nas kołem już mniej gwałtowni, wyczerpani, z przygasającymi oczami. Z całego ferworu i cudaczenia pozostał im na pociechę jedynie kult mego mauzera, więc spozierali na niego jak na bóstwo: urzekała ich jego niezawodna siła zabijania. Jeśli sami posiadali jakąś broń, to zapewne tylko pukawki w rodzaju gruchota Omara.

Stał między nimi starszy jegomość z siwą spiczastą bródką, który dotychczas najmniej się rzucał i wychwalał. Był to, jak się okazało, sołtys, głowa i patriarcha tego siola. Teraz przystąpił do nas z poważnym wyrazem twarzy i odezwał się do mnie łamaną francuszczyzną, wskazując na Omara:

— *Ten typ nazywać nas kupą głupców i on nie mylić się, ale jego żona suka rodzić mu plugawe szczenię... Czy wy chceć strzelać zwierzęta?*

— *Chcieć!* — *przedrzeźnił go Omar kpiąco.*

Patriarcha, przeciwnik odmiany czasowników, zwrócił się do mnie:

— Ja nie pytać chama, ty odpowiadać!

— Czy jest zwierzyna? — spytałem.

— Jest. Blisko. Stadko min. Cztery.

— Blisko, blisko! — zarechotał Omar, cały naładowany szyderstwem. —

U nich wszystko blisko!

— Jak blisko? — spytałem starca.

— Czy ja dostać cadeau? — on na to!

— Ależ tak, dostaniecie!

180

— Ile?

— Sto franków.

116

Patriarcha kiwnął głową na zgodę i wskazał niedaleki lasek, leżący w kierunku Nigru, a więc na naszej drodze:

— Za tymi drzewami, na bowalu.

— Pardon! — wmieszał się Omar z poprawką. — Dostaniesz sto franków, jeśli, po pierwsze: pokażesz nam miny, po wtóre: nie będą daleko, po trzecie ustrzelimy jedną sztukę...

— Ustrzelenie w rękach Allacha! — sprzeciwił się stary.

— Jeśli ustrzelimy jedną sztukę! — zawziął się Omar i spojrzał na sołtysa, jakby go chciał żywcem połknąć.

Sołtys zawahał się.

— Dobrze! — ustąpił, ale teraz on postawił warunek. — Ustrzelić tą

strzelbą, nie inną, a ustrzelić on sam!

*I zaciętrzewiony, wściekły na mego towarzysza, dotknął palcem
mauzera i mojej piersi.*

*Tu wyłoniły się nowe trudności, bo tym razem ja z kolei wyraziłem
zastrzeżenia.*

*— Nie! Moja strzelba tylko na wielkie drapieżniki! — wyjaśniłem. — I
nie ja strzelę, lecz on, sławny myśliwy Omar, a cadeau dostaniesz tak
czy owak!*

*Patriarcha z wrogim politowaniem zmierzył Omara i ostatecznie
zgodził się.*

*Na tym zakończyły się wreszcie najeżone rokowania i targi i
przystąpiliśmy do wcielania ich w życie. Siedliśmy na rowery i
ruszyliśmy powoli w stronę lasu. Starzec, czerstwy w nogach,
zadziwiająco dotrzymywał nam kroku; może obawiał się, że mu
uciekniemy?*

*Na skraju lasu złożyliśmy rowery i manatki pod drzewem i zaczęliśmy
w trójkę skradać się między zaroślami. Po chwili sołtys dał znak, że
jesteśmy w pobliżu; i w istocie, kilkadziesiąt kroków dalej gąszcz się
przerzedzał, przechodząc w bował, a po drugiej stronie polany — do
diaska, czy oczom wierzyć? — rzeczywiście odkryliśmy wśród kęp trawy
kilka żerujących antylop min. Oddaleni od nich o przeszło trzysta
kroków i dobrze ukryci, mieliśmy korzystny wiatr.*

patriarchy, on zaś, rozparty pychą, już nie wiedział, jak w spojrzeniu

oblać mnie i Omara morzem triumfu.

*Omar przyczołgał się do mnie i chciał na pół przemocą odebrać mi
mauzer.*

— Pretez-moi! — charknął podniecony.

— O nie, bratku! Nic z tego!

— Donnez-moi! — powtórzył błagalnym głosem.

*— Odczep się! Mauzera nie dostaniesz! — zgromiłem go ostro. — Czy
nie dowierzasz własnej strzelbie?*

*Omar, ukłuty, coś tam pod nosem wybelkotał zgryźliwego, ale nie miał
innego wyjścia, jak ugiąć się i poddać losowi. Jeszcze raz zbadał
kierunek wiatru i znikł w zaroślach.*

*Patriarsze wręczyłem zasłużone sto franków, po czym on przezornie
zaraz się ulotnił. Wolał nie czekać na wynik polowania i powrót
zadziornego myśliwego.*

117

*Po dobrej chwili odkryłem lornetką Omara, pomykającego chyłkiem już
po drugiej stronie bowalu, brzegiem zarośli. Miny, zajęte żerowaniem,
nie przeczuwały niebezpieczeństwa. Bez wątpienia był to znakomity
tropiciel i umiał skradać się do zwierzyny jak rzadko kto. Podziwiałem z
daleka jego sprawność i doświadczenie. Podczołgał się do antylop
zdumiewająco blisko, na trzydzieści, może dwadzieścia pięć kroków i
wtedy strzelił.*

Potężna chmura dymu, a po chwili doleciał mnie huk wystrzału. Jakieś

smętne, wątle, wstydlive puknięcie. Omar wypadł susem na miejsce, gdzie stały miny. Szukał, badał, schylał się, kręcił — daremnie: żadnej ubitej antylopy nie było.

Gdy wrócił do mnie, miał gębę tak szczerze zmartwioną i struchlałą, że żał mi się go zrobiło. Widocznie lękał się, że straci u mnie twarz, że wezmę go za fajtlapę.

— Proch w strzelbie był stary, zleżały! — oświadczyłem.

— To prawda! — Omar ożywił się, ujrzawszy deskę ratunku,

i

182

— Co więcej — wyjaśniałem dalej — kula trafiła po drodze w gałązkę i dlatego zboczyła z toru!

— Ach, panie, jakżeście to widzieli?

— Śledziłem lornetką!

— Racja: lornetką! — zawołał Omar.

— A moment psychologiczny, Mamadu Omarze? Czy przedtem nie obraziliście starego sołtysa i czy on nie mógł wam źle życzyć?

— Prawda, szczerą prawdą: on mnie oczarował, on mnie uroczył! — tym odkryciem Omar tak się ucieszył, że porwał mnie za rękę i potrząsał nią długo, siarczyście i serdecznie.

Niger

Otoczał nas wciąż ten sam krajobraz: suchy, niezbyt gęsty las miejscami wypalony, krzewiaste chaszczce, bowale o stwardniałym gruncie i niewielkie trawiaste polany. Ale w miarę zbliżania się do rzeki las jak

gdyby gęstniał i krzepnął. Pojawiało się więcej mokradel i chęchów i więcej ptactwa. Bociany, znacznie większe niż nasze, brodziły na grzęzawiskach. Warugi poznawaliśmy po czepku z piór na głowie, a gdy przeleciało nad nami stado ibisów z groteskowo zagiętymi ku dołowi dziobami, nie było już wątpliwości, że zbliżaliśmy się do wielkiej wody. Nad Niger wyjechaliśmy po trzeciej po południu. Rzekę ujrzeliśmy z niewysokiego pagórka nadbrzeżnego. Czy była potężna? A jakże, była, ale mimo to na pierwszy rzut oka doznawało się zawodu, Nigrowi bowiem towarzyszył tak wyjątkowy rozgłos i otaczał go taki nimb tajemniczości, że człowiek naiwnie oczekiwał Bóg wie czego. A przecież, na rozum biorąc, już tutaj miało się przedsmak jego wielkości: znajdowaliśmy się niedaleko źródeł Nigru, oddaleni od nich zaledwie o dwieście kilometrów, a już rzeka szerokością przypominała Wisłę pod Warszawą. Jak wyolbrzymieć musiała

183

118

w dalszym biegu, skoro płynęła jeszcze cztery tysiące kilometrów, więc przeszło trzy razy więcej niż Wisła, a dorzecze miała czternaście razy rozległej sze?

Jak okiem sięgnąć, ścieliły się przed nami sawanny o wypłowiałej trawie, a wśród nich lasy z wielu drzewami bez liści i mnóstwo bagiennych starorzeczy, gdzie wśród trzcin roiło się od ptactwa wodnego. Rzeką w tym miejscu podchodziła zakolem pod nasz pagórek, tworząc na drugim brzegu rozciągłą piaszczystą ławę.

Tam też zauważyłem podejrzaną kłodę, leżącą niedaleko wody na piasku. Przywodziła mi na pamięć moje dawne podróże, zwłaszcza po Madagaskarze, i w istocie nie myliłem się: przez lornetkę ujrzałem śpiącego krokodyla średnich rozmiarów. Omar trącił mnie i zwrócił uwagę na dwa inne gady, śpiące nieco dalej; jeden z nich był nie lada olbrzymem, długim na przeszło cztery metry, z brzuchem napęczniałym jak bela. W drzemiących na słońcu potworach przyczajala się przedpotopowa zamierzchłość.

— Czy hipopotamów tu nie ma? — spytałem.

— Są, tylko pewnie akurat nie w tym miejscu, bo za blisko wsi...

— A wieś gdzie?

— Tam w górze rzeki, za owym wzniesieniem. Dobry kilometr stąd...

Oto więc toczył przede mną bystre nurty stary, wstawiony Niger, największy intrygant ziemski, który potrafił niepokoić ludzkość swą tajemniczością przez tysiące lat i dopiero teraz, niedawno, przed chwilą niemal, zechciał odstłonić swój welon. Słyszeli o jego zagadkowym istnieniu już dawni Grecy. Rzymianie, którzy nigdy rzeki nie widzieli, nadali jej dzisiejsze miano, słusznie nazywając ją Rzeką Czarnych. Potem, do średniowiecznej Europy, już tylko głuche, mętne wieści przesiąkały o legendarnym bogactwie murzyńskich państw, nad brzegami Nigru powstałych. I w istocie: „co najcenniejszego kiedykolwiek stworzyła rasa murzyńska, tu się wykluwało. Złożone organizmy państwowe — Ghana, Mali, Songhoj — tu wyrastały na potęgi pełne świetności, tu murzyńskie cywilizacje' i

murzyńskie kultury dojrzewały jak bujne kwiaty i, burzone przez obcych najeźdźców, ginęły.

Zadziwiająca rzecz, że z tego blasku nic prócz mgławicowych bajek nie przedostawało się do ówczesnej Europy—Zadziwiająca, bo przecież Arabowie dobrze wiedzieli, co się święciło nad Nigrem. Ba, sułtan marokański wysłał w 1590 roku nad Niger swą legię cudzoziemską, składającą się z czterech tysięcy europejskich wyrzutków z Hiszpanii, Francji, Włoch, Grecji, nawet z Anglii, i ta zgraja, uzbrojona po zęby, zadała śmiertelny cios ostatniej potędze czarnych nad Nigrem, państwu Songhoj, po czym tu się sama osadziła — i nic. żadne wieści o tym nie przeniknęły do europejskich kronik. Co więcej, nad brzegiem Zatoki Gwinejskiej roiło się już wtedy od europejskich statków i warowni, łapczywie skupujących czarnego niewolnika i złoto — a tymczasem o wielkiej rzece, płynącej w głębi kraju, do uszu zadyszanych handlarzy albo nic nie dochodziło, albo jeno urojone banialuki.

W połowie XVIII wieku — wieku oświecenia! wciąż tylko domyślano się, że Niger powstawał na wschodzie Afryki, płynął na zachód i rozwidlał się na kilka odnóg, wpadając do Atlantyku rzekami Senegal, Gambia i innymi. Ale nawet pod koniec tegoż wieku — kiedy Mały Kapral roił sny

119

o podbiciu świata — nikt z Europejczyków nie wiedział na pewno, gdzie Niger miał źródła, w którą stronę płynął i do którego morza uchodził. Wtedy dopiero rozpoczęto gorączkowe poszukiwania, tak żmudne i tylu ofiarami okupione, jak gdyby Niger doprawdy bronił się mocami

*piekielnymi i złe czary rzucił na drogi do siebie. Zaczęło się od 1788 roku. Anglik John Ledyard zaledwie dotarł do Kairu, umarł. Następnie Niemiec Hornemann przez Saharę doszedł niedaleko Nigru, ale — nie ujrawszy rzeki — padł. Angielski major Houghton wdzierał się od zachodu; nie dotarł do Timbaktu, zamordowany przez mahome-
tańskich fanatyków.*

Wszyscy dotychczas po drodze ginęli i dopiero pierwszym

184

185

Europejczykiem, który ujrzał Niger i stwierdził, że płynie na wschód, był Anglik, Mungo Park, w 1795 roku. Odkrył rzekę, ale błędnie myślał, że uchodzi do Konga. Wrócił szczęśliwie do Anglii, napisał książkę, a dopiero podczas drugiej podróży zginął przy wodospadach Nigru, napadnięty przez tubylców. Na wyprawę tę wyruszył na czele przeszło trzydziestu Europejczyków. Wszyscy oni ciężko się pochorowali i odpadli po drodze lub razem z Parkiem ponieśli śmierć na Nigrze.

Po uporaniu się z Napoleonem w Europie postanowiono ostatecznie ujarzmić także i Niger. Atak dokonany w 1815 roku z trzech stron, przez trzy wyprawy, spalił sromotnie na panewce. Potem niejaki Tuckey chciał wyjaśnić stosunek rzeki Konga do Nigru, lecz poległ; i nic nie wyjaśnił. Tymczasem z zachodniego wybrzeża wyruszyło dwóch śmiazków, Peddie i Campbell, do gór Futa Dżalon, ale pierwszy nie dotarł do gór i umarł, drugi dotarł i zginął dopiero w górach, w kraju Fulbejów. A już Ritchie i Lyon, waląc z północy, z Trypolisu, zagięli

nowy parol na krnąbrną rzekę: pierwszy dokonał żywota na Saharze, drugi zawrócił z drogi.

W 1825 roku Clapperton dobrnął od portu Lagos do Nigru w miejscowości Bussa i zmarł z wycieńczenia. W tym samym roku major Laing jako pierwszy nowoczesny Europejczyk wszedł do miasta Timbaktu, lecz po wyjściu zginął zamordowany, ów Laing, który trzy lata przedtem, będąc w Sierra Leone, odgadł mniej więcej rzeczywiste położenie źródeł Nigru.

Wszyscy ci śmiałkowie, z wyjątkiem jednego Niemca, byli Brytyjczykami. Z kolei Francuz René Caillie, „malowniczy typ”. Jak go nazwano, w przebraniu Araba przedarł się przez Sierra Leone do górnego Nigru — mniej więcej w okolice, w których obecnie się znajdowałem — i dotarł aż w pobliże Timbaktu, a co ważniejsze, wrócił zdrowo z tej wyprawy i opisał ją. Gdy nieco później, w 1830 roku, Anglicy. Ryszard Lander i jego brat odkryli ujścia Nigru (ujścia, bo rzeka tworzy deltę) można było westchnąć z ulgą, że nareszcie, po czterdziestodwuletniej mordędze i okrutnych zmaganiach, wytrzymałość człowieka wzięła górę nad upartą rzeką. W ten sposób, z grubsza na razie, ustalono jej źródła, bieg i ujścia.

Ryszard Lander nie uniknął losu według utartego nad Nigrem szablonu.

W rok po pamiętnym odkryciu ujść ponownie wyruszył nad wielką

120

rzekę, lecz tam w utarczce z krajowcami odniósł ranę i wkrótce zmarł na wyspie Fernando Po. Niger, nawet ujarzmiony, pozostał mściwy.

Większość odkrywców, dążących w te strony, ginęła z ręki wrogich krajowców, nieprzychylnych europejskim przybyszom. Późniejszy rozwój dziejów w Afryce wykazał, niestety, całkowitą słuszność Afrykanów, broniących się tak zaciekle przed natarczywością białych. Mieli wtedy prawo nie ufać Europejczykom, chociażby ci przybywali jako niewinni badacze i odkrywcy w celach zrazu najbardziej pokojowych.

Od tego czasu wiele się tu zmieniło. Wzruszony, patrzyłem na rzekę. Płynęła tak samo, jak za czasów Francuza Caillie, nawet z podobnymi zapewne jak wówczas krokodylami, krajobraz i przyroda pozostały niemal te same. Tylko jakże zmienili się ludzie! Dzisiaj już nie odgradzali się od wpływów z zewnątrz, dziś wierzyli w siebie.

Z wezbranym sercem, pewny miłego przyjęcia, oczekując przyjaznych doznań, zbliżałem się do wioski.

Rzqrfnóć

Wkrótce zauważyliśmy pierwsze chaty, a zaraz potem całą wieś. Stała na niezależnym wzniesieniu tuż nad rzeką. Na brzegu wody ujrzelśmy kilkanaście łódek i porozwieszane sieci na dowód, że Niger karmił mieszkańców wisi.

— Czy to wyłącznie wieś rybaków? — spytałem Omara.

— Iii, gdzie tam! Przed dwoma laty, kiedy tu byłem, mieli z drugiej strony wsi swe pola kukurydzy i orzeszków ziemnych... Ale nas się boją!

Rażny okrzyk Omara dotoczył dzieci, na nasz widok uciekających do chat.

— Dzikusy! — odął się. — Dawno nie widzieli porządných ludzi!

— Powiedzcie: porządných ludzi uzbrojonych w groźne strzelby...

Jakaś kobiecina zmykała w bok, ażeby z nami się nie ze~tknąć, lecz

Omar pozostawił przy mnie rower i zabięł jej drogę. Umawiali się

długo, on żywo, ona półgębkiem i lęklíwie, pomimo że doszło kilka

innych bab. Gdy Omar wrócił do mnie, wzruszał ramionami i biesił się:

— Pytam je o szefa wsi, a one, o którego. Pytam, czy jest ich więcej, one,

że tak, dwóch. Jak to, dlaczego dwóch, przecież wieś nie tak duża?

One, że nieduża, ale dwóch szefów. Jeden zwykły, drugi

komitetowy. Diabeł się chyba na tym wyzna!...

Przypomniała mi się wieś Kamabi z jej komitetem partyjnym, mającym

prężne wpływy, i wyjaśniłem Omarowi, że tu niezawodnie działa

się to samo. Zapewnił mnie, że zna doskonale rolę partii w Gwinei, sam

do niej należy, ale co go zdumiewa, to istnienie komórki partyjnej w tak

odległej wsi, na tym wszawym wyżgajewie, na zapomnianym przez

Allacha pustkowiu.

— Wybaczcie! — oświadczył komicznie przejęty. — To wydaje mi się

śmiechu warte!

— Warte czy niewarte — odparłem — ale zgodzicie się, że najpierw

trzeba nam walić do przewodniczącego komitetu i przedstawić się.

— Ojej, zgadzam się, zgadzam, walmy do niego. Allach akbar!

Podczas naszego naradzania się cała wieś, od krańca do krańca,

uświadomiła sobie przybycie obcych. Rozległy się wszędzie wrzaski

121

ostrzegawcze, kobiety i dzieci zaczęły biegać w narwanym popłochu, a

grupki mężczyzn podkradać się do nas ostrożnie ze wszystkich stron.

Omar grmiącym głosem dopytywał się od czasu do czasu w ich języku

o drogę do

188

przewodniczącego komitetu. Dążąc pieszo we wskazanym kierunku ku

środkowi wsi, prowadziliśmy obok siebie rowery.

— Jak się nazywa ta rozdygotana wieś? — spytałem towarzysza.

— Czy ja wiem! Kiedyś mi mówiono, zapomniałem.

— Ładnie ich zdenerwowaliśmy, co?

Omar nacierał na wieś swymi gorliwymi pytaniami, ale nie trwało

długo, gdy, na odwrót, wieś przystąpiła do przeciwnatarcia na nas:

przewodniczący komitetu wysłał ku nam kilku chłopca z pilnym

poleceniem stawienia się u niego.

— Energiczny dziadyga! — rzekł Omar z uznaniem. Przewodniczący

mieszkał i urzędował pośrodku wsi i już

oczekiwał nas, według klasycznych wzorów dawnych można-władców,

siedząc dumnie wyprostowany na stołku przed chatą i trzymając dłonie

na kolanach. Chętnie sfotografowałbym go w tej władczej postawie, ale

nie wypadło.

Był to mąż w sile wieku, o zamkniętej twarzy i niezgłębionym narazie

spojrzeniu. Otoczony kilkunastoma mieszkańcami wsi, słuchał w

posepnym skupieniu potoczystej tyrady Omara, wykładającego w języku mandingo cel naszego przybycia. Gdy Omar skończył, przewodniczący kazał przynieść dwa stołki i szerokim gestem zaprosił nas do siadania, po czym nie mniej wymowny niż Omar, witał nas przez dobre pół godziny. Było to jakieś oziębłe, oficjalne powitanie, w którego dźwięku daremnie doszukiwałem się serdeczniejszej nuty. Widocznie przewodniczący chciał pokazać mieszkańcom wsi i nam, przybyszom, nie tylko niepośledni dar wytrwałego mówienia ale i dostojność swego stanowiska.

Gdy na chwilę ustał, zaniepokojony spytałem Omara:

— Czy on dobrze zrozumiał, że przybyłem tu jako przyjaciel i literat, zamierzający napisać o kraju życzliwą książkę?

— On dobrze zrozumiał! — odrzekł zamiast Omara sam przewodniczący jaką taką francuszczyzną.

Z milej niespodzianki ucieszyłem się ogromnie, ale on nie chciał bezpośrednio ze mną rozmawiać i przeszedł znowu na mandingo. Po chwili Omar tłumaczył mi jego życzenia:

189

— Przewodniczący zrozumiał cel waszego, panie, przybycia do Konokoro, tak się bowiem wieś nazywa, mianowicie, że chcecie tu zobaczyć dzikie zwierzęta brussy, i nie ma nic przeciwko temu, że opiszecie te dzikie zwierzęta w swej książce. Ale przewodniczący życzyłby sobie równocześnie, żebyście pisali także o praworządności władz i o skrupulatnym porządku w kraju, który do niedawna tonął w

anarchii.

— *Ależ oczywiście, z miłą chęcią o tym napiszę! — wykrzyknąłem. —*

Tylko niech nam dadzą jeść!

— *Powoli, panie, nie tak pochopnie! Najpierw trzeba dokonać pewnych formalności. Przewodniczący prosi o pokazanie mu zezwolenia.*

122

— *Jakiego zezwolenia?*

— *Że wolno wam przyjechać tu, do Konokoro.*

— *Nie mam przecież. Nikt mi tego nie dawał. Prosiłem Ministerstwo Informacji w Konakri, żeby coś dali mi na piśmie, ale powiedzieli, że nie potrzeba, bo sami zawiadomią telegraficznie komendanta okręgu w Daboli o mojej podróży...*

To wywołało przykre zdziwienie Kamary Keita, jak brzmiało nazwisko przewodniczącego, który oświadczył, że przestrzegając rządności, będzie musiał zapytać się komendanta okręgu w Kurussie, co ze mną począć.

— *Jak to? — osłupiałem. — Dlaczego się pytać? Przecież przybyłem tu do wsi tylko na dwa, trzy dni i wracam do Saroyi, a potem do Daboli.*

— *Niech europejski przyjaciel wybaczy — Kamara Keita zechciał przemówić do mnie — ale wieś Konokoro należy do okręgu Kurussy, a nie do Daboli, więc o jego przybyciu musi otrzymać raport Kurussa, i Kurussa rozstrzygnie o dalszym jego losie.*

— *Kurussa nic o mnie nie wie, nie została wcale powiadomiona przez Ministerstwo Informacji o moim przybyciu!*

— *Na to nic nie poradzę — rzekł przewodniczący z całym spokojem. —*

Europejski przyjaciel zaczeka u nas, dopóki nie nadejdzie instrukcja od zwierzchniej władzy.

— *Jak długo to potrwa?*

— *Nie dłużej, niż cztery, pięć dni, gdyż poproszę komendanta o możliwie szybką decyzję.*

— *To znaczy, że do tego czasu muszę tu pozostać?*

— *Nie inaczej. Praworządności tym samym stanie się zadość.*

— *A może to dłużej potrwa niż cztery, pięć dni? — zachnąłem się.*

— *Wszystko możliwe! To nie od nas zależy.*

— *Ależ ja nie mam tyle czasu! Jeśli robicie mi takie trudności, to wolę jutro rano wracać do Saroyi i koniec!...*

Służbisty przewodniczący miarowym i silnym potrząsaniem głowy dał wyraz, że taki koniec mu nie odpowiada i obwieścił znękany głosem:

— *Przykrych następstw musi doświadczyć na sobie ktoś, kto uwłącza obowiązującym przepisom i bez pisemnego zezwolenia władz podróżuje sobie po kraju, jak gdyby po bezludnej pustyni, po dziczy bez praw ni ładu...*

Zaszumiało mi w głowie z rozdrażnienia: w ładny potrzask wpadłem!

Pokazałem dwa dokumenty, jakie posiadałem przy sobie, mianowicie paszport i pozwolenie Ministerstwa Informacji na dokonywanie zdjęć.

Paszport, skrupulatnie zbadany, sprawił na przewodniczącym dodatnie wrażenie, była tam bowiem wiza dyrekcji policji w Konakri z uprzejmą notatką; zadowolony mąż pomruczał z uznaniem. Dokument

*Ministerstwa Informacji jeszcze bardziej go uradował, ale, niestety,
tylko na chwilę.*

*— Dzikie zwierzęta zamierzamy fotografować, he? — odezwał się
zgryźliwym głosem i patrzył krytycznie to na dokument, to na mnie.*

*— Jeśli zdarzy się okazja, to i dzikie zwierzęta! — przyjąłem zaczepkę i
dobrodusznie dodałem: — Ale to trudna sprawa!*

*— Ej, nie tak trudna: przecież wszyscy Europejczycy wiedzą, że w
Gwinei dzikich zwierząt zatręsenie, nawet na przedmieściach*

123

*Konakri! Prawda? Więc fotografujmy lwy, nosorożce, słonie,
lamparty, żmije, małpy i — ludzi.*

190

191

*— Ha! — palnąłem tylko szubienicznie rozbawiony i ledwo
powstrzymałem się od słówka: amen.*

Niestety,

nie

wyczerpał

się

jeszcze

zapas

dociekliwości

*przewodniczącego; poprzez Omara poprosił o pokazanie mej karty
myśliwskiej, zezwalającej na odstrzał zwierzyny.*

— *Nie mam jej, bo nie chcę polować — odpartem.*

— *To na co ta piękna broń? — zdumiał się Kamara Kei-ta. — Czy na to, żeby przez lunetę oglądać dzikie zwierzęta?*

— *Poniekąd tak.*

Gdy przewodniczący na domiar dowiedział się, że nie mam w ogóle pozwolenia na posiadanie broni, zdrętwiał ze zgorzzenia i

zakłopotanym wzrokiem powiódł po stojących dokoła mieszkańcach wsi, jakby biorąc ich na świadków niesłychanego wykroczenia.

Ludzi zebrało się tymczasem pewnie ze trzydziestu. Z ciekawością śledzili przebieg niezwyklej rozprawy, ale wydało mi się, że nie wszyscy byli po stronie przewodniczącego. Niektórzy przyjmowali jego służbistą gorliwość z wyraźnie osowiałą miną i nie ukrywali swego niezadowolenia. Byli nawet tacy, którzy zaczęli między sobą szemrać, gdy wybuchła sprawa o mauzer.

Mianowicie Kamara Keita postanowił odebrać mi broń i trzymać ją u siebie aż do decyzji władzy w Kurussie. Nie było na to rady i zgodziłem się wydać mu strzelbę, ale przedtem wyjąłem z lufy i z komory

wszystkie naboje. Żądaniu przewodniczącego, by wręczyć mu również naboje, bezwzględnie się oparłem. Ostatecznie stanęło na moim i

Kamara Keita ustąpił, widząc moją w tej sprawie stanowczość.

Powoli dzień chylił się ku wieczorowi. Kamara Keita wyznaczył dla

Omara i dla mnie wiejską kwaterę gościnną i pozwolił nam poruszać się swobodnie wśród samych chat, ale nie wychodzić poza obręb wsi.

Mogliśmy kupować sobie żywność dowolnie, u kogo chcieliśmy.

— *Czy mógłbym widzieć się z szefem wsi? — kazalem spytać jeszcze przewodniczącego.*

— *Jakim szefem? — Kamara zrobił wielkie oczy.*

lit...

— *Z sołtysem.*

— *Ach, z Mamari Diara? Proszę bardzo, nie mam nic przeciw temu!*

Tak oto, po raz drugi w życiu, dostałem się do ciupy: pierwszy raz przesiedziałem kilka dni na osławionym Ellis Island, będąc w przejeździe przez USA do Meksyku, a teraz przytrzymano mnie w mniej słynnym, ale równie zaciekłym Ko-nokoro nad Nigrem.

Mamadu Omar, wściekły i przygnębiony, zgrzytał zębami. Dziwne, ale nie podzielałem w pełni jego wzburzenia.

Spiskowcy

Ostatecznie była to przygoda, trochę niewybredna i niewygodna, ale przygoda. Podczas gdy Omar wypadł na wieś, by zdobyć jakiś żer, rzuciłem się na legowisko w naszej chacie i szybko ochłonąłem z

wrażenia. Pocieszałem się tym, że wysłany do Kurussy posłaniec zastanie tam na pewno Chavota i całą hecę załatwi się pomyślnie w krótkim czasie. Natomiast sama osoba przewodniczącego komitetu partyjnego prawdę mówiąc, zadała mi ćwieka i gubiłem się w domysłach, dlaczego maniak tak się wziął zalewać mi sadła za skórę. Dotychczas władze w Gwinei szły mi jak najbardziej na rękę, a tu nagle wszystko wzięło w łeb, działa się na opak, natknąłem się na

niedwuznaczną wrogość. W czym sęk? — zadawałem sobie pytanie.

Wnet Omar wrócił ze wsi z pustymi rękami, ale z radosnym ogniem w oczach.

— Wieś nam sprzyja! — zachichotał, świecąc zębami. — Wieś po naszej stronie!

— I dlatego nic nie sprzedała nam do jedzenia? — odburknąłem.

— I dlatego zaproszono nas na kolację do wsi! — obwieścił Omar triumfalnie.

13 — Nowa przygoda

193

— Kto zaprosił?

— Brat soltysa. Mamy tam zaraz przyjść!

Ucieszyłem się, tak samo jak Omar, pomyślnym obrotem sprawy, ale równie ciekawe nowiny przyniósł myśliwy o przewodniczącym komitetu. Był to człowiek tu urodzony, który wywędrował w świat przed wielu laty, jeszcze za czasów francuskich, i tyknął jakichś szkół. Gdy Gwinea odzyskała niezależność, był już członkiem partii, pełnił następnie poważne ponoć funkcje, lecz coś tam przeskrobał i kilka miesięcy temu został zesłany do Konokoro na stanowisko przewodniczącego komitetu lokalnego. Wieś go nie lubiła, gdyż zawiedziony w swych ambitnych nadziejach, zgorzkniała z powodu niepowodzeń, odgrywał się na mieszkańcach wsi i dokuczał im na każdym kroku. Ludzie tutejsi, nawet partyjni, mieli już po uszy jego despotycznej swawoli i niedawno wysłali do Kurussy petycję o

usunięcie go z Konokoro.

Teraz poniekąd zrozumiałem przyczynę zjadliwości przewodniczącego, który, popadłszy w niełaszkę u przełożonych, swe rozżalenie wyładowywał nawet na mnie. Równocześnie uświadomiłem sobie drażliwość mego. położenia między młotem a kowadłem. Był to ich własny, wewnętrzny zatarg i mnie, obcemu gościowi, wara od wtykania weń nosa.

Powiedziałem to Omarowi.

— Co?! — przeraził się myśliwy i ujął rzecz praktyczniej:— To nie chcecie iść na kolację do brata sołtysa?

Miał słuszość; byliśmy głodni i poszliśmy. Dla pewności wszystkie nasze manatki, także rowery, zabraliśmy ze sobą.

Wieczorne ciemności już zalegały wieś. Omar prowadził, daleko nie było, ale teraz dopiero mięśnie nóg, odwykłe od jazdy rowerem, poczuły całodzienną podróż.

Chata, do której przybyliśmy, była obszerna, okrągła jak wszystkie tutaj, kiepsko oświetlona dwoma kagankami na rybijm tłuszczu i tłocznie wypełniona ludźmi jak beczka śledziami. Było ich co najmniej dwudziestu. Na moje żywe bcn soir — dobry wieczór — jedni życzliwie

125

odpowiedzieli tak samo, inni w języku mandingo, niektórzy powstali z klepiska,

194

by nam podać rękę i zrobić miejsce, a Bamba Sori, zażywny gospodarz

domu, i jego siwy brat, sołtys Mamari Diara, wyszczerzeni przyjaznym uśmiechem, przecisnęli nas do środka chaty.

Tu ludzie nieco się usunęli, na opróżnione klepisko rzucono matę i wnet wniesiono jedzenie dla nas dwóch: gotowany ryż, gotowane ryby i ostry sos „fonto” w miskach, do czego podano dwie łyżki. Smakowało znakomicie, a podczas jedzenia przyzwyczailiśmy się do straszliwego zaduchu i półmroku w chacie.

Od samego początku nie lubiłem się: było to zebranie spiskowców, toteż wydało mi się całkiem naturalne, gdy jeszcze podczas naszego posiłku bractwo namiętnie się rozgadało. Namiętnie, lecz nie chaotycznie. Moc złości mieli ludzie na wątrobie, byli rozdrażnieni, ale wielki swój gniew wylewali jak wytrawni mówcy, bez rozgardiaszu.

Jacyś parlamentarzyści z głuchej wioszczyny nad Nigrem. Chociaż ani trochę ich nie rozumiałem, przyjemnie było słuchać, gdy jeden po drugim zabierał głos, ten zapalczywie hukliwy, rzekłbyś: nasz Putrament, tamten potoczyście gładki, do greckiej maski podobny:

Iwaskiewicz, trzeci chmurnie poważny jak Kruczkowski. Każdy na swój sposób wywodził swe żale.

— Suchej nitki na nim nie zostawiaj! — odezwałem się do Omara pod koniec posiłku.

— Na kim? — spytał myśliwy.

— No, na przewodniczącym.

— Ależ wcale o nim się nie mówi!

— To na kogo tak psioczą?

— *Na małpy.*

— *Co?!*

— *Na małpy, na kynocefale! — dodał uczenie, jak czasem Francuzi nazywali pawiany z grecka psiogłowcami.*

— *Kynocefale? — powtórzyłem ostupiały i rozejrzałem się po ludziach, jak gdyby zaskoczony absurdalną niespodzianką.*

Ale rzecz była prosta. Okazało się, że nie przewodniczący Kamara Keita był ich głównym wrogiem, lecz małpy. Bezczelne

195

pawiany stały się wielką plagą mieszkańców wsi; one to, wcielone szatany, poiły ich żółcią, zatruwały im życie.

Mianowicie Konokoro założyło sobie ostatniego lata kilka pól orzeszków ziemnych, które nieźle się darzyły, ale gdy teraz nadeszła pora dojrzewania i zbioru, wszystkie możliwe bestie brussy nabrały na orzeszki apetytu. Dniem i nocą pilnowano pól, płoszono szkodniki, czym się dało i właściwie przepędzono całe tałalajstwo, całe, z wyjątkiem tego diabelskiego nasienia, tych wyrodków, pawianów.

Na te kreatury nie było obrony, łączyły bowiem przebiegłość złych ludzi ze zwierzęcą zwinnością. W pobliżu wsi przebywało kilka wielkich stad.

— *Jak wielkich? — przerwałem słowa Omara.*

Omar skierował pytanie do ludzi, potem odpowiedział mi:

— *Największe liczy przeszło pięćdziesiąt sztuk, inne po kilkanaście...*

126

O każdej porze dnia, od wschodu do zachodu słońca, należało

spodziewać się ich napaści, a były tak chytre i podstępne, że zawsze pojawiały się tam, gdzie ich najmniej oczekiwano. Kobiet nie bały się wcale, tak samo psów. Kilka zuchwalszych psiaków zagryzły jak nic w pierwszych dniach, teraz wszystkie kundle bały się ich panicznie.

Dopóki mężczyźni strzelali ze strzelb, małpy bały się przynajmniej huku, chociaż pukawki nie sięgały daleko, ale chłopca, uzbrojonego w kij, harde pawiany unikały tylko na odległość kija, co najwyżej na odległość rzutu.

Istnych cudów dowiadywał się Omar — i zaraz mi je tłumaczył — o wyrafinowanym sprycie wojowniczych małp. Na przykład do ulubionego ich fortelu należało świetne pozorowanie napaści w jednym miejscu, podczas gdy w rzeczywistości uderzały zupełnie gdzie indziej.

Robiły to tak szcwanie, że zawsze nabierały ludzi. Gdy wystrychnięci na dudka pędzili z wrzaskiem na to drugie miejsce, już było za późno.

Pawiany bowiem, na domiar złodziejskich przymiotów, wyrobiły w sobie błyskawiczną szybkość działania: opadłszy pole, jak szalone zgarniały orzeszki i wypełniały nimi jamy policzkowe, w oka

196

mgnieniu zrywały całe naręcza badyli, po czym z pełnymi garściami zdobyczy wyrywały w gąszcz. Sprawa kilkunastu sekund.

Małpy wytoczyły ludziom zawziętą wojnę i z tego, co słyszałem, zanosilo się, że nie człowiek odniesie tu zwycięstwo. Przypomniało mi się zdanie dra Alberta Schweitzera, napisany w którejś z jego książek, że jeśli Europa jest krainą ludzi, to Afryka pozostała do dziś kontynentem

zwierząt, na którym człowiek wciąż żyje jak nieproszony gość, gdzie stada słoni — mowa o Gabonie — często jeszcze burzą wsie tubylców, gdzie Afrykanin za nic w świecie nie wejdzie do puszczy zajętej przez goryle, a w wielu rzekach jedynymi panami są krokodyle i stada hipopotamów. Udręczone twarze ludzi w chacie i ich groźne opowieści potwierdzały w pewnej mierze słowa Schweitzera.

— Czemu mieszkańcy wsi energiczniej nie zapolują na małpy i nie wykurzą ich z okolicy? — zapytałem Omara.

— A czym? Mają kilka nędznych kapiszonówek, ale zabrakło im prochu, a w Kurussie nie mogli dostać.

Najedliśmy się znakomicie i do syta, ludzie wyżalili się na swe utrapienia, „Putramenty” i „Iwaszkiewiczze” sumiennie sobie ulżyli i przyszło pewne odprężenie. Wtedy wśród zebranych nastąpiło przegrupowanie: młodszy, siedzący dookoła nas, usunęli się, a na ich miejsce otoczyła nas zbitym kręgiem starszyzna z sołtysem i jego bratem na czele. Sołtys Mamari Diarą jął uroczyście do mnie przemawiać i z wielu słów, jakie tłumaczył mi Omar, zrozumiałem, że wieś prosi mnie o pomoc.

— W czym ja mogę tu pomóc? — zdziwiłem się niezmiernie.

— Macie, panie, dobry karabin z lunetką! — odrzekł sołtys. — Wiemy, co to za doskonała broń.

— Gdzie ją mam? — parsknąłem. — Przecież widzieliście, jak postąpił ze mną Kamara Keita, wasz zacny przewodniczący,

— Kamara Keita będzie musiał ugiąć się wobec nakazu konieczności.

— *Jakaż to konieczność?*

— *Małpy.*

127

197

Małpy wciąż pojawiały się tutaj jak owe ceterum censeo, tylko że

Kartaginę zastąpiły zwierzaki.

— *Chcecie powiedzieć, że z powodu małp Kamara Keita zwróci mi*

mauzer?

— *Tak jest, zmusimy go! Klniemy się na Allacha, że tak będzie! Zwróci*

wam, panie, mauzer i w ogóle przestanie wam dopiekać, jeśli spełnicie

naszą prośbę.

— *Mianowicie?*

— *Niewielką prośbę, łatwą do spełnienia: zastrzelicie nam kilka małp.*

Odruchowo się wzdrygnąłem, taki wstręt odczuwałem do zabijania

zwierząt. Ale zaraz uprzytomniłem sobie, że była to jedyna sposobność

szybkiego wybrnięcia z kłopotów, w jakie wpakował mnie choleryczny

przewodniczący.

Pod

stanowczym

naciskiem

wsi

musiałby

niewątpliwie poddać się woli ogółu, chodziło przecież o ratowanie

zbiorów, argument najwyższy. A sprawa zabijania zwierząt? Czy nie

*zachodził tu wyjątkowy wypadek słusznej obrony człowieka od
napastliwości bezczelnych pawianów i dania im zasłużonej odprawy?
Ale pozostał jeszcze inny szkopuł, przeczulona podejrzliwość władz
wobec cudzoziemców: dajmy na to, że zgodziłbym się, a Kamara Keita
nie miałby nic przeciw temu, ażebym strzelił do kilku pawianów, to czy
władze w Kurussie lub wyżej nie uznałyby tego za zlekceważenie
gwinejskich przepisów, za karygodne polowanie bez karty łowieckiej?
Gdy z tych wątpliwości zwierzyłem się obecnym w chacie, podsuwając
jednocześnie myśl, ażeby wielki myśliwy, Mamadu Omar, wziął na
siebie zaszczyt zabicia z mauzera szkodników, cała chata gwałtownie
temu się przeciwstawiła: widocznie ciemne fujary nie ufały zdolnościom
Omara. Prosili, żebym koniecznie ja strzelał. Sołtys Mamari Diara
zapewnił, że on i cała wieś wystawią mi pisemne zaświadczenie,
stwierdzające, że polowałem na wyraźne życzenie sołtysa i starszyny,
a zabicie pawianów było dla wsi piekącą koniecznością.*

— Piekącą i ekonomiczną! — uczenie dodał Bamba Sori, brat sołtysa.

198

*— Jeśli tak, to poddaję się piekącej konieczności! — zawołałem — Ale
co powie na to przewodniczący?*

*— Niech cię o to głowa nie boli! — oświadczył Mamari Diara,
przechodząc z przejęcia na „ty”. — Powie: dobrze!*

*Ferajna w chacie wpadła w huczną wesołość, rozwrzeszczała się, jakby
kamień spadł jej z serca i jakby widziała już rozkład pawianów, a rej
wodził Omar, najgłośniejszy ze wszystkich. Od czasu do czasu wyjaśniał*

mi, że umawia się co do jutrzejszego planu polowania, ale ja wietrzyłem co innego: filut targował się z wsią o zapłatę i widocznie kazał słono sobie płacić za każdego ubitego w przyszłości pawiana.

Gdy niebawem wracaliśmy do swej kwatery, myśliwy był szalenie zadowolony z siebie i ze mnie. Po prostu pławił się w szczęściu, nucił pod nosem i w dowód wspaniałomyślności nie pozwalał mi trudzić się rowerem: sam prowadził obydwu.

Duchy

Cała prawie noc upłynęła we wsi pod znakiem podniecenia. Bezustannie dudniły dwa, trzy bębny w różnorodnym rytmie, i wojowniczym, i

128

pokornym, rozwdziły się śpiewy, brzmiące czasem jak modły i zaklęcia, i rozlegał się to bliższy, to dalszy tupot nóg. Wieś nie szczędziła rzetelnych wysiłków, by przekupić dobre duchy, speszyć złe demony i nabrać krzepy tudzież otuchy. Nabierała z całej duszy, ale tym nabieraniem wybijała porządnego człowieka ze snu kilkanaście razy. Krótco po północy Mamadu Omar, magister magii, zerwał się z legowiska! mrużąc do mnie, że lepiej to zrobi niż tutejsze niedojdy, przepadł na parę godzin na dworze. Uważał siebie za sprawniejszego zamawiacza duchów.

Po jego wyjściu poczułem się straszliwie osamotniony; chwy[^] cił mnie na chwilę jakiś nieprzyjemny skurcz niepokoju, jakiego nie doznałem jeszcze w Afryce. Z przewrotnym humorem uzmysłowiłem sobie kotłowisko uroków, jakimi Konokoro się

roznamiętniało, i przyszło mi do głowy, że wśród takiego właśnie podrażnienia, w takiej zapalczywości umysłów niejeden Europejczyk jeszcze kilkadziesiąt lat temu tracił tu życie. Obecnie było to wykluczone, tym bardziej że w dzisiejszej aferze wyznaczono mi kluczową rolę małpiego kata, ale to pewne, że ciężar gatunkowy nastrojów i uczuć, ponoszących mieszkańców wsi, był ten sam dziś jak przed kilkadziesiątu laty.

Nad ranem wieś doszła ze sobą do ładu i uspokoiła się.

O świcie gęsta mgła zaległa dolinę Nigru, a gdy rozwidniało, łaski losu i dary ludzi zaczęły spływać na mnie. Przyniesiono więc przed chatę sporą miskę gorącej wody, żebym dobrze się umył i gładko ogolił.

Następnie zjawilo się śniadanie: dymiący ryż, ryby, sos „fonto” i słodka kawa, że palce lizać. Z twarzy Omara nie schodził szlachetny uśmiech triumfu, poczytywał się bowiem za współsprawcę padającego na nas deszczu dostatków.

Jeszcze nie skończyłem kawy, gdy gromki, serdecznością nabrzmiąły głos życzył nam dobrego dnia. Któż to stanął przede mną ze słońcem na promiennej twarzy, słodyczą w uśmiechu

I z mauzerem w wyciągniętej dłoni? Kamara Keita, przewodniczący komitetu lokalnego we własnej, przyjaźnie oddanej osobie.

— Oto broń! — rzekł po francusku, bezpośrednio do mnie, radośnie, jakby wręczał mi bukiet kwiatów. — Proszę pokazać nam, co pan potrafi! Spełni pan pożyteczny czyn społeczny! Śmierć kynocefalom,

wrogom narodowej gospodarki!

— *Śmierć! Śmierć!* — *zawtórowaliśmy Omar i ja. Następnie oznajmiłem z zapalem:*

— *Ale niech przewodniczący każe ludziom spędzić kynocefale do samej wsi!*

— *Jak to? Dlaczego? Do samej wsi?*

— *Tak jest, do pierwszych chat! Przecież nie wolno mi wy-' chodzić poza obręb wsi!*

— *Ależ co znowu! Wszelkie dotychczasowe zarządzenia uchylone! Niech obywatel swobodnie mknie choćby do samej granicy Sierra Leone!*

200

— *Dziękuję. Wszakże przewodniczący wie, że nie posiadam zezwolenia na polowanie ani na posiadanie broni...*

129

— *Głupstwo, bagatela! Dam na piśmie, że chodziło tu o kategorię nakaz chwili, o ratowanie plonów wsi w wyjątkowych okolicznościach, że to bezwzględna konieczność...*

— *...ekonomiczna — warknąłem.*

— *O to, to: ekonomiczna!* — *krzyknął Kamara Keita ucieszony i obydwaj, porwani podniosłym nastrojem, uścisnęliśmy sobie dłonie.*

(Zresztą po raz pierwszy, nawiasem mówiąc).

Przewodniczący chciał jeszcze się dowiedzieć, ile posiadam naboju i ile sztuk, według mego zdania, padnie kynocefalów. Ale jego ciekawość wielce rozdrażniła podejrzliwego Omara, który widocznie postanowił

dobić ze wsią interesu sam jeden, bez dzielenia się z jakimkolwiek rywalem — i myśliwy, nie dopuszczając mnie do odpowiedzi, dość obcesowo odrzekł, że tajemnic myśliwskich nie wolno nam zdradzić nikomu, jeśli duchy mają być łaskawe, a polowanie skuteczne.

— Zresztą — groźnie tynął spode łba w stronę przewodniczącego — sprawa jest już ubita z wsią, wybaczcie! Ubita i załatwiona!

Powiedział to gniewnym głosem, a Kamara Keita, wczoraj jeszcze taki grubianin i waśniak, teraz niepysznie opuścił uszy i umilkł. Do kata! Co działo się tej nocy, że tak mu utarło nosa? Czyżby zląkł się duchów, wywoływanych tak gorliwie przez mieszkańców wsi? A może wiejskim duchom pomogły inne, bardziej wyraziste wywody?

Judasz

Niebawem zjawił się sołtys Mamari Diara i przyniósł dla mnie turban oraz bubu, krajowy strój z płótna. Podczas polowania miałem je na sobie przywdziać, ażeby przemyślne pawiany nie poznały we mnie zbyt wczesnie Europejczyka. Nawet mauzer postanowiliśmy zasłonić starym łachem i odkryć dopiero w ostatniej chwili.

Ze znajdujących się we wsi kapiszonówek Omar wybrał tę, która wydała mu się najodpowiedniejsza. Nabił ją własnym prochem i kulą, i postanowił zabrać ze sobą jako strzelbę zapasową.

Wyruszyliśmy ze wsi w dwie godziny po wschodzie słońca, kiedy mgła zaczęła powoli opadać. Towarzyszyli nam tylko Bamba Sori, brat sołtysa, i jego dwóch synów. Przeważająca część mieszkańców wybrała się długo przed nami na pola i tam nas oczekiwała.

Ludzie znali zwyczaję pawianów jak zły szeląg i odpowiednio do tego obmyślili plan polowania, w zasadzie dość prosty. Grunty z kukurydzą i orzeszkami nie były skupione w jednym miejscu, lecz rozbite na kilka mniejszych pól, rozsianych jak wyspy wśród brussy. Najbliższe pole rozpościerało się tuż za sadybami, inne leżały nieco dalej, najdalsze prawie siedem kilometrów od wsi. Małpy nawiedzały wszystkie grunty i ograbiały nawet ów najbliższy, ścielący się za węglami chatup; ale im dalej od wsi, tym zuchwalej, rzecz prosta, sobie poczynały.

Nasz plan polegał na tym, żeby wszystkie pola gęsto obsadzać przez cały dzień hałaśliwym, zbrojnym w maczugi ludem i w miarę możliwości ustrzec je od napaści małp; wszystkie, z wyjątkiem najdalszego, pozostawione umyślnie w spokoju i ciszy. Tam spodziewaliśmy się zwabić rabusiów nieobecnością ludzi i z zasadzki dać im lupnia.

Orne grunty na ogół leżały na jednej linii, połączone ze sobą ścieżkami.

Gdy dotarliśmy do czwartego czy piątego pola, mgła dopiero rozproszyła się całkowicie; słońce mocno wyjrzało i zaczęło wysuszać rosę.

130

Pola, obejmującego pewnie dwa hektary, pilnował prawie dziesiątek chłopów i bab oraz kilka psów — straż co się zowie. Z chwilą ukazania się słońca cała paczka wszczęła wrzask. W tej kociej muzyce gardła ludzkie, gongi, grzechotki i psy prześcigały się wzajemnie, zdolne przerazić wszystkie diabły, a cóż dopiero małpy.

— Skoro tylko obeschnie rosa — kazał^{mi} powiedzieć Bamba Sori — to

ich pora. Wtedy małpy wychodzą.

202

— *Czy mamy jeszcze daleko do celu?*

— *Nie, blisko. Następne pole. Jeden kilometr. Opuściliśmy hałasujących*

ludzi i pośpieszyli dalej. Ścieżka,

bardziej niż dotychczas zachwaszczona, świadczyła o rzadszym

wydeptywaniu; to wspinała się na łagodne wzniesienia, to nieznacznie

się opuszczała. Las, miejscami jeno wyleniały, porastał tu tęgi,

żywotny, z gęstym podszyciem, doskonałym schronieniem dla

największej zwierzyny.

— *Czy tu są słonie? — spytałem po drodze.*

— *Zdarzają się.*

— *Często?*

— *Często.*

Bamba Sori był mrukliwy. Trawiła go cięższa troska niż słonie:

pawiany.

W połowie drogi do polany krótki przystanek. Narzuciłem na siebie

bubu, zawiązali mi na głowie turban. Sprawdziliśmy jeszcze raz broń,

kapiszony i wiatr: był korzystny. Mauzer, wciąż zakryty, wziąłem do

ręki.

Odtąd podkradaliśmy się gęsim marszem jak najciszej. Po chwili

rozzredniało wśród drzew — przed nami prześwitywał skraj lasu. Przed

dojściem do zarośli jeszcze raz przystanęliśmy i nadstawili ucha. W

bliższych konarach drzew szczebiotały ukryte ptaszki, dalej w kniei

pilnie gorlił gołąb, tuż dokoła naszych głów bzykały osy, ale poza tym cisza: żaden znamienny odgłos nie dochodził od strony pola.

W milczeniu podsunęliśmy się do ostatnich krzaków, bacząc, by nosa nie wytknąć z gąszczy. Pole było długie a wąskie, mierzyło może dwieście metrów długości. Staliśmy przy jednym jego krańcu. Otwarta przestrzeń pławiła się w blasku słońca, już w pełni pod brzemieniem skwaru, jak gdyby omdlała od żaru. '

Nagle Omar trącił mnie łokciem i wskazał oczami na drugi, przeciwległy kraniec pola. Coś się tam ruszało w cieniu drzew.

Spojrzałem przez lornetkę: pawiany! Cztery, pięć, sześć. Były na skraju lasu i zapewne właśnie chciały wyjść na polanę. Zadziwiająco: dopiero przed chwilą tu przybyliśmy i ukrywali

203

się niezłe w zaroślach, a jednak bestie już nas zauważyły. Rzuciły w naszą stronę przenikliwe spojrzenia i wahały się, co czynić. Były zdenerwowane. Widziałem to dokładnie przez lornetkę.

— Na strzał za daleko! — oświadczyłem. — Co zrobimy? Omar i Bamba Sori gołym okiem dostrzegali wszystko tak samo dobrze jak ja za pomocą lornetki. Doświadczone wygi szybko ukuli plan i natychmiast przystąpili do wykonania go. Przede wszystkim nie miało już na celu chować się. Dwaj synowie Bamby Sori wyszli więc swobodnie z ukrycia

131

i jeśli żywo krzątać się tu i tam, głośno rozmawiając, jak gdyby pracowali na polu. Chodziło o to, żeby przykuli do siebie uwagę

pawianów. W tym czasie Bamba Sori, Omar i ja wycofaliśmy się chyłkiem i, zatoczywszy w lesie półkole, dopadliśmy znowu do skraju polany, lecz obecnie znacznie bliżej stada.

Na szczęście leżało tam na ziemi drzewo, powalone zapewne wichurą. Pod osłoną jego pnia podpełzaliśmy aż do samego brzegu chaszczy, a że nad nami piętrzyły się krzewy, w ich cieniu byliśmy istotnie niewidoczni.

Pawiany przebywały wciąż na tym samym miejscu, co przedtem, na skraju lasu; teraz najbliższe z nich znajdowały się niespełna sto kroków od nas. Można by do nich strzelać, ale widziałem tylko kilka sztuk, a że przeważnie siedziały na pośladkach i nie ruszały się, trudno było po wielkości rozpoznać głównego samca. O niego chodziło mi przede wszystkim. Sprzątnięcie prowodyra spowodowałoby niezawodnie rozprężenie stada i ułatwiłoby rozbicie go.

Pawiany, zajęte dwoma ludźmi pracującymi na drugim końcu pola, co chwila kierowały tam uważne spojrzenia. Nie domyślały się bliskiego wroga ani wiszącego nad nimi niebezpieczeństwa. Na brzegu lasu było tylko kilka zwierząt; nieco w głębi, wśród krzaków, migotało ich więcej. Czekaliśmy tak dobry kwadrans. Nie śmiałem nawet przyłożyć lornetki do oczu, żeby przypadkiem błyskiem szkła nie zdradzić swej obecności. Zresztą było to niepotrzebne. Co odczuwałem w tej chwili? Nic, tylko pasję myśliwską. Jeszcze

w czasie marszu nachodziły mnie ulotne odruchy wątpliwości, łatwo tłumione wmówieniem w siebie, że to konieczna pomoc ludziom. Teraz

nie miałem żadnych doznań prócz żądzzy zabijania. Jak straszliwie

łatwo było wracać do barbarzyńcy w sobie!

Małpy w końcu zrozumiały, że nic im nie grozi od chłopów w oddali.

Zaczęły powoli ruszać się i wiercić. Rozbrzmiewały wśród nich odgłosy i

gardłowe gaworzenia, podobnie jak w grupie ludzi, postanawiających

wspólnie wyjść na dwór. Kilka pawianów wydyrdało drobnymi

krokami na polanę i pierwszy z nich, baraszkując, zabrał się do

zrywania orzeszków.

Na ten żaloszny widok Bamba Sori, porwany piekącą zgryzotą, nie mógł

powstrzymać się od sapania i dawał mi obłądne znaki, żebym szybko

strzelał do żarłoka. Ale nie był to największy pawian i Bamba Sori

dostał od Omara srogiego sztur-chańca w bok, po czym się uspokoił.

Wtem kilkanaście sztuk wypadło od razu z zarośli, a wśród nich dwa

pawianiska potężnej postaci, wielkie jak brytany. Olbrzymy rzucały się

w oczy. Nie było czasu dociekać, który był wodzem stada. Pierwszy,

wzięty na cel w komorę, padł. Bliski huk wystrzału dosłownie

sparaliżował na chwilę całe stado. Szarpnięciem zamka zdążyłem

wyrwać z lufy łuskę, wsunąć nowy nabój, wycelować w drugiego

olbrzyma i ponownie strzelić, zanim stado ochłoneło z przerażenia i

oszalałe rzuciło się do ucieczki.

Drugi pawian runął także jak ścięty z nóg, ale natychmiast powstał i,

slaniając się ociężale, powłókł za innymi. Bamba Scri nie wytrzymał.

Wyskoczył z ukrycia i w kilkunastu lamparcich susach dogonił zwierzę.

Grubym kijem zdzielił je w łeb, lecz nie zatlukł. Pawian resztką sił

zerwał się i straszliwe zęby wpił w nogę człowieka. Napadnięty zwałił się na ziemię. Szczęściem zamroczony zwierz" nie dopadł jego gardła, lecz wciąż kurczowo trzymał nogę.

Na to Omar wyprysnął z za pnia i rzucił się na pomoc. Podbiegłszy, przytknął prawie lufę kapiszonówki do małpiego łba i wypalił. Pawian osunął się.

204

Awantura z ranioną bestią rozegrała się piorunem. Tymczasem stado prysnęło do lasu, ale zmiarkowało, że coś okropnego spotkało dwa padające pawiany i nie uciekało dalej. Przeciwnie, zawróciło i wśród piekielnego skowytu, skrzeku, wystawiania zębów, gotowało się jak gdyby do natarcia na nas. Pawianów było przeszło dwadzieścia sztuk.

Wszystkie pienily się ze złości; opanował je szal nieprzytomnych furiatów. Pomimo rozjuszenia zwlekały z napaścią i na razie nie ważyły się przyskakiwać bliżej niż na kilkanaście kroków. Ale coraz wścieklejszym ujadaniem wzmagały w sobie zuchwałość i coraz bliżej szczyrzyły na nas groźne kły.

W tych warunkach dwa następne strzały były dziecięcą zabawką i gładko powaliły dwa najbliższe zuchwalce. Pozostał mi w lufie piąty, ostatni nabój, potem już tylko kolba do obrony. Ale przeraźliwej hukaniny i tyłu śmierci stado nie mogło znieść, miało już dość. Bliskie zwycięstwa, załamało się. Wydając obłąkane beki i pohukiwania, pierzchało w popłochu, dając nura w zarośla.

Po chwili cisza zaległa pole i las, cisza i ostry swąd prochu. Podczas strzelaniny Omar dał ognia także z drugiej kapiszo-nówki, jednak bez widocznego skutku.

Bamba Sori, pomimo krwawiącej nogi, cieszył się, jakby ujrzał siódme niebo. Pijane szczęściem oczy świeciły mu się do czterech małych trupów i do mnie, bohatera. A tymczasem bohater nie czuł się dobrze, lecz przeciwnie, czuł się jak judasz. Junaczący barbarzyńca skrewił, zaprzepaścił się, przestał choj-raczyć; mdlilo go.

Czy to wstyd przyznać się, co nastąpiło? Bohater przewiesił mauzer przez ramię i, mając nudności, milczkiem zemknął w las. Tam w skrytości kniei, z dala od uwielbiających go świadków, smętnie wymiotował resztki wiejskiego sutego śniadania. Oddawał naturze judaszowy srebrnik.

Dziwadła

Popołudnie tego dnia spędziliśmy we wsi, a wieczór utrwalił się w mej pamięci tym, że ujrzałem najosobliwszego zapewne ptaka na ziemi, tak zwanego lelka czteroskrzydłego. Ekscentryczny cudak oczywiście nie miał czterech skrzydeł, lecz dwa, ale takiego kształtu, że nawet najospalszy flegmatyk i ostatni niemrawiec, ujrzawszy go w locie, przejęty zdumieniem, musiał wybałuszyć oczy na to dziwo.

Najlepszym dowodem skłonności ludzi do hysterii jest ich odwieczny stosunek do lelków. Ponieważ ptaki zjawiały się tajemniczo o wieczornym półmroku, a nie unikały sąsiedztwa ludzi, starożytni Grecy, Rzymianie i inne narody zabobonnie przypisywali im Bóg wie

*jakie demoniczne właściwości i tępił je, jak mogli. Absurd dokola
pocziwych lelków ciągnął się i przez późniejsze wieki, zostawiając*

133

*niesławny ślad w ich nazwie. Anglicy, lubujący się w średniowiecznych
przesądach, nazwali je goatsucker, a nawet Niemcy, na ogół bystrzy
obserwatorzy przyrody, popełnili ten sam błąd ze swym Ziegenmel-
kerem. My oczywiście zatrajkotaliśmy pacierz za niemiecką panią
matką i już na słowo honoru przyjęliśmy kozodoja.*

*Arabowie błędnie przytroczyli lelkowi, widzianemu w Ko-nokoro,
cztery skrzydła, ale nauka przyjęła dobrodusznie nazwę, ba, w
łacińskiej nomenklaturze wlepiła mu jeszcze mylny przymiotnik
„długooogniasty” — longipennis — ażeby nie ulegało wątpliwości, że
ornitologowie to nie drobiazgowi formalści i pedanci: mój lelek nie miał
nigdy długiego ogona. Owszem, coś mu tam z tyłu dyndało, ale to nie
ogon.*

*Zresztą, Bogiem a prawdą, lelki same nie były bez winy w stosunku do
tak nieprawdopodobnych posądzeń, skryte istoty bowiem miały
dziwaczne, prowokacyjne maniery. Przypomniałem sobie pewien
gorący wieczór w brazylijskim stanie Parana, kiedy z zoologiem
Antonim Wiśniewskim wracałem z polowania. Było już prawie ciemno,
gdy kilkanaście kroków przed nami cichutko jak duch zerwało się coś z
drogi i zni-knęło w ciemności. Musiało ulecieć tylko kilkadziesiąt kro-*

207

i

ków i znów się na drodze, bo gdy zbliżyliśmy się, ponowiło manewr i odfrunęło powtórnie na niedużą odległość. Tak powtarzało się dobrych kilka razy; ^addmowy ptak — doszliśmy do przekonania, że to wielki ptak — swym tajemniczym pojawianiem się i znikaniem jak głąby chciał nas urzec albo zagadkowo z nas zadrwić. Ktoś lękliwy mógłby wierzyć, że to mara, klasyczny upiór, dopóki Wiśniewski nie strzelił do niego. Pomimo ciemności trafił i wtedy okazało się, że zdobyliśmy do zbiorów piękny okaz lelka południowoamerykańskiego.

Tego wieczoru w Konokoro przechadzałem się z Omarem wzdłuż brzegu rzeki i wtedy to ujrzeliśmy ptaka. Niewiele już było światła, mimo to natychmiast poznaliśmy lelka po niepewnym, nierównym, jakby miękkim locie, tak znamienne dla całej rodziny. Ale niechby go jasne pioruny trzaśły, ile właściwie leciało tam ptaków, trzy czy jeden? Chyba trzy: jeden wielki w środku i dwa mniejsze po bokach, lecące nieco z tyłu. Wykonywały dokładnie te same zygzaki i skręty, co wielki ptak pośrodku, i stanowiły jego upartą, nieodstępną eskortę. Mimo woli przyszły mi na myśl morskie rybki satelity, trzymające się boku niektórych wielkich ryb.

Nie, to był jeden ptak, sławetny lelek czteroskrzydły. Jedna lotka w każdym jego skrzydle — dziewiąta lotka, dajmy wiarę ornitologom — zwariowała i wyr^osta nadmiernie, daleko poza skrzydło, wypuszczając gołą jak roślinny badyl stosińę. Dopiero na samym jej końcu, prawie pół metra od skrzydła, obrastała stosińę bujna, szeroka chorągiewka piórowa. Ona to sprawiała wrażenie osobnego ptaszka, lecącego tuż za

*lelkem, wrażenie tym bardziej złudne, że w mroku nie widziało się
cienkiej stosiny.*

*Ptak, łowiąc w powietrzu owady, kilka razy przeleciał nad nami. Lelki
na ogół latają ociężale, & „czteroskrzydłym” dwa ekscentrycznie
wydłużone pióra jeszcze bardziej utrudniają lot i tym samym
zdobywanie pokarmu, muszek w powietrzu.*

134

Był to samiec; samiczki, wiedziałem, nie posiadały wydłużonych lotek.

Wiele innych ptasich samców odznaczało się wy-

^1 hB

*kwintnym, gogusiowatym strojem, ale tu snobizm wyraźnie
przeholował i wyrządzał już szkodę czołowym funkcjom życiowym,
krępując swobodę ruchów. Dotychczas sądziłem, że taki snobizm i taka
lekkomyślność były tylko przywilejem człowieka.*

*Rozpasanie twórczej fantazji znajdowało w lelku nieodparty;
urzekający wyraz. Ptak ten osiągał to, o czym marzyło współczesne
malarstwo: dziwactwem swym zapalał ludzką wyobraźnię i budził
podziw.*

*Na kolację zaproszono nas, jak poprzedniego dnia, do c^aty Barnby
Sori; znowu zebrała się cała kupa krasomówców i doradców. Był także
Kamara Keita, przewodniczący komitetu. I znowu walcowanie tego
samego tematu. „Bohaterowi” t}nia wyjaśniono, że wieś postanowiła
odstraszyć pawiany wywieszając na każdym polu po jednym małpim
trupie, przytwierdzonym do wysokiego drąga, ażeby uchronić je od*

nocnych drapieżników...

— A od sępów za dnia? — zapytałem.

— Będziemy odtąd pilnowali przez cały dzień! — uspokojono mnie.

Ale ponieważ wieś posiadała więcej niż cztery pola, potrzebowała więcej małpich trupów. Wymyślono już nowy plan łowów na następny dzień, obiecując sobie równie dobre Wyniki jak dziś, mianowicie...

Zanim mówcy przeszli do wyłożenia mi szczegółów, oblałem ich zimną wodą oświadczając stanowczo, że nie mogę zabić więcej małp.

— Jak to? Dlaczego nie?! — warknęły zewsząd złowrogie pomruki; posypały się na mnie roziskrzone nagle spojrzenia na myśl, że mógłbym wymknąć się wsi.

— Nie mogę — wyjaśniłem im rzeczowo — bo taki jest surowy obyczaj, panujący od pokoleń w mej rodzinie: nie wolno mi przekroczyć liczby czterech!

— Ach! Ach! — ozwały się zewsząd pełne zrozumieją i szacunku głosy i chociaż okropnie popsulem ludziom szycj) wiedzieli dobrze, jaka to potęga obyczaj rodowy.

14 — Nowa przygoda

209

!-.' <:*

— To co innego! — wzdychali.

Chcąc nie chcąc zaczęli uważniej spoglądać na Omara i wręcz zapytali go, czy może zastrzelić kilka pawianów.

— Jeśli dostałbym do ręki mauzer z lunetą, nic łatwiejszego! — odrzekł

myśliwy z dumnie wypiętą piersią, mile polechtany.

Wszyscy ponownie zwrócili ku mnie pytający wzrok. Przypartemu do muru, nie wypadło nic innego, jak życzliwie się zgodzić.

— Nie znam w Gwinei znakomitszego myśliwego niż Ma-madu Omar.

Na jutro pożyczę mu mauzer z lunetą i dam pięć nabo!

— Legnie pięć kynocefalów! — odrzekł na to Omar ze szlachetną skromnością.

— To starczy! To zupełnie starczy! — zawołali zgromadzeni, wynagradzając tym umiarkowaniem skromność Omara.

135

Ułożono nowy plan działania na jutro, podobny do dzisiejszego, tylko ze zmianą pól — i poszliśmy spać.

Następnego dnia czułem się jak na miłych wczasach. Podczas gdy więcej niż połowa mieszkańców wsi pośpieszyła z Omarem na polowanie, ja spędzałem czas na beztróskim wałęsaniu się po zaułkach osiedla.

W Konokoro panoszyło się moc wesołych jaszczurek agama, chyżych jak małe złodziejaszki. W Afryce tropikalnej żyje ich wiele gatunków, a niektóre są ślicznie ubarwione i przeważnie mają jaskrawo czerwone głowy. Jednakże konokorskie agamy, bardziej wstrzemięźliwe, nie poszły za przykładem tamtych wytworniś i wolały mieć — w każdym razie w tej porze roku — szarordzawe główki. Ale poza tym co za temperament, jakby je kto na sto koni wsadzał!

Pożyteczne stworzonka pożerały muchy i tym podobną czerń; grasowały tylko w najbliższym sąsiedztwie ludzi, najchętniej tuż

pomiędzy chatami, w brussie nie było ich wcale, a mimo to unikały ludzi tak płochliwie, że do żadnej nie udało mi się podejść bliżej niż na trzy kroki. Powyżej trzech kroków wszystko: przyjaźń, miłość, braterstwo, solidarność, zaloty,

210

*narody kojarzcie się — poniżej trzech kroków nagły strach, zimna wojna i *sauve qui peut**: uczucia przyjazne ulatniały się i agamy także. Dorośli ludzie na pewno sprzyjali im bez wyjątku, ale czy kury i dzieci także, to wątpliwe. Fakt faktem, że agamy kochały ludzi, ale przezornie, na bezpieczną odległość.*

Uciekając, biegły zazwyczaj błyskawicznie do najbliższego drzewa.

Chowały się za pnem i wytykały tylko główkę, by „przyjaciela” nie spuszczać z oczu. Wtedy czyniły to, co przysporzyło im rozgłośniej

sławy, jeśli nie wszechświatowej, to na pewno w całym świecie Arabów

i innych mahometan. Mianowicie przednią częścią ciała i głową

jaszczurki kiwały w górę i w dół wielokrotnie, co trochę przypominało

ruchy modlących się mahometan, odprawiających poranne i wieczorne

salaam: klęcząc, wykonywali oni podobne ruchy, gdy co chwila bili

czołem o ziemię.

Co żarliwsi mahometanie od wieków nie mogli tego wybaczyć agamom.

Oskarżali je o przechowywanie w sobie diabła, który sztydził z

pobożności wiernych i kazał piekielnym jaszczurkom przedrzeźniać

ruchy modlących się — zbrodnia, za którą przestępczyniom należała się

śmierć. Ale jak tu zabijać bezecne agamy, skoro wszyscy wiedzieli, że

*przy całej swej podłości użytecznie niszczyły robactwo we wsiach
wiernych? Jak tu odważyć ich winę, ich zasługę? Tak oto poczciwe
jaszczurki swym kiwaniem wnosily dodatkową okrutną rozterkę do
skołatanych dusz wiernych, jak gdyby ludzie nie mieli już dość
własnych trosk na głowie.*

*Na szczęście dla gwinejskich agam tutejsi mahometanie nie byli
fanatykami i diabła nie dopatrywali się w byle czym. Agamy w
Konokoro smyrgały co kilka kroków i, umknąwszy w bok, ruszały
głowami. Nikt ich tu nie prześladował. Były zabawne, trzpiotowate,
cudaczne, aż w pewnej chwili i ja także, jakkolwiek półżartem i pomimo
żem nie mahometanin, zacząłem patrzeć na nie trochę inaczej. Czy nie
dałoby się*

** Ilr.1 Ratuń się, kto może.*

136

211

*wyczytać w tym nieustannym kołysaniu lepetynek jakiegoś
przenośnego znaczenia? Na złodzieju czapka gore, więc czy w
symboliczny przewód nie można było tu włączyć wczorajszej
strzelaniny? Czy zmyślne agamy nie kiwały głowami z pogardliwym
politowaniem nad zdradzieckim judaszem?*

*Oczywiście takie rozumowanie było śmieszne, ale, psiakość, nie chciało
mi się wcale śmiać, gdy krótko przed południem doszedł z daleka głuchy
huk mauzerowego strzału niby wyrzut sumienia. A w chwilę potem
zabrzmiął drugi, trzeci i czwarty. Omar zabijał pawiany.*

Słonie

Zabił dwa pawiany. Nienasyconej wsi było tego wciąż za mało, ale teraz ja się zbuntowałem: uprzejmie, lecz nieodwołalnie oświadczyłem podczas kolacji, że następnego dnia rano opuścimy Konokoro, wracając do Saroyi — i opuściliśmy.

Wieś żegnała nas serdecznie, nawet Kamara Keita był miły. Chciano wystawić mi przyrzeczony cyrograf co do polowania, ale że zmarudzilibyśmy przy tym kilka godzin, a może i cały dzień — zrzekłem się pod warunkiem, że w razie potrzeby wieś dośle mi zaświadczenie.

Ostatnie spojrzenia na Niger rzuciliśmy ze wzgórza, z którego kilka dni temu ujrzałem rzekę po raz pierwszy. Przed godziną mgła stopniała i dzienny skwar już przytłaczał ziemię, toteż na piaszczystym brzegu z drugiej strony rzeki wygrzewało się w słońcu kilka krokodyli. Leżały kładowato jak remanent zamierzchłej Afryki; widok ich odruchowo przywodził pytanie: jak długo jeszcze?

— Czy one nie szkodzą ludziom? — spytałem Omara. — Nie są utrapieniem?

— I jakim jeszcze! — odrzekł.

— To czemu ich nie wytepią? Czy ta tak trudno?

— Trudno. Ludzie wierzą, że to jakieś demony. A poza tym, czym mieliby wytepić? Pukawkami?

Administracje kolonialne, nie dopuszczając nowoczesnej broni do ludności afrykańskiej, miały przede wszystkim własne bezpieczeństwo

na oku, ale równocześnie ubijały drugą muchę, chroniąc dzikie zwierzęta od zagłady. To przypomniało mi nasze zaniedbania w

Konokoro:

— Ciekaw jestem, czy hipopotamy żyją daleko od wsi?

— Mówili, że za najbliższym skrzyżowaniem powyżej wsi. Nie dalej niż parę kilometrów.

— Niech diabli biorą te awantury z pawianami! — zgrzytnąłem z całej duszy. — Poza nimi świata nie widzieliśmy.

— Ale wzbogaciliśmy nasze doświadczenie! — wygłosił Omar z tak wielkim zapalem, że łatwo było domyślić się reszty: myśliwy wzbogacił nie tylko doświadczenie.

Odbiliśmy się od rzeki i zapadliśmy w brusę. Była, jak wszędzie w tych stronach, wielce urozmaicona; gęsta knieja przeplatana rzadkim lasem, krzewiaste polany — gołymi bo-walami. Na ogół teren płaski i dość wytarta ścieżka ułatwiała jazdę rowerem. Ludzi nie było tu wcale. Dwie jedyne wioski, przed kilku dniami przebyte w drodze nad Niger, leżały

137

w pobliżu toru kolejowego, o przeszło trzydzieści kilometrów na północ.

Przed nami ciągnął się cały pas bezludzia.

Na skraju któregoś bowalu ujrzeliśmy z dala stado kilku wielkich antylop. Miały niezwykle grzywy na karkach i długie włochate ogony, po czym bez trudu poznałem antylopy końskie. Czujne, zaledwie nas zoczyły, przepadły w krzewach.

W godzinę mniej więcej po opuszczeniu brzegów Nigru przemierzaliśmy

gęsty las. Rosły tu pokaźne drzewa w pełni listowia i w ich cieniu

*panował zielony półmrok. Naraz Omar, jadący przede mną, zauważył
coś niezwykłego. Gwałtownie zahamował, ruchem ręki dając mi znak
zatrzymania się. Cichuteńko zeskoczył z roweru, ja za nim.*

Przyłożył palec do ust i szepnął do mnie ledwo dosłyszalnie:

— Słonie!

Podniecony spojrzałem bacznie w las, idąc za wzrokiem Omara.

*Dalibóg, były! Ostupiałem stwierdziwszy, że wpadliśmy w sam środek
stada. Szare kolosy otaczały nas z obydwu stron.*

213

Kolosy! O kilkanaście zaledwie kroków od nas wznosiła się, na pół

zakryta gąszczem, jakaś ogromna szara masa ni to cielska, ni

olbrzymiego głazu. Był to fragment słoniowego tyłu, reszta zwierza

tonęła w zieleni. Ale już to, co dostrzegałem, wydało się w tych

okolicznościach czymś nie do wiary, burzyło wszelkie doświadczenia

wzrokowe, niweczyło przyjęte proporcje rzeczy.

W innym miejscu, też o kilkanaście kroków, widziało się tylko grzbiet

słonia, ale jak to możliwe, że sterczał tak nie-wiarogodnie wysoko?

Sięgał niemal dolnych gałęzi wierzchołka drzewa niby grzbiet

fantastycznego potwora! Czyżby bliskość i gęstwina tak wyolbrzymiały

zjawisko?

Stado, zaskoczone naszym pojawieniem się, zamarło w bezruchu, tak

samo jak my. Położenie nasze było nieprzyjemne, może groźne: niechby

któryś samiec się rozzłościł albo jakaś matka chciała bronić swego

młodego, mniemając, że zagrożone — to dziękuję! Pomimo zrozumiałego lęku silniejszym uczuciem, jakie we mnie wezbrało, było zdumienie nad ogromem zwierząt. Toż to monstra, niewspółmierne z dzisiejszym światem, jacyś legendarni władcy legendarnej krainy z urojonych bajek, jakiś kapryśny wytwór fantazji Poego, Hoffmanna czy Swifta, a nie rzeczywiste zwierzęta.

Gdy tak stałem, owładnięty dziwnymi wrażeniami, dotknął mnie Omar i kazał spojrzeć w stronę gąszczu, gdzie przed chwilą widniał tył słonia: zwierza już nie było. Znikł. Przepadł również grzbiet drugiego słonia.

Stado czmychnęło tak cichutko, że pomimo bliskości nie słyszałem najlżejszego

szelestu,

nawet

trzasku

najdrobniejszej

gałązki.

Fenomenalny wyczyn był jeszcze jedną niespodzianką ze strony gruboskórnych zwierząt, pozornie tak ociężałych.

Spotkanie ze słoniami przejęło mnie do głębi i w ciągu dalszej podróży pozostawałem pod wpływem tej przygody, a że nie potrzebowałem zważać na drogę, jadąc spokojnie za Oma-rem, mogłem wybiegać myślami, gdziekolwiek ponosiła wyobraźnia.

Jest w Niemczech ciekawy i sympatyczny człowiek, dr Bern-

hard Grzimek, zoolog, pochodzący ze Śląska, dyrektor ogrodu

światowej zwiedził kilka razy Afrykę i napisał kilka książek. Jedna z nich, „Nie ma miejsca dla dzikich zwierząt”, zdobyła wszechświatową sławę i zapoczątkowała kampanię w obronie dzikich zwierząt afrykańskich przed zagładą.

Nie czytałem tej książki, pisanej w latach, kiedy system kolonialny jeszcze wydawał się niezachwiany jak żelbeton, ale z tego, co o niej słyszałem, przypuszczam, że odnosiła się głównie do Europejczyków i ich władz kolonialnych. Z namiętną szlachetnością dr Grzimek występował przeciw krzywdzie dzikich zwierząt i żądał skuteczniejszej ich ochrony, jeśli nie miały ulec całkowitemu wytępieniu na skutek nadmiernego odstrzału i kłusownictwa. Był to żarliwy głos wielkiej i słusznej kruczaty, znajdującej — powtarzam — zasłużony oddźwięk w społeczeństwach zachodniej Europy i Ameryki.

Dziś, po kilku brzemennych dla Afryki latach, kiedy inny, ważniejszy pokrzywdzony, mianowicie człowiek, zaczął skutecznie zrywać kolonialne kajdany — wobec przełomowych wydarzeń potężny niedawno głos kruczaty zwierzęcej zeszedł na drugi plan. Stracił pierwotne znaczenie nawet w Afryce Wschodniej, dotychczasowym rajem myśliwych, gdzie utrzymującym się na razie u władzy Europejczykom staną wkrótce kością w gardle groźniejsze kłopoty niż sprawy zwierząt. Od połowy 1960 roku w wielkich ilustrowanych czasopismach Zachodu zaczęły pojawiać się efektowne jeremiady nad przyszłym smutnym

*losem dzikich zwierząt w Afryce. Odmiennie w duchu niż szczere
przestrogi dra Grzimka, artykuły te, wspaniale zazwyczaj ilustrowane
kolorowymi zdjęciami, wywyższały niemal do godności gwiazd słonie,
lwy, nosorożce, bawoły, żyrafy i inne zwierzęta, roniąc gorące łzy nad
ich bliską zagładą. Zagładą nieuchronną, gdyby dopuścić do władzy
wiecznie głodną hałastrę murzyńską i tym samym pozwolić
niepoczytalnym barbarzyńcom wytepić do nogi chlubę przyrody
afrykańskiej. Artykuły przebiegłe nie stawiały kropki nad i, ażeby
czytelnik mógł sam wyciągnąć wniosek: nawet i w tej dziedzi-*

214

215

*nie, zwierzęcej, tak uczuciowo bliskiej sercu każdego człowieka
cywilizowanego, wynikną niepowetowane szkody dla świata z oddania
rządów w nieodpowiednie ręce.*

*Dni wielkich dzikich zwierząt w Afryce są niestety rzeczywiście
policzone, niezależnie od tego, co i kto, i z jakiego stanowiska o tym
pisał i pisać będzie. Nieubłagany los przypadnie zwierzętom
naturalnym porządkiem rzeczy jako wynik tego, co się obecnie dzieje w
Afryce. Zrozumiałem to wyraziście, jakby doznając olśnienia, gdy w
lesie otaczały nas słoniowe olbrzymy.*

*Objęcie przez Afrykanów władzy nad swoim losem i ziemią, w wielu
krajach już dokonane lub właśnie dokonywające się, niechybnie
pociągnie za sobą dwa skutki: burzliwie szybki przyrost ludności i
dorwanie się do nowoczesnej broni. Cały dzisiejszy przemysł leczniczy i*

wiedza o higienie runą na Afrykę jak na ziemię obiecaną i niewykluczone, że już w ciągu jednego pokolenia ludność w dwójnasób się rozmnoży.

139

A co do broni nowoczesnej? Kapiszonówki były upokarzającym, narzuconym symbolem kolonializmu. Afrykanin nie tylko odrzucił je z uczuciowej odrazy, ale, postępując w siedmiomilowych butach, sięgnął, rzecz prosta, do dobrej strzelby, by uchronić swe pola od szkodników. Nic chyba lepiej nie uwydatniało takiej konieczności jak wypadki przeżywane w Konokoro.

Godzinami pedałowaliśmy przez brusę, miejscami to bujną i zieloną, to jałową i wyschniętą, a nigdzie ani śladu człowieka. W pustym krajobrazie doznawało się z lekka oszołamiającego wrażenia, tak znamiennego dla Afryki, że oto po raz pierwszy od stworzenia świata człowiek przemierza pradziejową krainę. Ale równocześnie jakże łatwo wyobrazić sobie, że to ostatni dzień tej dziewiczości.

Wobec afrykańskiego rozpędu należy realnie przypuszczać, że za piętnaście, dwadzieścia lat dzisiejsze pustkowia ożywi się obecnością kilkuset, a może i więcej rolników, a kilkunastu z nich będzie na pewno miało dobre stajelki. W zrozumiałej obronie swych pól człowiek wystrzela wszystkie słonie, bawoły i wielkie antylopy, a mocno przetrzebi mniejszą zwierzynę. I nie

. 216

będzie to dzika i barbarzyńska rzeź, jakiej ofiarą padły stada bizonów w

Ameryce Północnej, lecz elementarna samoobrona i zjawisko

nieuniknione.

Nieuniknione tak samo, jak wyplenienie groźnych turów w dawnej

Polsce, niedźwiedzi w Szkocji czy wilków w nizinie francuskiej. Tylko że

w Afryce dramat rozegra się gwałtowniej, w gorączkowym napięciu, z

nieśluchanym pośpiechem.

Tumanea

Do Saroyi wracałem, niby w inny świat, do bliskich mi dusz. Chavot

dopiero co przybył z Kurussy. Zarówno on, jak i cała rodzina powitali

mnie jak serdecznego przyjaciela.

W dwa dni później Chavot zabrał mnie na swą kamionetkę i ruszyłem w

drogę powrotną do Daboli. Po drodze mieliśmy zwiedzić dwie słynne

miejsowości, miasteczko Dingiraj i wioskę Tumanea, leżące blisko

siebie, wslawione wielką historią. Związane były z losami dwóch

wybitnych twórców afrykańskich państw, El Hadži Omara z połowy

XIX wieku i wodza Samoriego z końca tego wieku, których Francuzi

musieli dopiero pokonać w uciążliwych wojnach, zanim zawładnęli

krajami nad Nigrem.

Podczas gdy El Hadži Omar pochodził z Senegalu i miasto Dingiraj stało

się tylko przybraną stolicą jego państwa, to Samori był rodowitym

Gwinejczykiem ze szczepu Mandingow i, jak już wspominałem,

dziadkiem obecnego prezydenta Gwinei, Sęku Turego.

W wiosce Tumanea, leżącej na lewym, zachodnim brzegu rzeki Tinkiso,

o jakieś pięćdziesiąt kilometrów na północo-wschód od Daboli, żyli

ludzie szczepu Dialonke, dalecy pobratymcy Mandingow. Była tu ongiś najbardziej na zachód wysunięta warownia Samoriego, zuchwale wzniesiona na podbitym obszarze tuż pod nosem Fulbejów, a tak masywnie zbudowana, że do dziś miejscami przetrwały jej mury, wśród których mieszkali ludzie.

217

140

Około dziesiątej przed południem wjechaliśmy na wielki drewniany most, rzucony przez rzekę Tinkiso, w tym miejscu znacznie węższą niż Warta pod Poznaniem. Po drugiej stronie ujrzelśmy wieś Tumanea, a pod nią, na samym brzegu wody, kilka kobiet i dziewcząt łowiących ryby. Jak lepienie garnków; tak samo ten prosty sposób łowienia należał do prac kobiecych: niewiasty w fartuchach wchodziły do wody na metr lub półtora od brzegu, nie tracąc gruntu pod nogami, i każda zanurzała sak przed sobą, wyciągając rybi drobiazg, jeśli nieopatrznie dał się zaskoczyć.

— Może to wnuczki Samoriego! — uśmiechnął się Chavot, wskazując kobiety. .

Samori, jako afrykański wódz starej daty, miał niezliczony harem. Co najmniej jedna córka każdego podbitego przez niego księcia, wodza czy nawet sołtysa spustoszonej wsi automatycznie stawała się jedną z jego żon; Samori, według obliczeń Francuzów, miał przeszło dwustu synów i około setki córek.

Uważnie przyjrzałem się kobietom, wśród których były młode

dziewczyny.

— Jeśli to posiew Samoriego — rzekłem — to w takim razie nie tylko wnuczki, ale i prawnuczki.

— O key, niech będzie i tak!...

Tumanea składała się z około dwudziestu chat. Wchodziło się do wsi przez bramę, zbudowaną jak tunel wewnątrz bastionu, dawniej obronnego. Dziś mur, okalający ongiś warownię, częściowo się rozpadł, ale tam, gdzie stał jeszcze, służył obecnie chatom za podporę. Można było wejść do wsi z różnych stron, ale my wkroczyliśmy przez oficjalną bramę i zaraz za nią wtargnęliśmy w poufne zacisze domowych pieleszy: na dziedzińcu, otoczonym szorstkimi murami dawnej warowni, przyjaźnie uśmiechnięte kobiety siedziały przy kilku ogniskach i gotowały w garnkach strawę na obiad.

Chavot posiadał w Tumanei chatynkę, żartobliwie nazwaną przez niego pawilonem myśliwskim, w której czasem nocował, jeśli nachodziła go, rzadka zresztą, chętka na polowanie w oko-

218

licy: bywały tu w niektórych miesiącach stada antylop końskich.

Mieszkańcy wsi pozdrawiali go jak miłego znajomego, a gdy poszliśmy nieco dalej między chaty, zjawilo się kilku mężczyzn, ażeby nas powitać.

Każdy chępliwie niósł strzelbę, oczywiście kapiszonówkę, jak gdyby chciał pokazać, że nie zaginęły dawne wojackie tradycje wsi.

— Ciekaw jestem — spytałem Chavota — czy oni pamiętają coś o Samorim?

— *Sami pamiętać nie mogą, bo za młodzi!* — odrzekł Francuz. — *Reduta*

pochodzi mniej więcej z roku 1885, a później Samori wycofał się na wschód i południe pod naporem francuskich oddziałów. Za to ich rodzice lub dziadkowie na pewno znali Samoriego.

— *Niech pan zapyta, co o nim wiedzą?*

Chavot uczynił to w języku mandingo, gdyż nikt nie znał tu francuskiego, i od razu takie ożywienie oładnęło wojakami i tyle posypało się słów, jakby wetknął kij w mrowisko. Podnieceni, ujawniali ważne nowiny, wskazywali na siebie, ich głosy, oczy i ręce namiętnie się rozegrały. Chavot słuchał ich zrazu niemal zdębiały, nie ukrywając

141

swego zdumienia, potem zwrócił się do mnie z figlarnym błyskiem w źrenicach:

— *Nie przypuszczałem, że akcje Samoriego poszły aż tak wysoko w Gwinei!*

— *Czyżby?*

— *Oni wszyscy, bez wyjątku, przyznają się na leb na szyję do pokrewieństwa z Samorim, jeden jest nawet wnukiem w prostej linii, ale ci inni także tej samej krwi... Dobra koniunktura zaświtała dla wnuków Samoriego, jak widać...*

— *I tym samym dla kuzynów prezydenta państwa, choćby dalekich i ubogich!* — *dodałem rozweselony.*

Ale chwalebna wieść Tumanea miała dla mnie w zanadrzu jeszcze inną niespodziankę. Większość mieszkańców znajdowała się gdzieś daleko

na polach; opuszczając chaty, zamykano drzwi na mocne kłódki.

Zwyczaj takiego zabezpieczenia się, nie spotykany dotychczas w

Gwinei, zdziwił mnie co niemiara.

219

— Tak — potwierdził Chavot — kłódki mają u nas coraz większe

powodzenie. To import z Polski.

— Skąd? — nie wierzyłem własnym uszom.

— Z Polski. Są niezłe, ludzie sobie je chwalą... Załaskotały mi w sercu

drgnienia dumy, że w oczach Gwi-

nejczyków dobijaliśmy się nie byle jakiej sławy pogromców

złodziejstwa. Czesi przysyłali tu traktory, my kłódki. Lecz wracajmy do

Samoriego.

Samori

Samori Turę urodził się około 1840 roku w Sanankoro, jakieś sto

pięćdziesiąt kilometrów na południe od miasta Kankan, i w młodości

był, tak samo jak jego ojciec, wędrownym kupcem. Jakkolwiek całe

wnętrze Afryki Zachodniej jeszcze długie lata miało pozostać bez

politycznej „opieki” Europejczyków, którzy na razie siedzieli tylko na

wybrzeżach, to ich nauka z XVII i XVIII wieku — handel niewolnikami

na wielką skalę — bynajmniej nie poszła w las w wieku XIX: każdy król i

każde królatko uważali za swój punkt honoru naprawiać budżet

łapaniem niewolników u słabszych sąsiadów, a skorych nabywców

popłatnego towaru nigdy nie brakowało od Nigru po Arabię. Pewnego

dnia podczas takiej łapanki żołdaci władcy z Kankanu napadli na wieś

rodzinną Samoriego i wprowadzili jego matkę do niewoli.

Gdy Samori udał się do Kankanu, by ją wykupić, on także został gwałtem złapany po czym wcielony do wojskowych szeregów despoty.

Zdolny junak pełen polotu, ducha awanturniczego i iskier bożych wnet zasmakował w wojenkowych zagonach i awansował na znakomitego watażkę w służbie władcy Kankanu. Gdy po kilku latach takiej zaprawy wracał pewnego razu z dalszego wypadu, prowadząc wielu jeńców, obdarował nimi swoich żołnierzy, a wróciwszy do Kankanu, wszczął bunt, władcę uśmiercił i sam objął rządy. Był to rok 1874.

Ambitny wódz-almami snuł wielkie plany, marzył o stwo-

220

żenia nowego mocarstwa Mali i niezawodnie dopiąłby celu, gdyby to były inne czasy. Ale pod koniec XIX wieku trzy europejskie potęgi,

Francja, Anglia i Niemcy, spiknęły się, by Afrykę rozdzielić między

142

sobą; w rozbiórce tym Sudan nad górnym i środkowym Nigrem

przyznano Francji. Żelazna pięść Europy zwała się na Afrykę: przez dwadzieścia cztery lata Samori rzucał się na obszarze blisko miliona kilometrów kwadratowych jak osaczony zwierz, zanim uległ.

Była to wojna okrutna, bezwzględna, obracająca w perzynę i całkiem wyludniająca olbrzymie obszary kraju. Kto nie ginął, szedł do niewoli.

Po podbiciu kilku sąsiednich państewek Samori ruszył na północ, ku rzece Senegal, lecz tu natknął się na oddziały francuskie, dążące ku Nigrowi, a, rzecz prosta, znacznie lepiej uzbrojone niż jego własne.

Nastąpiło nieuniknione starcie. Samori doskakiwał do najeźdźców z nienacka i kąsał ich srodze, ale sam ponosił ogromne straty, nie posiadając należytej broni. Wolał więc zawrzeć pokój z Francuzami, godząc się na granicę na Nigrze i Tinkiso: Francuzi przyznali mu kraje na wschód i południe od tych rzek — wiedząc, że to tylko przejściowe — jako domenę jego wpływów i działań.

Zawierając z nimi pokój, Samori oddał im w rycerski zastaw, jako rękojmię' dobrej woli, swego ulubionego syna Karamoko. Francuzi zawieźli młodziana do Paryża, pokazali mu swe bogactwa, oszołomili ilością wojska na defiladzie w dniu 14 lipca i niebawem zwrócili go ojcu.

Przebiegły manewr — ktoś nazwał go szatańskim — zupełnie się udał.

Olśniony młodzian, rozpowiadając cuda o potędze Francji, szerzył wątplenie w szeregach Mandingów i ojciec skazał go na śmierć.

Względy państwowe wzięły górę nad uczuciami ojcowskimi.

— Barbarzyńca! — okrzyknęli Samoriego opiekunowie Ka-ramoka.

Sudan był od dziesiątków lat ubogi, ludność w nędzy, jedyną wartość kraju, zresztą dość wątpliwą, stanowili ludzie. Samori, potrzebujący gwałtownie pieniędzy na zakup nowoczesnej broni, musiał wyrobić się na ostatniego największe-

221

go w Afryce łowcą niewolników, jeśli nie chciał zdać się na łaskę i niełaskę Europejczyków. Tragiczna, samobójcza konieczność. Pustoszył Sudan, łapał niewolników, sprzedawał ich Fulbejom, Arabom i Liberyjczykom, a w zamian nabywał broń.

Król państwa Kenedugu, w obawie przed zaborczością Sa-moriego, poprosił Francuzów o objęcie nad jego krajem protektoratu, na co ci skwapliwie się zgodzili. Było to naruszenie pokoju zawartego z Samorim: Kenedugu leżało na południe od Nigru. Wobec tego Samori, czując się na siłach, przekroczył Niger, wtargnął na teren francuski i przeniósł wojnę na zachód.

— Burzyciel pokoju! — krzyknęli francuscy pułkownicy, radzi, że zwier sam wszedł im w zastawioną pułapkę. Znowu mieli lepszą broń, artylerię polową, i poza tym świetnie się przygotowali. Ale jakkolwiek nie szczędzili wysiłków, celu nie dopięli. Samori jak chytry lis wymykał im się ze wszystkich zasadzek — rzecz dla nich niepojęta. Przepłynął szczęśliwie przez Niger i uderzył na północ, ażeby przekonać się, że i tu już czekali na niego. Pozostał mu jedyny odwrót na południo-wschód: tam, na Wybrzeżu Kości Słoniowej, w pobliżu puszczy tropikalnej, rozłożył się warownym obozem.

Dopiero po latach wyjaśniła się tajemnica nieuchwytności Samoriego w tej kampanii: miał niedościgniony wywiad. Do wszystkich mes polowych, w których jadal francuscy oficerowie, nadsłał swych

143

szpiegów jako ordynansów. Roztropnie wykorzystał nawyk Francuzów nieopatrzego rozpuszczania języka przy posiłkach. Oficerowie w miłym nastroju lubili rozwodzić się nad swymi rozkazami, a następnego dnia ku swemu zdziwieniu uderzali w próżnię.

Samori, choć wyparty z Sudanu, nie zaszywał się w swym obozie jak w

mysiej dziurze, lecz wysyłał oddziały na wszystkie strony i nękał wroga jak sto diablów. Gdy ważny ośrodek handlowy Kong, leżący niedaleko jego obozu, wszedł z Francuzami w sojusz przyjaźni, Samori kazał całe miasto wraz z meczetami zniszczyć, a ludność wybić. Oddziały jego za-

222

puszczały się aż na Złote Wybrzeże, dopiekając także Anglikom.

W roku 1897 Sarankegni Mori, jeden z synów Samoriego, zniósł cały oddział francuski. Takiej zniewagi nie dało się ścierpieć i dowództwo francuskie postanowiło zdławić zuchwalca za wszelką cenę. Wobec nadciągających z północy i z pół-noco-zachodu znacznych sił wroga Samori zwinął obóz i, żeby zbliżyć się do granicy Liberii, skąd otrzymywał broń, wtargnął w puszcze tropikalną i parł przez gęstwinę na zachód.

Miał jeszcze kilkanaście tysięcy wojska, ale poza tym blisko sto dwadzieścia tysięcy cywilnej ludności, bo w obawie przed zemstą Francuzów wiódł za sobą cały swój szczepek. Już w ostatnich miesiącach przeludniony obóz cierpiał na brak żywności, lecz gdy zagłębił się w puszcze, przyszła klęska głodu. Wycieńczeni nędzarze zwalali się z nóg i padali, by już nie powstać. Obóz coraz wolniej brnął ku zachodowi, na każdym postoju pozostawiając za sobą setki konających mar. Po kilku miesiącach męki Samori stracił więcej niż połowę ludzi, a żywi ślaniali się jak cienie.

W puszczy Wybrzeża Kości Słoniowej grasowały prymitywne szczepy

ludożerców, które przeżywały obecnie boskie czasy i pławiły się w orgiach niesamowitej obfitości. Ale po pewnym czasie wysubtelniły sobie podniebienie i kręciły nosem na padlinę lub mięso umierających: przekładały ciała żywych i względnie zdrowych. Kto więc oddalał się od obozu chociażby na kilkadziesiąt kroków, narażał się w gąszczu na niechybny cios maczugą, po czym wprawne łapy błyskawicznie odcinały mu ramię lub wykrawały szynki. Potęgowało to jeszcze grozę położenia i nastrój oblędu udzielał się wszystkim w obozie, także najzdrowszym wojownikom. Straszliwy smród zgnilizny wisiał bezustannie nad całą okolicą, przyprawiając ludzi o mdłości. Szczególnie drogę, jaką nieszczęśni przebyli, zatruwały niemożliwe wyziewy rozkładających się zwłok.

A właśnie z tej strony puszczy rankiem 29 września 1898 roku wyskoczyło z gąszczu na polanę, na której obozował

223

Samori i część jego wojska, dwadzieścia kilka zbrojnych postaci, wcieleń szatana: biały oficer, kilku podoficerów i kilkunastu Senegalczyków. Jak ciche demony sadzili Francuzi w stronę namiotu Samoriego, poznając wodza po bogatszym stroju. Mijali skamieniałe z osłupienia liczne grupy wojaków. Pierwszy Samori odzyskał przytomność umysłu i zdjęty paniką zaczął uciekać w stronę zarośli. Francuzi i Senegalezycy rzucili się za nim jak psy gończe.

144

— Samori! Stój! Samori! — ryczeli za nim wielokrotnie.

On miał sześćdziesiąt lat, oni po dwadzieścia kilka. Zadyszany potknął się, a zanim powstał, już francuski sierżant dopadł go i ucałił za kark. — Zabij mnie! — dyszał Samori. — Zabijcie mnie! Nadbiegający oficer kazał go szybko zawlec z powrotem do jego namiotu.

Działo się to wszystko piorunem na oczach kilkuset żołnierzy Mandingów, oszołomionych przerażającym wypadkiem. Lecz wojacy szybko ochłonęli z pierwszego odrętwienia i gotowali się do zmiżdżenia śmiesznie nikłej garstki zamachowców, gdy powstrzymały ich dwa następne wydarzenia. Mianowicie z puszczy wymaszerowała we wzorowym porządku, krokiem wojskowym, w pełnym szyku bojowym, sekcja żołnierzy francuskich, za nią druga, trzecia, jak gdyby przednia straż większych sił zbrojnych, ukrytych w gęstwinie. A równocześnie z namiotu rozległ się donośny głos Samoriego, rozkazujący swym podwładnym zaniechanie wszelkiego oporu.

Oficer francuski trzymał mu przy skroni rewolwer i groził, że zastrzeli go jak szczura, o ile nie wydażądanego rozkazu. Jeśli natomiast usłucha — zapewnił oficer — będzie żył. Oddziały francuskie otoczyły cały obóz, na dowód czego wskazał ręką pierwszą sekcję oddziału francuskiego, wylaniającą się akurat z zarośli.

Samori już nie chciał ginąć, pragnął nadal żyć. Struchlały, uczynił, jak mu kazano, a jego wojacy, wstrząśnięci, usłuchali. Oszołomieni, nie byli zdolni do buntu. Poddali się pokornie.

Brawurową zuchwałością, uwieńczoną takim powodzeniem

I

zdobył światową sławę kapitan Henri Gouraud, ten sam, który kilkanaście lat później jako dowódca czwartej armii francuskiej walnie przyczynił się do zwycięstwa aliantów w pierwszej wojnie światowej.

Wyczyn w głuszy afrykańskiej był tym niezwyklejszy, że wzięcia do niewoli groźnego Samoriego i jego kilkunastu tysięcy wojaków dokonał Gouraud na czele... dwustu żołnierzy.

Świetne a szalone zaskoczenie stało się możliwe tylko dlatego, że namiot Samoriego rozbito niedaleko puszczy i gęszcz ukrywał niewiarogodnie nikłe siły Francuzów. Gdyby wojacy wiedzieli, ilu przeciwników rzeczywiście było, mogliby nawet gołymi rękami zatluc ich wszystkich z łatwością. Ale nie wiedzieli. Groźną tajemnicę kryła puszcza, więc przez cały dzień Mandingowie posłusznie znosili wszelką broń i pomagali ją niszczyć doszczętnie. A zniszczywszy, ruszyli znękani i ulegli na północ jako jeńcy. Za nimi włókł się cały ich lud.

Gdy nieco później zaczęło wojakom Samoriego świtać w głowach, że padli ofiarą tak lichej garstki wroga, było już za późno: z różnych francuskich posterunków i warowni pośpieszyły posiłki, by wspólnie upilnować hurmy jeńców.

Tak oto rozbiły się dumne plany Mandingów, zmierzające ku wskrzeszeniu nowego państwa Mali. Ich wódz, ostatni wielki almami Afryki przedkolonialnej, człapał ku smętnej niewoli. Był ostatnią uporczywą, nieprzejednaną zaporą dla zaborców. Zwycięzcy nigdy mu

tego nie wybaczyli. Nie tylko pokonali go wojskowo i zdeptali fizycznie, ale nie żalowali trudu, by również pogrążyć go moralnie w oczach

145

świata i oczernić do cna. Nawet tak znakomity żołnierz jak Gouraud nie mógł odmówić sobie przypinania mu łatek. W swych zapiskach z ówczesnych czasów kapitan podał wypadek oświetlający rzekomą okrutną nieludzkość Samoriego.

W posępnym marszu jeńców na północ szły, jak wspomniałem, także resztki całego szczepu, a między nimi liczna rodzina Samoriego, jego żony, dzieci i wnuki. Wśród żon znajdowała się młoda i ładna, ale niewierna Fulbejka. Podczas długotrwałego pochodu płocha ślicznota wdała się w amory z przy-

stojnym Sarankegni Mori, synem Samoriego, zasłużonym zwycięzcą w niejednej potyczce z Francuzami. Gdy o flircie dowiedział się stary wódz, rozpieklł się nieprzytomną złością na syna, jak gdyby w tym okresie nie miał ważniejszych kłopotów na głowie. Poprosił kapitana Gourauda o oficjalną rozmowę i zażądał całkiem poważnie ukarania zbrodniczego syna natychmiastowym ścięciem mu głowy. A więc historia pikantna, a Samori okazał się kretyńcem, potworem i psychopatą. Gouraud oczywiście odmówił.

W kilka miesięcy później w Kajes nad rzeką Senegal cywilizacja europejska

wytoczyła

demonstracyjny

proces

afrykańskiemu

barbarzyństwu. Francuski trybunał wojskowy skazał Samoriego,

Sarankegni Mori i innych wodzów na karę dożywotniego zesłania na

jakąś wyspę w Gabonie. Przyganiał kocioł garnkowi, choć sam smolił,

toteż generał Trentinian, prezes sądu wojskowego, opiekun uciśnionej

Afryki, uważał za wskazane zgromić Samoriego potężnym głosem,

ażeby cały świat go słyszał:

— ...Przez więcej niż dwadzieścia lat masakrował Murzynów,
postępował jak dziki zwierz, wielokrotnie zasłużył na śmierć, ale
ponieważ dzielni Francuzi, którzy wzięli go do niewoli, przyrzekli mu
życie, więc skazujemy go tylko na zesłanie...

Na zesłaniu Samori niedługo pożył.

Ciekawe, że w następnych latach właśnie rodzina Samoriego Turę
służyła kolonizatorom francuskim za klasyczny dowód ich skutecznej
misji cywilizacyjnej i wielkiej siły przyciągającej Francji. Turę
niewątpliwie byli przedsiębiorczym i żołnierskim rodem. Gdy więc
później wrogie namiętności trochę się uśmierzyły, wielu synów

Samoriego chętnie wstępowało do oddziałów francuskich, by zostać

zawodowymi

żołnierzami

i

nawet

osiągać

złote

naszywki

porucznikowskie. Było ich tylu w wojsku francuskim, że podczas

pierwszej wojny światowej sześciu z nich zginęło na froncie.

Ojciec — pysznili się wtedy niejedni rzecznicy systemu kolonialnego - -

był zawziętym wrogiem Francji, a już jego

226

synowie w obronie tejże Francji kładli swe życie na polu chwały:

kolonializm francuski okazał się wielkim, wchłaniającym czarodziejem!

Ale jak w tym wypadku ocenić postawę wnuka Samoriego, dzielnego

Sęku Turę, który tak energicznie odciął się od uroku czarodzieja?

Nzerekore

146

W Konokoro, w Saroyi i w Daboli panowała o tej porze, w styczniu,

gorąca posucha. Człowiek nie pocił się, za to pękała mu skóra na rękach

i wargach. Toteż wzbierała w nim tęsknota do wilgotnej, amazońskiej

puszczy, gdzie wprawdzie człowiek się pocił, lecz skóra nie pękała.

Podobna puszcza kłębiła się w Nzerekore, na południo-wschodzie

Gwinei.

Podróż do Nzerekore chciałem przerwać kilkudniowym pobytem w

Kankanie, pierwszej stolicy wodza Samoriego, ale obrzydzono mi

zachciankę rzetelnie i już po jednym noclegu wyrywałem dalej.

Zaledwie w Kankanie wysiadłem z pociągu, przyskoczył na peronie do

mnie, jedyne białego podróżnego, policjant, gwałtownie jak do

przestępcy, i szorstkim głosem żądał wylegitymowania się. Gdy to

uczyniłem, rozkazał mi zameldować się następnego dnia rano w

komisariacie.

Do Kankanu przyjechałem wieczorem i zaraz kazałem zawieźć się do

hotelu „Select Bar”. Tu, w restauracji, siedzieli sami biali, wielu białych

z pretensjonalnie ubranymi Europejkami. Wszyscy mieli miny

typowych aferzystów. Przeważnie byli to Francuzi i przeważnie pito

szampana. Podczas gdy na dworcu rządzą Gwinejczycy, tu jeszcze

rozcapierzał się stary reżym. W tej części Gwinei znajdowały się kopalnie diamentów, będące dotychczas w rękach białych, więc podochoceni geszefciarze szastali pieniędzmi i na niedaleki koniec zalewali robaka.

Dostałem się w jakąś piekielnie drogą dżunglę i chyba nie można było wymyślić dla niej lepszego symbolu niż bożek

227

złodziei. Staroafrykańska rzeźba w drzewie tego bożka stała na dziedzińcu hotelu „Select Bar” i ogromnymi zębami w szerokiej gębie uzmysławiała

swą

zachłanność.

Gdy

następnego

dnia

rano

fotografowałem bożka, przyczłapał akurat pies hotelowy i legł tuż obok rzeźby w pozie warowania, jak gdyby naprawdę pilnował podejrzanego typu: czyżby ów pies spełniał rolę stróża publicznego?

Barman, Korsykanin, ujrzał tę scenę z daleka i wpadł w niebywały entuzjazm:

— Cest magnifique! Udało się panu kapitalne zdjęcie: pies strzegący czarnych złodziei!

— Czarnych? — zdziwiłem się z głupia frant.

Gdy następnie więcej niż godzinę zmitrzymałem w komisariacie meldując

swój

przyjazd,

miałem

Kankanu

powyżej

uszu,

zaraz

się

wymeldowałem i w dwie godziny później leciałem samolotem na

południe, do Nzerekore.

Tu, na lotnisku, witał mnie już wysłannik komisariatu policyjnego i

zanim spisał protokół meldunkowy — a spisywał groźny trefniś

sumiennie nawet datę mego ślubu — współpo-dróżni Francuzi dawno

odjechali do hotelu i zajęli wszystkie pokoje; dla mnie pozostał trening

spania tej nocy na krzesłach. W hotelu, rzecz prosta, nowe wypisywanie

karty meldunkowej.

Nzerekore to w istocie wilgotna puszcza całą gębą, a poza tym kapitalne

kontrasty i same dziwy. Pełno pogańskich fety-szystów, Gerce i innych

plemion, których niedawna dieta ludzko-mięsna bynajmniej nie była

złośliwą legendą. A ponieważ puszcza jest wilgotna i świetnie nadaje się

147

do uprawy przedniej kawy, więc Francuzi kazali dzikusom sadzić kawę.

I oto ludzie ci założyli nowoczesne plantacje, siedzieli teraz na

pieniądzach, posiadali konta oszczędnościowe i dalej ślepo wierzyli w najokropniejsze diabły leśne, w demony, żadne od czasu do czasu ofiar ludzkich, i w święte gaje.

Każde większe skupisko ludzkie w puszczy miało swój święty gaj, zazwyczaj tuż w pobliżu wsi. Nikomu niewtajemniczonemu, a szczególnie kobietom i dzieciom, nie wolno tu było wchodzić pod karą śmierci. W owych gajach mieściły się tajemnicze

228

szkoły młodzieży, gdzie młodzieńcy uczyli się przedmiotów realnych i rzeczy najrealniejszej w ich pojęciu — magii; gdzie tajne związki lęły się i siały postrach szkaradnymi maskami i gdzie wciąż działa się wszelka abrakadabra zaklinaczy, upiorów i opętańców. Ci zaklinacze — zogo — nocą często przeistaczali się w swym mniemaniu w lamparty i krokodyle i odpowiednio drapieżnie postępowali, za dnia zaś obyczajną pracą na swej plantacji kawowej wprzęgali się w wielką maszynę światowej produkcji. Frapujący paradoks dwóch biegunów.

Niesamowitość w Nzerekore: staw u stóp wzgórza, na którym stał mój hotel. Trzy hektary sielankowej, sennej wody, miłe dziewczyny, piorące bieliznę na piaszczystym brzegu, gdzie uwijały się śliczne motyle nawet teraz, w porze zimowej, i gdzie rosły krzaki.

Ale był to święty staw mieszkańców miasta, więc niesamowity: jeszcze do niedawna, za czasów kolonii, ludzie-krokodyle co rok potajemnie topili młodą dziewczuszkę na pomysłność miasta akurat w miejscu, gdzie dziś fotografowałem uśmiechniętą pannicę. Gdy francuskiemu

komendantowi w końcu obmierzył nieprzyjemny narów, tuż pod jego nosem odprawiany, zagroził całej ludności Nzerekore najsurowszymi karami w razie niezaprzeszania mordów rytualnych w stawie. Więc ludność go usłuchała: następną dziewicę zatopiono nie w stawie, lecz w strumieniu, wypływającym ze stawu.

Tabu — świętość nietykalna — w Nzerekore: nazajutrz po przylocie naszło mnie uczucie, nie wiadomo, strachu czy męstwa, i przyszło mi do głowy, że nie należy stronić od jaskini lwa. Udałem się zatem wprost do komisarza policji, dzierżąc zezwolenie na fotografowanie od Ministerstwa Informacji, i zapytałem go, czy mogę tu wszystko fotografować. Lew nzerekorski był zachwycony moją wizytą i z zapalem odpowiedział, że owszem, mogę wszystko fotografować z wyjątkiem: muru koszar wojskowych i ich okolicy (koszary zbudowali Francuzi w sąsiedztwie mego hotelu), dalej siedziby władz powiatowych i władz okręgowych oraz mieszkalnej rezydencji komendanta, no i oczywiście

229

wiecie z wyjątkiem jakichkolwiek publicznych uroczystości państwowo-urzędowych, gdyby w tym czasie się odbywały.

— I jeszcze co zakazane? — spytałem wzruszony.

— Chyba już nic! Poza tym wolno panu wszystko fotografować, wszystko! — zakończył komisarz z szerokim uśmiechem. Podziękowałem mu uprzejmie. Morał jasny: nie stronić od jaskini lwa.

Niewątpliwie najciekawszą osobowością i osobliwością w Nzerekore był Duńczyk, Olsen. Przed wielu laty przyjechał tu z żoną, zdolną literatką i

autorką ciekawej książki o ich podróży po Liberii. Wszakci jak nasz Jacek Bocheński, tak i on był zapatrzony w „miłosne zgrzania” i w kuszące różnice skóry (z tym tylko, że swe afrykańskie „wirowania” opłacał niemądry Olsen z własnej kieszeni), więc żona jego wróciła do Danii sama, a on już na stałe pozostał w Nzerekore. Zawołany przyrodnik chwycił lub organizował chwytanie niezwykłych owadów, uderzających bądź to kształtem, bądź wielkością, pakował je do skrzyneczek pod szkło i nieźle sprzedawał białym urzędnikom. Olsen był poza tym uroczym człowiekiem, rzadkim już dziś typem kulturalnego cygana, poliglotą francusko-niemiecko-angielskim i wytrawnym znawcą nie tylko rodzin motyli, ale i szczepów ludzkich. Wiedział, w których wsiach diabeł ma jeszcze młode i gdzie można obejrzyć pasjonujące obrzędy i przeżyć przygody. Chętnie zabrałbym go na taką wycieczkę, gdyby miał czas. Lecz on nie miał czasu, bo miał biedę. Więc zapraszałem go tylko do hotelu na kolacje i rajskie gawędy. O dwanaście kilometrów na wschód od Nzerekore leżała wieś Karana, zamieszkała przez ludzi szczepu Manon, znana z akrobatycznych tańców młodziutkich tancerek i tęgich atletów: silny mężczyzna rzucał dziewczynkę wysoko w powietrze, a gdy spadała, oczekiwał jej, trzymając w każdej dłoni nóż, sterczący ostrzem ku górze. Opadające dziewczątka mogło, powinno było nabić się na noże, lecz on w ostatniej chwili, w mgnieniu oka, odrobinę wysuwał noże do przodu i chwycił podlotka na przedramiona, o centymetr od noży i śmierci.

Z jakichś rytualnych przyczyn dziewczyna taka była ponoć z góry przeznaczona na śmierć, ofiarowana duchom, o czym jednak ona ani jej rodzice do chwili ofiary nie wiedzieli.

Przed rokiem Olsen zawiózł dwoje przyjezdnych Austriaków do Karany i mieszkańcy wsi za cenę trzech tysięcy franków urządzili im widowisko tańca z nożami. Austriacy tak byli tym olśnieni, że uważali widowisko za najbardziej wstrząsające przejście swego życia. Olsen pokazał mi kilka fotografii owej akrobatyki z nożami: w istocie wyglądały groźnie.

— Jeśli panu się przydadzą fotografie, chętnie odstąpię — rzekł.

— Nie, dziękuję. Sam pojedę do Karany.

— O, to najlepszy pomysł!

Pojechałem tam autobusem w towarzystwie młodego spryciarza Fassu, który był boyem Olsena, ale w wiosce okazało się, że to już nie te czasy, co przed rokiem: Gwinea piorunem się zmieniła. Nastal nowy sołtys, istniał teraz lokalny komitet partii, mieszkańcy niby chcieli pokazać taniec noży i już się godzili — trzy tysiące franków nie bagatela! — ale potem stroili fochy, pokazywali grymasy, stawali się hardzi, aroganccy i nic z tego nie wyszło. Jeszcze przed południem wracaliśmy do miasta zbici z pantaląku. Fassu był wyraźnie rozżalony — prysnęło mu sprzed nosa przyrzeczone cadeau.

— Trzeba będzie wrócić do fotografii Olsena — mruknąłem. Lecz Fassu, nieustrudzony kombinator, miał już nowy plan na podorędziu i zanim autobus wjechał do Nzerekore, zwierzył mi się: we wsi Kunala, na drodze do Masenty, można było za niewielką opłatą

zobaczyć i sfotografować prawdziwego diabła leśnego. On, Fassu, wiedział to na pewno, bo niedaleko tej wsi sam mieszkał. Jeśli zaraz pojechałby tam rowerem i zamówił diabła na jutro, diabeł nie zawiódłby nas.

149

— A jest w Kunali komitet partyjny? — spytałem melancholijnie.

— Jest, panie, ale to dziady, oberwańcy! Partia diabła tam mocniejsza!

— zapewnił Fassu z tak gorącą wiarą, że i we mnie wstąpiła otucha.

230

231

— Diabli interes... — zawahałem się. — Spytam pana Olsena, co o tym myśli.

Olsen myślał, że warto było jechać, więc Fassu ruszył w te pędy rowerem. Pod wieczór wrócił z triumfem:

— Będzie diabeł!

Triumfalnie

Jako Polak mądry po szkodzie w Karanie, wolałem teraz dmuchać na zimne i gdy gorliwy Fassu odjechał do Kunali, udałem się do

komendanta okręgu i bardzo energicznie, choć jeszcze grzeczniej,

poprosiłem

sekretarza

o

nie

cierpiącą

zwłoki

rozmowę

ze

zwierzchnikiem. Prosiłem dlatego energicznie, bo dotychczas tutejsza głowa i pan życia, a może śmierci, wężąc kłopotliwe dla siebie pismo nosem, nie dopuszczał mnie do siebie.

Lecz tym razem dopuścił. Od władz centralnych w Konakri miał przecież polecenie, by udzielać mi pomocy, a poza tym już wiedział o moim samowolnym wypadzie do Karany i o jutrzejszym zamiarze spotkania diabła leśnego w Kunali. Cwaniak i Tassu może nie tak bardzo przesadzał, wynosząc pod obłoki yplywy tego diabła: komendant, zamiast zbagatelizować mój :amiar i trochę wykpić, czego się spodziewałem, odniósł się do sprawy całkiem rzeczowo i jakby serio. Zrozumiał, że po-adę do Kunali za wszelką cenę, wołał zatem, żebym jechał ;am pod nadzorem władz. Przyrzekł więc dać mi kamionetkę odpowiedniego przewodnika i jeszcze jakowąś półoficjalną isystę dla zapewnienia bezpieczeństwa. Tym wszystkim szczerze się uradowałem. Nazajutrz przybyłem do komendy okręgu punktualnie. Re-izta też dość punktualnie, bo tylko z godzinnym opóźnieniem, towarzyszący mi Fassu jako adiutant przyboczny zjawił się v gali: do krótkich spodenek khaki założył białe, długie, weł-liane, ceremonialne pończochy kolanówki^ jakie nosili tu je-tynie eleganci wśród Europejczyków. Pończochami bił nas wszystkich na leb, na nogi.

Przewodnikiem moim był tęgawy jegomość o jowialnym wyglądzie, skory do uśmiechu, kierownik szkoły w Nzerekore, Jean Gozzaga. Był to Gerce, pochodzący właśnie z Kunali, jeden z nielicznych członków tego szczepu, którzy weszli na drogę europejskiej oświaty — zapewne niezbyt daleką ani szeroką drogę, ale przecież odsądzającą ich od dzikiej puszczy. Żywilem obawę, że towarzysze moi okażą się osowiałymi mrukami, wyznaczonymi do odwalenia nieprzyjemnej pańszczyzny. Nic podobnego, miła niespodzianka. Jechali rażno jak na majówkę, gotowi do żarcików, i od razu, zaledwie samochód ruszył, wytworzył się między nami wesoły i przyjazny nastrój. Wszyscy byli ciekawi, jak nas we wsi przywitają.

— Czy zawiadomiono Kunalę o naszym przyjeździe? — spytałem.

— Ależ oczywiście! — uśmiechnął się Gozzaga. — I nie tylko Kunalę, ale również sołtysów innych wsi po drodze.

150

— To może zamówiono flagi i przemówienia? — zgrzytnąłem, udając radość.

— Nie wiem. Ale niewykluczone, że zamówiono i flagi, i przemówienia, i śp"ewy, i bębny...

— I tańce nagich dziewcząt i nagich chłopców! — ciągnąłem tym samym tonem.

— Oj, to nie, to nie! — spoważniał Gozzaga, jak gdyby dotknięto drażliwej świętości. — Nie nagich dziewcząt! Tego już nie wolno, a zwłaszcza nie wolno pokazywać — zerknął figlarnie ku mnie —

szanownym gościom z Europy!

— Jak to?! — zaśmiałem się, jednocześnie oburzony. — Widziałem w Konakri piękną książkę o Afryce Zachodniej, „Ludzie tańca” —i Les hommes de danse, wydaną niedawno, w roku 1954, a pełną wspaniałych nagich tancerek...

— To pewnie nasi wrogowie ją wydali!

— Może wrogowie wydali — stwierdziłem z przekąsem — ale wasz minister Keita Fodeba napisał do niej entuzjastyczną przedmowę..;

Gozzaga na chwilę umilkł, widać zatopiony rzewnie w za-

233

wiłościach ludzkich świętości. Umilkłem i ja, bo jakiś markotny skrzat szeptał mi natrętnie do ucha:

— Adieu, diable leśny! Bywaj, remanencie starej Afryki! Pa, bublu na szmelc skazany!

Spojrzałem ukradkiem na Fassu, który słyszał całą rozmowę, ale z jego miny wyczytałem, że heroicznie obstawał przy wierze i nadziei.

Przebiegały mu po twarzy osobliwe drgawki i kurcze, mające mnie zapewnić, że diabeł będzie, że jeszcze żyw, że ci tutaj swoje, a puszcza swoje...

Zaraz za ostatnimi chatami Nzerekore zaczęła się potężna wilgotna puszcza i już nadal trwała bez najmniejszej przerwy. Przyroda od razu uderzała w najwyższe tony — otaczało nas to samo parne, nieprzejrzane rozpasanie zieloności jak nad Amazonką, jak przy ujściu Orinoko czy na wschodnim wybrzeżu Madagaskaru.

Po dziesięciu czy iluś kilometrach jazdy jaką taką drogą rozrzedniał gąszcz przed nami i zbliżyliśmy się do ludnej wsi Samoe. Pokażny kościół wśród chat rzucał się w oczy, ale tuż na skraju puszczy coś ciekawszego przykuwało uwagę: wejście do świętego lasu. Wzdłuż drogi wznosiła się na przestrzeni kilkudziesięciu metrów ściana z suchej trawy, plecionej wysoko na jakieś dwa metry, ale bez widocznego otworu na bramę. Zapewne należało do rytualnej tajemnicy ukrywać wejście przed oczami obcych, jakkolwiek ściana z trawy wszystkim zdradzała, że to właśnie gdzieś tu wchodziło się do świętego lasu. Pogańskie sanktuarium ciągnęło się w puszczy podobno wzdłuż i wszerz jakieś trzy kilometry. Było nie tylko szkołą wtajemniczania męskiej młodzieży w sprawy życia i nie tylko siedzibą tajnych związków i rodzajem świątyni, ale także mózgiem szczepu. Rozstrzygano tu wszystkie ważniejsze zagadnienia ogółu, a zwłaszcza pobliskiej wsi. Święty las był przede wszystkim opoką wstecznictwa. Z niesłychanym uporem, z fanatyczną zaciekłością bronił wszystkiego, co stare, czym żyli przodkowie. Pławił się w tajemniczości, mistyce, magii i czarach, a zasłaniał swój szczep od wpływów

151

234

obcego świata wszystkim, czym mógł: duchami, demonami, fe-tyszami, tańcem, potwornością masek, pokątną rytualną zbrodnią. Zacołanie i odporność szczepów pogańskich na powiew świeższych prądów wywodziły się głównie z władzy świętego lasu nad Afrykanami.

Kazałem zatrzymać samochód i z Gozzagą wyszedłem na drogę. Do trawiastej ściany nie podeszliśmy bliżej niż na dziesięć kroków, ażeby niczemu nie uwłaczyć. Panowała tu zupełna cisza i bezruch, nic nie świadczyło o bliskiej obecności ludzi. Ściana wyglądała wzorowo, świeżo upleciona, widać, że otaczana stałą opieką i ludzką czcią.

— Dawniej wierzono — zagadnąłem Gozzagę — że chłopcy, idący do świętego lasu na kilkuletnie wtajemniczenie, bywali połknięci przez jakiegoś ducha czy diabła leśnego, a potem znowu wypluci, wydani na świat. Czy ta wiara się utrzymała?

— Utrzymała się, a jakże! — odrzekł towarzysz z ożywieniem. Lecz pewnie ze zbyt wielkim ożywieniem, bo zaraz, jak gdyby z lekka zmieszany, uważał za potrzebne wyjaśnić:

— Ja jestem katolik!

Popatrzyłem na widoczny niedaleko kościół.

— A to co? — spytałem.

— Ładny kościół! — zaśmiał się Gozzaga. — Posażny, murowany, imponujący, waleczny, wytrwały...

— Więc kto tu silniejszy: kościół czy święty las?

— Oczywiście święty las!

— To kościół przegrał?

— Na razie przegrał. Chciał przebojem i przemocą opanować dusze naszych pogan, ale ludzie ze świętego lasu okazali się bieglejszymi specami od przemocy i podobnych machinacji...

Gozzaga, katolik, ale przecież Gerce, nie mógł stłumić w głosie

leciuchnego zadowolenia.

Fassu uwiecznił Gozzagę i mnie na zdjęciu na tle trawiastej ściany i ruszyliśmy dalej. Wobec tego, co mi nauczyciel opowiadał o żywotności świętych lasów u Gerce, odżyła znów we mnie otucha, że jednak zobaczę diabła leśnego w Kunali, chociaż ani na chwilę nie zapomniałem o wszechwładzy partii rządo-

235

wej w Gwinei; partia była groźnym przeciwnikiem obskurantyzmu, groźniejszym niż kościół katolicki, mizerota. Zabawne wydawały się moje ciągle wątpliwości: będzie diabeł czy nie będzie?

Kilka kilometrów dalej ujrzelśmy przy drodze, pod cieniem leśnych olbrzymów, szereg kilkunastu mężów ze strzelbami w garściach. Gdy podjechaliśmy, wzniesli lufy nad drogą i zaczęli uroczyście pukać na moje powitanie. Samochód już przystawał. Wyskakując jak z procy na ziemię, krzyknąłem na całe gardło do strzelających: — Stójcie! Nie strzelajcie!

I zaraz zawstydzilem się własnej niedelikatności, bo mój głos okazał się huczniejszy niż ich rachityczna, acz dobre chęci zdradzająca, palba.

Zbaranieli na niespodziany wybryk honorowego gościa i z przerażenia przestali walić, lecz gdy dopadłem ich z rollei-flexem w ręce i

poprosilem, żeby dali ognia tylko na moją komendę, ulga zrozumienia spłynęła na ich twarze. Ci, którzy mieli jeszcze nabite strzelby, szybko

15

2

uszeregowali się przede mną. Dałem znak, oni wypalili, ja to sfotografowałem, po czym pierwszemu wcisnąłem sto franków do łapska, drugiemu pięćdziesiąt, trzeciemu i czwartemu po dwadzieścia, reszta nic już nie dostała. Ta reszta to byli właśnie ci gorliwi, którzy, poprzednio nie ociągając się, pierwsi grzmotnęli: taka już cholerna sprawiedliwość tego świata!

Dziękując miłym manifestantom, oświadczyłem, że co prawda, ich strzały bębenków usznych mi nie rozdarły, jednak długo będą brzmiały echem w moim sercu. Gozzaga, tłumacząc to, mówił pięć razy więcej. Następnie pomknęliśmy dalej.

Zbliżaliśmy się do wsi Guela i wkrótce znowu wysiedliśmy, bo tym razem witała mnie delegacja kobiet. Było ich kilkanaście, wszystkie odświętnie ubrane i wszystkie starszawe matro-ny. Śpiewały, trochę ruszały się tanecznie, dwie najgłośniejsze dostały po sto franków (znowu opaczna rzetelność) i jazda dalej. W samej Gueli cała ludność z szefem wsi na czele wyległa na drogę i witała nas wszelkimi elementami uprzejmości: bi-

236

ciem bębnów, warkotem grzechotek, radosnymi okrzykami, gestami, wyrażającymi pragnienie tańca i wreszcie młodzieżą obojga płci. Niektóre ślicznoty, jeszcze nie gotowe, dopiero kończyły czesanie włosów. Wszyscy ubrani, nagusa ani na lekarstwo. Szef Moriba Uabiu Nuga, olbrzymiej postawy Gerce, był tu jakimś gwinejskim Radziwiłłem Panie Kochanku; ojciec jego założył wieś, więc Moriba odziedziczył ludzi

i dostojeństwa i żył obok komitetu partii jak udzielny książe. Zapraszał nas na wino palmowe i przyrzekliśmy wstąpić w drodze powrotnej. Wśród wesołego tłumu wybijał się namiętny bębniasta, który, zadzierając wysoko głowę, wpadł w fotogeniczny trans. Dostał za to stówkę i tak się ucieszył, że natychmiast ochłonął z transu i przestał być ciekawy.

Mieszkańcy ws' Guela bawili się setnie, pomimo że była to zorganizowana impreza na modłę urzędówek. Gdy wyjeżdżaliśmy z rozkosznej wsi, niewiele pozostało mi złudzeń co do diabła leśnego. Akcje tego chimeryka skakały w górę i w dół jak papiery na giełdzie w czasie najgorszego kryzysu. Gnębiła mnie jasna świadomość, że przy tak sprężystej reżyserii z przedpola Kunali wymieciono wszelkie diabelskie nasiona i orgie.

Będzie

Ku mojemu zdumieniu Kunala, wieś zasobna i ludna, nie witała nas ani zastępem strzelców, ani delegacją matron, ani nawet biciem bębna. Gdy wjeżdżaliśmy między pierwsze chaty, unosiła się nad nimi cisza aż krępująca. Nawet Jean Gozzaga odczuł lekki niepokój.

Stanęliśmy na rozległym placu pośrodku wsi przed jedną z większych chat, z której zaraz wyszedł szef Kunali, około czterdziestoletni Teodor Maribo ze szczepu Gerce. Pozdrowił nas ciepło i zaprosił do dużego pokoju gościnnego, w którym stały fotele klubowe, spuścizna po jakimś Francuzie. Sprawa się wyjaśniła: Kunalę wczoraj zawiadomiono o moim dzisiaj-

szym zamiarze, ale nie podano godziny przyjazdu, więc wieś, pozostając w stanie pogotowia, dopiero za chwilę się zbierze i godnie mnie powita.

t— I co mi szef pokaże ciekawego? — uśmiechnąłem się przymilnie do gospodarza.

— Będzie cały aktyw wsi — odrzekł Maribo z nie ukrywaną dumą.

— Aktyw?

— Tak jest: będzie partia, związek młodzieży i związek kobiet.

— Ależ, na miłość boską! — krzyknąłem, podnosząc ręce na znak sprzeciwu. — Przecież ja nie żaden dygnitarz!

— Ale pisarz europejski! — pochlebił mi szef.

— To więcej znaczy niż niejeden dygnitarz! — dodał Gozza-ga, chcąc pokazać, że i on w dziedzinie kultury jest na poziomie.

— Niewymownie mili z was gospodarze — unosiłem się przyjaźnie — ale przykro mi, że sprawiam wam tyle ambarasu. Więc powiedzcie mi, co tu zobaczę! — kluczyłem ku moim sprawom.

— Nasz postęp! — odrzekł Maribo zwięźle a dobitnie.

Nie ulegało wątpliwości, że szefowie wsi Guela i Kunala otrzymali z komendy okręgu ścisłe i rzeczowe zlecenia, jak postępować. Był to nurt oficjalny. Mój filut i adiutant, Fassu, wybrał z konieczności inną drogę, nieurzędową, w gruncie rzeczy nielegalną. Gdy więc tak słuchałem pozytywnych zapewnień dwóch sympatycznych urzędników i

*jednocześnie uświadamiałem sobie sprężystość i wpływ partii
rządowej w tym kraju — wizja diabła leśnego kurczyła mi się w oczach,
żalostnie topniała, aż w końcu onże diabeł jak w klasycznych sztukach
zamieniał się w maleńki dymek i ulatniał.*

*Wtedy zjawił się w drzwiach Fassu i dał mi znak, żebym wyszedł na
dwór.*

— Diabeł będzie! — rzekł z miną wytrawnego impresaria.

— Jak to? — osłupiałem. — Będzie? Naprawdę będzie? Kiedy?

— Zaraz! Za kwadrans może!

— Gdzie? W lesie ukryty?

— Nie w lesie!

— W jakiejś chacie na skraju wsi?

— Nie, nie! — zapewniał Fassu stanowczo. — Tu na placu, pośrodku wsi.

*Przyjdzie tu i będzie tańczył!... Tylko trzeba coś
zapłacić!*

*— Rozumie się! Zapłacę!... Ale Fassu! — nie dowierzałem sprawie. — To
będzie diabeł w prawdziwej masce?*

— W najprawdziwszej, panie! Żadnej machlojki!...

*Fassu, podniecony tym, że wszystko dobrze się układa, pobiegł znowu
do swoich, a ja wróciłem do chaty.*

*— Radosna wiadomość, panowie! — z uroczystym zadowoleniem
oznajmiłem gospodarzom. — Zobaczę tu taniec diabła leśnego!*

*Obawiałem się, że wieść sprawi na nich przykre wrażenie. Tymczasem
nie, przyjęli ją nader spokojnie. Gozaga był trochę zdziwiony,*

widocznie konszachty Fassu w Nzerekore nie doszły dotychczas do jego uszu (a zawiadomiony o moich planach komendant okręgu nic mu nie powiedział) — natomiast szef Maribo odezwał się z pobłażliwym uśmiechem:

— Europejczycy to lubią, to dla nich sensacja!... Wiem, wiem o tym!

Doniesiono mi poufnie już wczoraj, że chcą pokazać tego ich diabła.

154

Jego właściciele to najciemniejsza reakcja, mamy z nimi wiele kłopotów...

— Właściciele diabła?

— Tak jest. To skrajna kulturowa, zażarci obrońcy wszystkiego, co było i co pachnie zabobonem. Są wściekli, że mają coraz mniej gruntu pod nogami. Chcą zatrzymać Afrykę na miejscu. A ten tańczący diabeł to ich zewnętrzne godło, to jakby sztandar ich spisków i machinacji.

— Ale malowniczy sztandar! — zauważyłem.

— Owszem, malowniczy i staroświecki. Jednak my też pokazemy dziś tańce, śpiewy...

Wezbrał we mnie niesmak wobec siebie. Toż obydwaj Gwi-nejczycy odnosili się do mnie z wyjątkową życzliwością, uczci-

258

239

wie jak do kogoś przyjaznego, a czym ja im odplacałem? Za ich plecami wdawałem się w zмовę, z ich wrogiem, z ciemnym wstecznictwem.

— Proponuję — oświadczyłem — odwołać całą hecę z diabłem leśnym.

Nie chcę go widzieć!

Słowa moje przyjęli z wdzięcznością, co widać było z ich twarzy, ale nie odpowiedzieli. Spojrzeli na siebie, porozumieli się oczami, a po chwili szef Maribo odparł z niewyraźnym uśmiechem:

— Nie, niech diabeł raczej się pokaże!

Czyżby oni także lękali się diabła? — przeszła mnie myśl. A jeśli nie diabła samego, to ludzi za nim stojących? Czyż siły wstecznictwa były tu tak wpływowe, że należało się z nimi liczyć do tego stopnia? Wypadki, które rozegrały się wkrótce na placu Kunali, potwierdziły częściowo ten domysł.

Targ

Ponieważ czekanie w chacie znudziło mnie, zapytałem szefa Maribo, czy mógłbym przespacerować się po wsi. Oczywiście, tak, nie miał nic przeciw temu. Więc wyszedłem na dwór, a szofer naszej ciężarówki — miły i uczynny młody człowiek — przyłączył się do mnie. Ruchliwego Fassu nigdzie nie mogłem dostrzec.

Plac już nie był tak pusty jak poprzednio. Zbierały się tu i ówdzie małe grupki ludzi, zwyczajnie, jak to [bywa przed uroczystością publiczną. Także na bocznych ulicach panował ruch, widać, zbliżała się chwila manifestacji. Była to wieś kawowa, stąd pewien ogólny dostatek: w miarę oddalania się od centralnego placu widziałem coraz więcej suszących się na słońcu ziaren kawy. Leżały na czworokątnych połaciach ziemi między chatami.

Dotarliśmy już prawie do skraju wsi, gdy uwagę naszą przykuł

zaczęła w popłochu i wśród okrzyków uciekać w naszą stronę, jak gdyby z puszczy zbliżało się niebezpieczeństwo. Po chwili ujrzeliśmy przyczynę lęku: diabła leśnego.

Pod przebraniem i maską nie było widać człowieka. Maską czarna, drewniana, o wąskich szparach dla oczu, groteskowo podmalowanych białymi rzęsami. Nad maską sterczał chwast z białej długiej sierści, zapewne małpiego pochodzenia. Nogi ginęły pod szeroką krynoliną z suchej trawy, a górną część ciała aż do maski zakrywał rodzaj szczelnej

ciemnej peleryny, opasanej na wysokości szyi naszyjnikiem z muszelek kauri. Maszkara rzeczywiście wyglądała nieostatnio, dość groźnie, a towarzyszył jej krok w krok normalnie ubrany mężczyzna z ogonem słonim czy czymś podobnym w ręce. Tą miotelką wymachiwał w powietrzu dokoła diabła, jak gdyby coś odpędzając, zapewne zazdrosne duchy.

Dawniej taki diabeł leśny pojawiał się we wsi zazwyczaj w nocy jako wysłannik tajnego związku i strach przed nim nie był wtedy bezpodstawny. Demon raził niebezpiecznie napotkanych ludzi, bił zwłaszcza kobiety i dzieci, i nieraz zwiastował śmierć upatrzonej przez tajny związek ofierze. Dzieci, uciekające przed diabłem w Kunali, bynajmniej nie udawały przestachu: lęk siedział im w kościach, był naturalną spuścizną dawnych czasów.

Diabeł biegnąc minął nas o kilkadziesiąt kroków i chociaż był nieco za daleko, sfotografowałem go. Krążył tylko po bocznych ulicach, nie zapędzając się na główny plac, pojawiał się tu i tam i znikał z oczu, by po chwili z innej strony pędzić i siać popłoch wśród dzieci. Potem jak gdyby gdzieś się zaprzepaścił.

Wtedy zobaczyłem Fassu, śpieszącego ku mnie, a za nim trzech starszych osobników, nie ukrywających swego wzburzenia. Siedziałem właśnie na progu jednej z chat i przekładałem błonę w aparacie. Fassu był równie podniecony jak tych trzech i gdy doszedł do mnie, wybuchnął rozdrażnionym głosem:

— Czy widziałeś diabła leśnego?

16 — Nowa przygoda

241

Zdenerwowany, mówił do mnie: ty.

— Widziałem! — odparłem, stropiony jego nagłym rozgorączkowaniem i wrogimi błyskami w oczach tamtych trzech.

— Oni ciebie obwiniają, żeś fotografował diabła bez ich zgody!

— A cóż to za wstrętne typy, ci trzej?

— To właściciele diabła! Nie mów o nich źle!

— To czemu te dranie tak strzelają we mnie ślepiami?

— Boś fotografował diabła bez ich zgody!

Ktoś złośliwy mógłby Afrykę nazwać kontynentem maniackich handlarzy, handlem bowiem objęto tu wszystko, co otacza człowieka i z czego da się wydusić zysk. Gach, podbierający potajemnie żonę mężowi,

uchodził za złodzieja i podlegał surowej nieraz karze, natomiast gach,

gotowy

z

góry

płacić

mężowi

odszkodowanie,

osiągał

tu

niejednokrotnie luby cel za zgodą męża.

Trzech starych niewydarzeńców uważało mnie widocznie za przestępcę

i oszusta, ponieważ śmiałem fotografować ich diabła bez uprzedniej

zapłaty. Więc wydziwiali i miny sro-żyli nade mną, jakby ich giez

ukąsił. Ja tymczasem z całym spokojem przygotowywałem aparat do

zdjęć i dopiero gdy skończyłem, podniosłem groźny wzrok na Fassu i

jego trzech cudaków.

— Czego oni chcą ode mnie, do stu tysięcy piorunów? — krzyknąłem. —

Głowa mnie boli od ich jazgotu!

— Chcą zapłaty! — odparł Fassu.

— Dam, jeśli będę mógł zrobić dobre zdjęcia diabła. Ile chcą?

— Powiadają: pięć tysięcy franków.

156

Według utartego ceremoniału powinienem był teraz wpaść w furję,

stracić panowanie nad sobą, skoczyć jak oparzony i ryczeć. Ale zbliżała

się godzina jedenasta, okrutny żar lał się z nieba, czekała mnie jeszcze mordęga, więc nie ryknąłem. Przeciwnie, zacząłem tylko warczeć z całym umiarkowaniem:

- Powiedz im, Fassu, że są joux, że oszaleli! Powiedz wa-

242

riatom, że gdzie indziej w Gwinei widziałem znacznie lepsze i groźniejsze maski niż tę ich zabawkę dla naiwnych dzieci. Powiedz nędznikom, że w Konakri więzienia nie są jeszcze przepelnione...

Zapytali się, ile gotów byłem dać.

— Pięćset franków i ani centa więcej! — oznajmiłem.

Na to oni dostali przepisowego napadu szału, a przynajmniej znakomicie odegrali szal. Jeden z nich zaczął obrzucać mnie przekleństwami i, żeby nadać im większą moc, wybijał do nich takt na małym bębenku. Tymczasem dwaj towarzysze złorzeczyli mi z cicha i przeszywali mnie trującymi spojrzeniami, od których w innych okolicznościach ciarki by mnie przeszły.

Po chwili wyczerpali swój repertuar, a czary ich skrewiły. Powstając z miejsca, zaprosiłem ich na główny plac, by przyjrzeni się tańcom i śpiewom, urządzanym przez szefa Maribo. Zrozumieli, że nie zmięknę i nie ustąpię.

— To daj pięćset franków! — zgodzili się, nagle skruszeni. — Za jedną godzinę!

— I przez całą godzinę diabeł będzie tańczył? — spytałem dla pewności.

— Będzie tańczył...

Więc za pięćset franków kupiłem sobie gwinejskiego diabła. Gdy

właściciele odchodzili, Fassu zwierzył mi się:

— Diabeł tańczyłby tak czy owak, nawet bez pana zapłaty!

— Co gadasz!

— Będzie tańczył na złość szefowi Maribo...

Diabeł

Tymczasem z głównego placu rozległy się, przenikając do wszystkich zakamarków wsi, coraz popędliwsze uderzenia bębna, i to nie jednego, lecz kilku naraz. Każdy wybijał swój własny rytm. Jednocześnie z kilku różnych grup i na kilka

243

melodii rozbrzmiewały zapalczywe śpiewy. Gdy przybyliśmy na plac, zastaliśmy ludzkie mrowie. Niewątpliwie cała ludność Kunali wyległa i obstawiała plac ze wszystkich czterech stron, jak gdyby podczas rewii wojskowej, pozostawiając środek względnie wolny.

Najważniejszą, reprezentacyjną stronę, przylegającą do chaty szefa wsi, zajmowało kilkudziesięciu członków partii. Ustawieni w długim szeregu, nad którym wyzywająco i majestatycznie powiewał trójkolorowy sztandar Gwinei, mieli przesiąkniętą dostojnością oblicza.

Na zgiełkliwym placu stanowili jedyny czynnik skupienia i poczucia władzy. Byli nie tylko silni i zwarci, ale — jak przystało czujnym patriotom młodziutkiego państwa — posepni i podejrzliwi. Wśród nich, na ogół odświętnie ubranych, kto wybijał się szatą iście królewską, kto w swym okazałym, przestronnym bubu, zwanym tu gbaui, wyglądał jak

feniks, jak orzeł, jak paw, jak zebra w białe i niebieskie pasy? — Szef Maribo, który jedyny w gronie swych towarzyszy nie bał się uśmiechu. Na boku, po prawej stronie członków partii, stanął związek kobiet.

Matrony,

barwnie

ubrane,

wykonywały

jakieś

niewyraźne,

niewypierzone ruchy taneczne, trochę drepcząc, trochę więcej ruszając rękami, nieco podśpiewując — wszystko to kokieteryjnie, nieśmiało, z uśmieszkami, jakby zakłopotane kobiety nie wiedziały, w który uderzyć dzwon.

Związek młodzieży z drugiej strony partii stał tak samo jak na

cenzurowanym i pozbawionym na razie polotu, nie mógł znaleźć

właściwego sobie ruchu ani wyrazu. Zrzeszone dziewczęta kilkakrotnie

podejmowały śpiewy, ale głosy ich trzepotały się chwilę jak ranione

ptaki i zaraz smętnie opadały. Chłopacy natomiast całą ruchliwość

wkładali w kilka bębnow i w nic więcej: było to jak kości bez ciała. Bijąc

z całych sił palcami, młodzi usiłowali zagłuszyć odgłosy, nacierające z

boku, w którą to stronę nastawiali gniewnego ucha i co rusz

wytrzeszczali pałające ślepia.

Bo tam, po przeciwnej stronie czworoboku, działy się przeróżne rzeczy,

kłębiło się od bujnego życia. Panował tam roz-

244

mach, tupot, zadzierzystość; było wrzaskliwie, namiętne, śpiewnie, tanecznie. Tam panoszyła się opozycja i reakcja, buńczu-czyli się zwolennicy diabła leśnego, fanfaronowali czciciele starych obrzędów i drogich im zabobonów. Było rojniej niż gdzie indziej, a niewiasty, równie barwnie odziane jak w związku kobiet, tańczyły tu znacznie gorliwiej, krzyczały głośniejsze, nawet bębny okazywały się żarliwsze. Gdy diabeł wbiegł na plac posuwistym truchcikiem, bębny jego przyjaciół powitały go tuszem jak furie, ale i związek młodzieży otrząsnął się wreszcie z ospałości i wyraził swój sprzeciw gromkim śpiewem. Wydzierali się głównie młodzieńcy i śpiewali coś o de Gaulle'u. Czyżby winili go za istnienie diabłów leśnych?

Diabeł tymczasem był bezczelny i, przebiegając obok członków partii, obracał się do nich plecami, jakby tył wypinał. Dotarł do naszej ciężarówki, rzucił na nią urok i zawrócił na środek placu.

Podziwiałem jego wytrzymałość. Pod maską i w tak grubym odzieniu musiało być strasznie gorąco chłopu, tkwiącemu wewnątrz. Tymczasem on ganiał niestrudzony, kręcił się w kółko niby w tańcu, przechodząc zaś obok mnie, śmiesznie przekręcał głowę jak zalotny kokiet. Potem razem się sfotografowaliśmy.

— Hej, brachu! — tyknąłem na niego wesolo. — Czy nie dość wygłupiania się?

Jakoż niebawem okazało się, że dość: diabeł tak się zmęczył, że musiał

odpocząć i siąść na ziemi. Zaraz też ubyło mu groźnego wyglądu.

Wraz z jego znużeniem poplecchnikom diabła jakoś dziwnie zabrakło fantazji — ich pewność siebie jakby się ulatniała, a dotychczasowy rozmach jak gdyby przelał się na stronę przeciwnika. Tu, spoza szeregu członków partii, wyskoczyło nagle dwóch tancerzy na środek placu.

Dokoła lędźwi mieli przepasane spódnice, uplecione z suchej trawy, a w garściach trzymali pałki. Wśród tanecznych skoków zaczęli pałkami walić w ziemię tam, gdzie poprzednio diabeł leśny wyprawiał swe

245

158

sto pociech. Wszyscy rozumieli, że to zamaszyste wypędzanie nieczystych sił.

Wtem i związek młodzieży zakrzętnął się. Bębny jego przeskoczyły na inny rytm i wnet ludzie utworzyli koło taneczne, tak miłe wszystkim Afrykanom. Osoby w tym kole poruszały się powoli, jedna za drugą, wszystkie w tym samym kierunku, i wykonywały nogami małe taneczne kroki według bębnowego taktu. Koło wkrótce nabrzmiało do kilkudziesięciu tancerzy i tancerek; i był to bardzo klasyczny afrykański widok. Przywodziłby na pamięć wiele widzianych w książkach ilustracji i scen z filmów — gdyby nie sprawa odzieży. Tu, w Kunalii, w purytańskich zapędach młodej republiki, wszyscy zakryli ciała skrupulatnym przyodziewkiem, iżby, przebóg, żadna wsze-teczna pierś ni gołizna nie wyjrzała na światło dzienne — tam natomiast, na tych niedawnych zdjęciach i w filmach, tańczyły w kole same nagusy, a

naguski były również w pamiętnej księdze z przedmową ministra. Keity

Fodeby.

Taniec okrężny związku młodzieży poderwał przeciwników do nowego wysiłku. Diabeł leśny powstał z ziemi i powtórnie zaczął miotać się po placu, powtarzając poprzednie harce. Kobiety z jego obozu ponownie się rozogniły i tańczyły jak narwane, śpiewały wniebogłosy, wychodziły ze skóry,

a

rozbestwione

bębny

obok

nich

szalały.

Burza

niepohamowanego zapалу rozpętała się nad placem. Ale cóż? Lepsza organizacja wzięła górę. Wszystko było teraz wodą na młyn rządowców: taniec okrężny, niezachwiany i niepożyty, wciąż rósł i krzepnął, potężniał; na tle ogólnego uniesienia on, a nie przeciwnicy, zyskiwał coraz bardziej.

Tymczasem matrony związku kobiet tak się rozochociły, że i one utworzyły własne koło, krążące na pohybel diabłom. Jedną bardziej leciwą niewiastę z ich grona ogarnęło wyjątkowe natchnienie. Babulka ściągnęła bluzkę i jedyna na całym placu pląsała z obnażonym biustem. Miała matczyne, wydłużone piersi. Tańcząc, ruchami rąk chępliwie mi

pokazywała, że będzie miała znacznie dłuższe i zapewniała w swym śpiewie — jak mi później wytłumaczono — że urodzi jeszcze niejednego

246

syna dla ojczyzny. Coś w niej rozrzewniało. Nie można było zbyć kobieciny uśmiechem: jej postać miała w sobie wzruszający patos.

Tak oto na placu w Kunali rozgrywały się dziwaczne wypadki i własnymi oczami przekonywałem się, jak niezwykle doniosłą rzeczą dla Afrykanów był taniec. Taniec wrósł w ich byt jako podstawowy sposób wyrażania się i kto wie, czy dla nich nie był równie istotny jak sama mowa. Ruchami ciała ludzie okazywali swój gniew, objawiali swą słuszność, staczali bój.

A chodziło o nie byle co: dwie potęgi, wsteczność i postęp, Afryka stara i Afryka nowa brały się za czuby. Jedni upierali się bronić starego i siedzieć na miejscu, inni chcieli ruszać naprzód. Więc rozpętały się ciała, płonęły oczy, piorunowały śpiewy. Mieszkańcy Kunali ruchem i krzykiem, swarem i śmiechem wyklócali się, ubliżali sobie, kpili z siebie, a wszelakim zapałom, żądzą, żalom i żartom dawali rześisty upust. Tylko jedna grupa ludzi nie brała udziału w ogólnym rozgardiaszu, jakkolwiek pilnie baczyła na wszystko, co pienilo się dokoła. To

159

członkowie partii. Stali wciąż w szeregu i byli chmurni, karni, opanowani i wierzący w zwycięstwo.

A jeśli nie dla siebie, to pewni zwycięstwa dla swych synów, malców. Smyki ustawiły się przed starszyzną i pożerały chci-, wymi ślepskami

zabawną historię na placu.

Historię dwóch Afryk, o czym jeszcze nie wiedziały.

SPIS RZECZY

Piloci..... 5

Detronizacja..... 8

Konakri..... 11

„Hotel de France” ... 14

Gwinejczycy..... 18

Gwinejki 21

Drożynna 25

Zwycięstwo..... 27

Ząbkowanie..... 30

Motyle..... 34

Magia..... 38

Handlarze..... 42

Francuzi..... 48

Pomoc 52

Eskapizm..... 56

Szable 61

Ptak..... 66

Griot..... 69

Bezpiecznie..... 75

Pawiany..... 77

Rycerskość..... 83

<i>Seraj.....</i>	<i>87</i>
<i>Produce of Poland ...</i>	<i>92</i>
<i>Względność czasu ...</i>	<i>97</i>
<i>Szlagon.....</i>	<i>99</i>
<i>Chatynki</i>	<i>104</i>
<i>Szczep Koniagi</i>	<i>107</i>
<i>Nieżłomni.....</i>	<i>112</i>
<i>Wieś-warownia</i>	<i>117</i>
<i>Dyscyplina.....</i>	<i>121</i>
<i>Autorail.....</i>	<i>126</i>
<i>Szympons ""*."'</i>	<i>132</i>
<i>Chavot.....</i>	<i>136</i>
<i>Tahiti.....</i>	<i>142</i>
<i>Orzeł-żongler.....</i>	<i>147</i>
<i>Mandingowie.....</i>	<i>150</i>
<i>Strach</i>	<i>155</i>
<i>Tomek.....</i>	<i>160</i>
<i>Dzioborożec</i>	<i>165</i>
<i>Pomyłka.....</i>	<i>169</i>
<i>Omar.....</i>	<i>171</i>
<i>Mauzer</i>	<i>176</i>
<i>Kapiszonówka.....</i>	<i>179</i>
<i>Niger.....</i>	<i>183</i>

Rządność 187
Spiskowcy..... 193
Duchy..... 199
Judasz..... 201
Dziwadła207
Słonie..... 212
Tumanea 217
Samori..... 220
Nzerekore..... 227
Triumfalnie 232
Będzie _..... 237
Targ..... 240
Diabeł.....243

3|3^'

161